PRZEGLĄD
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt IX. Miesiąc Czerwiec 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

PRZEGLĄD

MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt IX. Miesiąc Czerwiec 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1875.

SPRAWA
ZBOROWSKICH
na sejmie roku 1585.

Mówi Hejdensztejn, że pod koniec panowania Zygmunta Augusta krążyły po Polsce dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci ostatniego Jagiellona miało i państwo z nim razem zaginąć, i że z tego powodu powszechna trwoga ogarnęła umysły. Fakt ciekawy i charakterystyczny — możnaby powiedzieć, że naród miał jakąś chwilę jasnowidzenia, w której zobaczył nieszczęśliwe następstwa wolnej elekcyi. Lecz jeżeli tak było, jeżeli, jak dodaje Hejdensztejn, wielu w skutek tych przepowiedni z poświęceniem i troskliwością o dobro kraju przystąpiło do obioru pierwszego króla elekcyjnego, to jednak nie brakło i takich, którzy ten uroczysty akt mierzyli wyłącznie, lub prawie wyłącznie piędzią osobistych interesów. Do takich należeli między innymi bracia Zborowscy, synowie Marcina, kasztelana krakowskiego, zmarłego w roku 1565. Był to ród możny, bogaty, powiązany przez małżeństwa z pierwszemi rodzinami Polski i Litwy, mający wielkie wzięcie u szla-

chty, która nazywała go kuchnią chudych pachołków [1]), a przytem w ogóle gwałtowny i skłonny do wichrzeń. Kasztelan Marcin głośny w swoim czasie z dostatków, siły fizycznej i waleczności, szczególnie okazanej w wojnie moskiewskiej za Zygmunta Starego, znany też jest jako rokoszanin gliniański, a za panowania Zygmunta Augusta, jako zabójca księcia Dymitra Sanguszki, skazanego na infamią za porwanie Halszki z Ostroga, owej sławnej z bogactw i przygód dziedziczki wielkiego rodu. Marcin dognał niefortunnego porywcę w Jaromierzu w Czechach i zabił, a pannę powrócił matce. Według ówczesnych pojęć zabójstwo to nie było morderstwem, lecz wykonaniem kary na wywołańcu, czci pozbawionym, który jako taki, w razie ujęcia niechybnie dawał szyję pod miecz; ale ta osobliwsza gorliwość Marcina w czynieniu zadość wyrokowi sądu na własną rękę, do tego jeszcze w obcem państwie, raczej świadczy o dzikiej popędliwości charakteru, jak o żywem poczuciu obywatelskiem, a tem bardziej wydaje się podejrzaną, że o rękę Halszki starał się także jeden z jego synów. Pięciu ich wymieniają dzieje pierwszego bezkrólewia: Piotra wojewodę sandomirskiego, Jana kasztelana gnieźnieńskiego, Andrzeja miecznika koronnego, Samuela i Krzysztofa. Z wyjątkiem Jana żaden z nich nie grzeszył zbytkiem cnót obywatelskich. Najstarszy Piotr mógł się jeszcze pochwalić poselstwem, z wielką wystawnością odbytem do sułtana Selima, a zresztą niczem się nie odznaczył, w pierwszych zaś dwóch elekcyach, — trzeciej już nie dożył, — pilnował tylko własnej korzyści. Za to na trzech ostatnich braciach w chwili zgonu Zygmunta Augusta już ciężyła naganna przeszłość, szczególnie na najmłodszym Krzysztofie, który bardzo wcześnie dał się poznać jako wielkie nic dobrego. Strwoniwszy po śmierci ojca w krótkim czasie prawie cały majątek, obłożony kilkakrotnie bannicyą, umyślił poradzić sobie korzystnem małżeństwem. W tym celu zaczął się starać o siostrę Bohdana hospodara wołoskiego, który często bywał w Polsce, gdzie miał rozległe stosunki: ale Bohdan nie chciał wydać siostry za marnotrawcę. Owóż tedy Krzysztof, któremu więcej

---

[1]) Żegoty Paulego Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich. Lwów 1846, str. 40.

chodziło o posag, jak o samą pannę, zasadza się ze zbrojną zgrają na hospodara, właśnie gdy ten jechał do Polski na wesele swoje z Jadwigą Tarłówną, napada go, rani i wtrąca do więzienia, z którego wypuścił go dopiero za obietnicą znacznego okupu. Niemało gwałtów działo się wówczas i uchodziło bezkarnie, gdyż Zygmunt August dla słabego zdrowia rzadko sądził sprawy, ztąd swawola ogromnie rosła. Lecz postępek Krzysztofa nie był zwyczajnym gwałtem: poranienie i uwięzienie hospodara, odbywającego podróż za ubezpieczeniem królewskiem, było zbrodnią stanu. Obawiając się tedy kary, a chcąc jej uniknąć, ułożył podobno spisek na życie króla wraz z innymi braćmi, przez których ze względu na charaktery i późniejsze czyny osób należy rozumieć Andrzeja i Samuela. Śmierć Zygmunta Augusta sprawiła, że szkaradny zamiar nie przyszedł do skutku [1]).

Podczas bezkrólewia Zborowscy bardzo żywo krzątają się około elekcyi. Oni to głównie przyczynili się do wyboru Henryka Andegaweńskiego. Pomimo, że różnowiercy — Andrzej tylko był katolikiem — stanęli po stronie francuzkiego księcia, częścią, żeby zrobić na złość Firlejom, z którymi na zabój byli powaśnieni, częścią zwabieni hojnemi obietnicami, jakie na prawo i na lewo sypał Montluc. Nie zawiodły ich oczekiwane korzyści, Henryk nad wszelką miarę okazywał im swoją wdzięczność. A tej łaski jego dla Zborowskich nie zachwiała nawet swawola dzikiego Samuela, który pokłóciwszy się z Tęczyńskim podczas uroczystości koronacyjaych, wdał się z nim w pojedynek na zamku, prawie pod okiem królewskiem; gdy zaś Wapowski, kasztelan przemyski, wpadł pomiędzy walczących, aby ich uspokoić, uderzony czekanem w głowę od samego Samuela, czy też od którego z jego ludzi, w kilka dni potem zakończył życie. Prawa krajowe karały nawet dobycie miecza w obecności króla, cóż dopiero zabójstwo popełnione w obrębie jego rezydencyi? Głos publiczny obwiniał Samuela, wdowa zabitego, poparta przez Tęczyńskich, domagała się sprawiedliwości. Po niejakiem ociąganiu się król wydał wre-

---

[1]) Andrzeja Rzeczyckiego Accusationis in Christophorum Zborovicum actiones tres. Cracoviae 1585, str. 60—62.

szcie wyrok, skazujący Samuela na wygnanie, bez utraty czci i na konfiskatę majątku. Stronny ten sąd, czyniąc ujmę reputacyi króla, ściągnął zarazem na Zborowskich prawie powszechną nienawiść, pomimo że mieli dosyć przyjaciół. Wapowska z płaczem przeklinała króla, a prymas Uchański powiedział, że pierwszy raz zdarzyło mu się słyszeć o wyroku cywilnym, wydanym w sprawie gardłowej [1]. Co gorsza, nawet temu dekretowi nie stało się w zupełności zadość, majątek bowiem odjęto wprawdzie Samuelowi, ale oddano jego bratu, a ten znowu przekazał go nieletniemu synowi winowajcy. Tym sposobem konfiskata stała się żartem, lecz i samo wygnanie pewnieby nie długo potrwało, gdyby Henryk był dłużej w Polsce panował. Z tem wszystkiem Zborowscy narzekali na surowość sądu; a król, jak gdyby kojąc ich żal, porozdawał im różne godności. Piotr z województwa sandomierskiego posunął się na krakowskie; Andrzej po śmierci Podlodowskiego otrzymał intratne starostwo radomskie, a w krótce potem został marszałkiem nadwornym; Krzysztof objął po Stanisławie Myszkowskim godność podczaszego koronnego. Niektóre inne nominacye nastąpiły również dla dogodzenia Zborowskim: podkanclerstwo wziął Wolski, człowiek bardzo uczony, ale daleko lepiej obeznany z obcemi sprawami niż krajowemi; kasztelania wileńska dostała się Janowi Chodkiewiczowi, mężowi Krystyny Zborowskiej, nawet kasztelanią przemyską po zabitym Wapowskim oddał król krewnemu Zborowskich, Drohojewskiemu. Nie mało też wzięli oni od króla kosztownych klejnotów i podarunków pieniężnych [2]. Im jednak hojniej obsypywani byli łaskami, tem bardziej topniała liczba ich przyjaciół. Gdy Henryk wzgardzony od wszystkich dla niedołęztwa i lekkomyślności, uciekł z Polski po czteromiesięcznem królowaniu, Zborowscy ujrzeli się nie na żart zagrożonymi w swojej powadze. Na zjeździe szlachty krakowskiej w Proszowicach objawiła się taka zawziętość przeciw Piotrowi, jako głównemu sprawcy elekcyi Henrykowej, że nawet jego siostrzeniec Stadnicki rwał się do szabli i groził mu śmiercią. Dla tego w drugiem bezkrólewiu, podczas gdy pry-

---

[1]) Orzelski.

[2]) Hejdensztejn.

mas Uchański z duchowieństwem i większość senatu świeckiego obstawali za kandydatem austryackim, Zborowscy dla podźwignienia upadłej swojej popularności jawnie trzymali ze szlachtą, przy której z tego samego powodu stał wówczas i Jan Zamojski. Szlacheckie to stronnictwo nie miało żadnego pewnego kandydata, jednomyślnie wszakże wyłączało od tronu dom rakuski, a w obecnych okolicznościach nie chciało słyszeć o niczem, coby jakikolwiek związek miało z Francyą. Tymczasem Zborowscy, przekonawszy się z doświadczenia, że elekcya jest wybornym środkiem do robienia interesów, gotowi byli popierać każdego, byle najwięcej zapłacił. Piotr, który jako starszy wiekiem i godnością, wodził rej w swojej rodzinie, rokował tajemnie i z księciem Ferrary, krewnym króla francuzkiego, i z panem czeskim Rosenbergiem, którego za pierwszej elekcyi chcieli byli niektórzy zalecić do tronu, i z księciem siedmiogrodzkim Stefanem Batorym, a jak się później pokazało, nie odrzucał i austryaka [1]).

Stosunki ich z Batorym datują się od czasu, jak Samuel, opuściwszy Polskę w skutek swego wygnania, zamieszkał na dworze siedmiogrodzkim. Po ucieczce Henryka zaczął on namawiać Batorego, aby się starał o koronę, co gdyby się powiodło, spodziewał się dla siebie zniesienia bannicyi i legalnego powrotu do kraju. Z tą samą propozycyą przyjeżdżał do Siedmiogrodu brat Samuela Krzysztof. Batory wszedł w porozumienie ze Zborowskimi, ale z początku wahał się wystąpić w roli kandydata; gdy zaś wreszcie wyprawił posłów na sejm elekcyjny, zalecił im, aby otwarcie nie popierali jego sprawy przeciw austryakowi. Bo też w rzeczy samej kandydatura jego nie miała szansy powodzenia; wprawdzie przemawiał za nim sułtan turecki, jako za swoim hołdownikiem, ale w opinii wolnego narodu rekomendacya taka raczej szkodziła Batoremu, jak pomagała; obawiano się przy tem, że jego wybór mógłby wplątać Rzeczpospolitą w wojnę z Austryą [2]). Skoro więc przyszło do głosowania, nikt, ani nawet Zborowscy, z wyjątkiem jednego Andrzeja, nie odważyli się wymienić Batorego. Naj-

---

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Hejdensztejn.

mocniej jednak musiał być przekonanym o niepodobieństwie tego wyboru Krzysztof Zborowski, bo ten wziąwszy pieniądze od Batorego na pozyskanie dlań stronników, bez ceremonji przerzucił się do obozu austryackiego. Ale niebawem los zadrwił sobie zprzeniewiercy. Batory zasiadł na tronie polskim. Prawdopodobnie nigdyby się to nie było stało, gdyby nie zbyteczny pośpiech stronnictwa austryackiego, które zniecierpliwione oporem szlachty, postanowiło wbrew jej woli przeprowadzić swego kandydata i ogłosiło królem cesarza Maksymiliana. Przeciwne stronnictwo, które dotychczas nie było się jeszcze zdobyło na kandydata, przerażone nie wiedziało zrazu, co począć; w tem Tęczyński wojewoda i Zamojski podówczas starosta bełzki wpadli na myśl ogłoszenia królową Annę Jagiellonkę. Szlachcie podobała się ta niespodzianka, sześć województw ruskich zaraz okrzyknęło Annę królową, a za małżonka dla niej obrało Stefana Batorego. W krótce potem odbyte sejmiki wojewódzkie i ogólny zjazd jędrzejowski zatwierdziły tę polityczną improwizacyą [1]. I Maksymiliana i Batorego elekcyi dużo zbywało na prawności; lecz skoro obie chromały, o wprowadzeniu na tron jednego z elektów miała stanowić formułka rzymska *prior tempore, potior jure.* Utrzymał się Stefan bo gdy Maksymilian, który zresztą nie dla siebie pragnął korony polskiej, tylko dla syna swego Ernesta, zaprzysięgał dopiero pakta konwenta, Stefan był już w granicach Rzeczypospolitej, gdy Maksymilian miarkując, że bez zbrojnych posiłków nie poprze swego wyboru, zwoływał sejm cesarstwa do Ratysbony, Stefan już wjechał do Krakowa i został ukoronowany. Maksymilijaniści próbowali jeszcze ratować swoją sprawę zjazdami i poselstwami do cesarza, ale gdy ten opieszale sobie poczynał, jeden za drugim zaczęli przechodzić na stronę Batorego. Najtwardsi schronili się na dwór cesarski, lecz skoro Maksymilian w kilka miesięcy po koronacyi Batorego umarł, ustała i dla tych wszelka racya oporu — powrócili do kraju i uznali panującego króla.

Zborowscy chełpili się, że w Polsce znowu siedzi król, któremu oni utorowali drogę do tronu, i jak dawniej od Hen-

---

[1]) Hejdensztejn.

ryka, tak teraz od Stefana wyglądali nagród za swoje usługi. Ale pomijając już to, że takie przechwałki obruszały Batorego, który nie chciał być królem ani od parady ani z dobrodziejstwa jakiejś fakcyi. Zasługa jego obioru należy się raczej biegowi wypadków, zrządzeniu Opatrzności, aniżeli wyłącznym czyimkolwiek staraniom. Zborowscy poszli za prądem, poparli Batorego, kiedy już ogół szlachecki oświadczył się za nim; dorachowawszy do tego przeniewierstwo Krzysztofa, nie można się dziwić, że król nie poczuwał się względem nich do obowiązku wdzięczności. Podczas sejmu koronacyjnego, który zwykle bywał porą największego ubiegania się o wakanse, miała zawakować pieczęć mniejsza. Kanclerzem wielkim był wówczas Dębiński już całkiem niezdatny dla zgrzybiałego wieku i niedbalstwa, co po części i sam przyznawał i na żądanie króla gotów był ustąpić z urzędu, który wedle zwyczaju dostałby się podkanclerzemu Wolskiemu; tym sposobem podkanclerstwo byłoby do ofiarowania. Zborowscy starali się o nie dla swego brata Andrzeja; lecz że król nie chciał wyświadczyć im tej łaski, umyślnie odrzucił dosyć ciężkie warunki, pod jakiemi Dębiński rezygnował z kanclerstwa. Zborowscy zaczęli nalegać na Dębińskiogo, ażeby podał lżejsze. Ten rzeczywiście przyrzekł to uczynić, ale z zastrzeżeniem, aby pieczęć nie dostała się Zborowskim, bo już i jego zniecierpliwiło w końcu ich natręctwo. Z rozkazu króla przedstawiono Zamojskiego. Wielkiem było oburzenie Andrzeja, który z marszałkowskiego swego urzędu musiał sam wręczać Wolskiemu pieczęć większą po Dębińskim, a Zamojskiemu mniejszą po Wolskim. Nie mniej żywo wziął tę mniemaną krzywdę do serca Piotr wojewoda krakowski i ze zmartwienia zachorował czy też udał chorego, przynajmniej zażywał jakieś lekarstwo [1]). Tak więc już na wstępie rządów Batorego między nim a Zborowskimi wszczęły się niesmaki, które im dalej w czas, tem ostrzejszy przybierały charakter, aż nareszcie ze strony Zborowskich przeszły w ślepą nienawiść, w podziemne knowania i spiski, co wszystko na hańbę tego dumnego i niespokojnego rodu skończyło się ścięciem jednego brata, a wyrokiem infamii na drugiego.

---

[1]) Hejdensztejn.

Z góry trzeba powiedzieć, że ani Piotr, który umarł w roku 1581, ani tem bardziej Jan, którego spotkało to niezasłużone nieszczęście, że doczekał się obu tych katastrof, nie mieli żadnego udziału w smutnym dramacie, którego bohaterami byli Andrzej, Samuel i Krzysztof. Najczynniejszą i najszkaradniejszą rolę odgrywał ten ostatni, Krzychnik niecnota, jak go nazywał Zamojski, ostrożniéj postępował Andrzej, a najmniej winnym był Samuel, którego, jak się pokazało ze śledztwa i z jego własnych zeznań, tamci dwaj używali za narzędzie swoich zamiarów

Gdy Batory jechał z Siedmiogrodu na królestwo do Polski, towarzyszył mu Samuel. Podług prawa nie wolno było wywołańcom pod karą śmierci wkraczać w granice kraju; król jednak, który polubił był Samuela dla jego męztwa, pozwolił mu zamieszkać w jego dobrach Słostowskich, leżących na pograniczu, pod warunkiem, ażeby cicho siedział, dopókiby zeń bannicya nie została zdjętą [1]). Ale na to trzeba było czasu, bo wyrok publicznie wydany na sejmie, mógł być uchylonym tylko za upoważnieniem stanów, oraz za zgodą strony, pokrzywdzonej przez winowajcę. Samuel zuchwały i niecierpliwy, nie zważając na to, szastał się po całej Polsce, bywał w stolicy, pokazywał się nawet na sejmach. Wszyscy szemrali przeciw takiemu lekceważeniu prawa, mówiono o tem w senacie, i posłowie ziemscy skarżyli się nieraz; ale urzędnicy patrzyli na to przez szpary, już to nie śmiąc zaczepić tak możnych panów, jakimi byli Zborowscy, już znowu, że sam Batory upoważniał poniekąd Samuela do takiego zachowania się, bo wiadomo, że Samuel bywał czasem, wprawdzie tylko ukradkiem, wprowadzany na pokoje królewskie. Chciał go podobno Batory użyć do osadzenia na tronie wołoskim Kaspra Bekiesza, który ze współzawodnika i nieprzyjaciela w Siedmiogrodzie stał się potem w Polsce wiernym pomócnikiem i ulubieńcem króla [2]). Trudno jednak było myśleć o zdjęciu z Samuela bannicyi, chociaż Zborowscy gorliwie się o to starali tak u samego króla jak u Zamojskiego i innych senatorów. Zamojski w wielkich

---

[1]) Hejdensztejn.

[2]) Pauli w przedmowie str. XX.

łaskach będący u Batorego, nie odmawiał swojej pomocy Zborowskim szczególnie przez przyjaźń dla kasztelana gnieźnieńskiego; ale Samuel sam psuł swoją sprawę. Nie dość bowiem, że publicznie wszędzie się pokazywał, lecz dopuszczał się nadto grubych gwałtów, jak n. p. na osobie szlachcica weneckiego Candiano, którego rozbroiwszy i osmarowawszy miodem, zmusił do spotkania się z rozjuszonym niedźwiedziem, a potem kazał oćwiczyć rózgami [1]. Sam Kraków był nieraz widownią jego rozpasanej swawoli, o czem mówi Zamojski w liście do deputatów trybunału lubelskiego, gdzie wspomina, że Samuel ze zgrają swoich popleczników zdobywał szturmem dom księdza Ługarskiego pod zamkiem, zasadzał się na gościńcach pod miejskich i porywał przejeżdżające kobiety [2]; ksiądz Brzowski znowu opowiada, jak pewnego razu schwytał na ulicy w Krakowie jednego dominikana i przyprawił o barbarzyńskie kalectwo [3]. Wszystko to uchodziło Samuelowi bezkarnie, gdyż urząd starościński w stolicy sprawował brat jego Piotr. Od tych niegodziwości odbija niejakim blaskiem rycerskiej odwagi wyprawa jego na Niż, przedsięwzięta w r. 1579, może za wskazówką samego Batorego, który rozpocząwszy w tym czasie pamiętną wojnę z Iwanem Groźnym, chciał podobno z tej strony zaczepić Moskwę. Niżowcy obrali Samuela hetmanem; ale nie była to głowa do rady, nie umiał on utrzymać w posłuszeństwie niesfornej tłuszczy kozackiej, to też nie przyszło do żadnych kroków przeciw Moskwie, tylko w drobnych utarczkach z Tatarami i Turkami dowiódł, że mu nie zbywało na przymiotach mężnego żołnierza [4].

Kiedy tak Samuel dokazywał w Polsce, Krzysztof zarabiał sobie na niesławę za granicą. Nie poprzestał on na tem, że oszukał Batorego, przechodząc na stronę cesarza Maksymiliana; chciał go jeszcze sprzątnąć ze świata, zapewne, żeby tym sposobem załatwić z nim pieniężny rachunek. Podczas wjazdu Stefana do Krakowa ukrył się z niejakim Ciołkiem,

---

1) Pauli str. X.
2) Pauli str. 111.
3) Pauli str. XI.
4) Paprockiego Herby rycerstwa polskiego. Kraków 1584 str. 103—112.

swoim wspólnikiem, w pewnej gospodzie i ztamtąd miał strzelić do króla [1]). Nie wiemy dla czego, ani jakim sposobem zamach ten spełzł na niczem, bo źródła spółczesne nawiasowo tylko o nim wspominają. Zaraz potem Krzysztof wyjechał na dwór cesarski i bawił w Ratyzbonie, właśnie gdy Maksymilian odprawiał sejm. Batory po koronacyi swojej wysłał był na ten sejm Krotowskiego, wojewodę inowłocławskiego, i Solikowskiego sekretarza swego, późniejszego arcybiskupa lwowskiego, ażeby odwiedli cesarza ad próżnych już naówczas marzeń o koronie polskiej. Krzysztof obecny posłuchaniu posłów, śmiał w oczy im zarzucić, że przybyli bez upoważnienia publicznego nie w imieniu Rzeczypospolitej, tylko w swojem własnem, a nawet wyzwał Krotowskiego na pojedynek. Instygator Rzeczycki, który był oskarżycielem Krzysztofa na sądzie sejmowym w r. 1585, dotknąwszy tego szczegółu, dodaje, że posłowie królewscy w skutek zuchwałego zarzutu Krzysztofa zostali uwięzieni i nie wypuszczeni na wolność, aż dopiero po śmierci Maksymiliana. Jest to błąd, jak się zdaje, rozmyślny. Owszem, posłowie polscy, dość łaskawie wysłuchani od cesarza, najspokojniej wyjechali z Ratyzbony, a schwytano ich o trzy mile ztamtąd i zamknięto w Lincu nie z winy Krzysztofa, lecz że w tym czasie uwięziono w Polsce ajenta austryackiego Kurzbacha [2]). Po zgonie Maksymiliana przesiadywał Krzysztof już to w Niemczech, już we Włoszech, udając hrabiego i pędząc życie rozpustne i marnotrawne, tak że nareszcie nie miał z czego i jednego pachołka utrzymać, coby dziś nie jednemu hrabiemu uszło, ale w owych czasach utytułowany pan bez licznej czeredy dworskiej nikomu nie mieścił się w głowie [3]). Krótko mówiąc Krzysztof zrujnował się. Ponieważ pustki w kieszeni były dlań zawsze bodźcem najgorszych pomysłów, zaprowadziły go więc teraz do konszachtów z carem moskiewskim, który lubo w swojem państwie najwyszukańszemi mękami karał nawet cień zdrady, nie wstydził się podmawiać do niej obcych poddanych, zwłaszcza gdy z ich panami wojnę

---

[1]) Rzeczycki str. 64.
[2]) Hejdensztejn.
[3]) Rzeczycki str. 67.

prowadził, a właśnie miał wtedy wojnę z Batorym. Dał się i Samuel wciągnąć do planów swojego brata i obaj porozumiewali się z carem przez niejakiego Zacharyasza Suchowskiego [1]. Pierwszą wiadomość o tych stosunkach powziął król w Wilnie przed wyprawą pod Wielkie Łuki z procesu szlachcica litewskiego Grzegorza Ościka, który także w zdradliwych zamiarach znosił się z Moskwą. Przekonany o takowe i skazany na ścięcie, Oscik oświadczył przed śmiercią, że ma coś ważnego powiedzieć, i prosił króla, aby przysłał doń jakiego zaufanego człowieka. Król posłał Bekiesza, przed którym Ościk zeznał, że obaj Zborowscy i Wojciech Łaski, wojewoda sieradzki, listownie porozumiewali się z carem [2]. Łaski, jeden z zawziętych przeciwników elekcyi Batorego, bawił wówczas na dworze cesarskim, nie chciał jednak plamić się zdradą; kiedy więc później poseł moskiewski do cesarza przywiózł mu list od cara, Łaski omal nie poczęstował posła kijem, a list za powrotem swoim do Polski oddał królowi [3]. Tym sposobem zeznanie Ościka zostało po części stwierdzone faktem; ale wówczas gdy Ościk je składał, nie było jeszcze innych dowodów przeciw Zborowskim. Przeto gdy Piotr Zborowski, zaniepokojony zeznaniem Ościkowem, pytał się Zamojskiego, coby za poszlaki ciążyły na jego braciach, otrzymał odpowiedź, że to są rzeczy małej wagi [4]. Wreszcie Samuel, któremu choć był bannitą, prawo pozwalało służyć wojskowo, pociągnął z braćmi Janem i Andrzejem na wojnę moskiewską i chlubnie się odznaczył w różnych utarczkach pod Toropcem i Wielkiemi Łukami, zadając w ten sposób niejako kłam udziałowi swemu w intrygach Krzysztofa [5]. Ale niebawem znowu do nich się wmięszał. Iwan Groźny przyciśnięty orężem polskim, zaczął myśleć o interwencyi dyplomatycznej cesarza i papieża. W tym celu wyprawił do Pragi, gdzie cesarz Rudolf najczęściej przemieszkiwał, poselstwo, którego głową był Atanazy Riazanów. Ten

---

[1] Rzeczycki str. 67.

[2] Hejdensztejn.

[3] Bröel-Platera Zbiór pamiętników do dziejów polskich. Warszawa 1858. t. II. str. 161.

[4] Rzeczycki str. 78.

[5] Hejdensztejn.

między innemi poleceniami miał także rozkaz od swego pana, tyczący się układów ze Zborowskimi.

Ze świadectwa Wilhelma Peplera, tłumacza poselstwa moskiewskiego, pokazuje się, że Krzysztof miewał częste narady z Riazanowym w gospodzie poselstwa *auf der Bastei*, że przyrzekał służyć carowi i żądał zadatku. Ponieważ posłowi zabrakło było gotówki, pojechał więc z Krzysztofem do Lubeki, ażeby się tam zapożyczyć u kupców, mających stosunki z Moskwą. W Lubece Krzysztof zaprzysiągł wierność carowi moskiewskiemu w obecności Peplera, za którym, jako za tłumaczem, powtarzał słowa przysięgi, i dostał tysiąc talarów, poczem Riazanow chciał, aby niezwłocznie udał się do Moskwy. Ale że nadchodziła zima i nie można było wypłynąć okrętem z Lubeki, wrócił Krzysztof do Pragi, gdzie miał niby sposobić się do drogi. Działo się to wówczas, kiedy król Stefan zdobywał Wielkie Łuki. Riazanow pozostał z Peplerem w Lubece przez całą zimę, a kupiec, który dostarczył pieniędzy, Zacharyasz Mejer, powiózł do Moskwy rotę przysięgi Krzysztofa i listy od niego do cara [1]). Jechał przez Inflanty i w Rydze musiał ściągnąć na siebie jakieś podejrzenie, gdyż w dalszą drogę zdołał ruszyć tylko przy pomocy dwóch obywateli, którzy na rozkaz króla zostali za to uwięzieni, a nawet mieli uledz karze śmierci, lecz król przebaczył, wzruszony prośbami senatu miejskiego [2]). Że w tymże czasie i Samuel znosił się z carem, poświadczyli jacyś Jan Dora i Criselli, którzy dowiedzieli się o tem, bawiąc w Moskwie [3]); na wiosnę zaś następnego roku inny poseł moskiewski, wysłany do cesarza i papieża, Tomasz Szawrow, przy którym znowu Pepler pełnił obowiązek tłumacza, przywiózł do Pragi list carski, adresowany do Samuela [4]). Odebrał go Krzysztof, który nie pojechał do Moskwy, częścią, że bracia odradzali mu tę podróż, częścią znowu dla tego, że jak inne świadectwo dowodzi, układ w Lubece nie był stanowczym, i że Krzysztof sprze-

---

[1]) Rzeczycki str. 67—70.
[2]) Rękopis biblioteki Jagiellońskiej Nr 107 in folio. str. 477.
[3]) Pauli str. 155.
[4]) Rękopis str. 476.

dając swoje usługi carowi, wymówił sobie pewien termin, w którym, gdyby nie nadeszła ostateczna odpowiedź carska na jego warunki, umowa mogła być zerwaną. Otóż ten termin upłynął, a odpowiedź nie przyszła, gdyż w Moskwie zaczęto już na dobre myśleć o pokoju i nie uważano za stosowne drażnić Batorego tajemnemi konszachty z jego nieprzyjaciołmi. Tak przynajmniej sądził ulubieniec Iwana Groźnego, Bohdan Bielski, który w poufnej rozmowie pokazawszy listy Krzysztofa Janowi Zulaffowi, lekarzowi cesarskiemu, i wytłómaczywszy o co chodzi, powiedział, że umyślnie unika przed carem wzmianki o tej sprawie, aby nie niweczyć nadziei pokoju [1]). Z tem wszystkiem poseł moskiewski użalał się w Pradze przed niejakim Chojeńskim, krewnym Zborowskich, że Krzysztof przysiągłszy carowi na wierność i wziąwszy pieniądze, przysięgę złamał, do Moskwy nie pojechał, że nawet na posła miał czynić jakieś zasadzki, postępując tak zapewne, żeby wyłgać więcej pieniędzy: groził wreszcie, że o zdradzie Krzysztofa dowiedzą się król polski i cesarz Rudolf [2]). Ten ostatni rzeczywiście zasięgał od Peplera wiadomości o układach lubeckich, naprzód przez marszałka swego Dietrichstejna, a potem osobiście, czem zgorszony, jak słyszał Pepler, kazał Krzysztofowi opuścić dwór [3]).

Nie wiadomo, czy Andrzej Zborowski należał do tych praktyk moskiewskich, o których zresztą wszyscy bracia doskonale wiedzieli. Natomiast nie ulega wątpliwości, że miał czynny udział w planach daleko gorszych, w tem, co bracia zaprzysięgli sobie na trawie Zborowskiej, jak wyraża się Krzysztof w liście do Samuela, a co po części wyszło na jaw podczas sejmu warszawskiego, odprawianego w jesieni 1582. Była to jedna z owych chwil burzliwych i gorzkich, których Batory tak wiele zaznał w ciągu krótkiego swego panowania. Niemało spraw bardzo pilnych i wielkiej wagi wymagało załatwienia: trzeba było urządzić odzyskane na Moskwie Inflanty, wypłacić zaległości wojsku, ktore tyle trudów poniosło w wojnie mo-

---

[1]) Rzeczycki str. 71—73.
[2]) Pauli str. 153—154.
[3]) Rzeczycki str. 70.

skiewskiej, pomyśleć o dzielnem zabezpieczeniu Rzeczypospolitej od napadów tatarskich; wreszcie sprawy wewnętrzne, jako to oznaczenie stałej formy elekcyi, zgoda między stanem duchownym a świeckim, poprawa sądownictwa — także domagały się rozwiązania. Pomimo to nic nie uczyniono, gdyż usposobienie stanów dla króla było wielce nieprzychylne: znikł urok chwały wojennéj, który otaczał go jeszcze przed rokiem, natomiast widmo absolutnych rządów stanęło między królem a narodem i bałamuciło umysły. Niechętni Batoremu, a niechętni z pobudek czysto osobistych, podburzali na sejmikach szlachtę, bijąc przeważnie w bęben zagrożonéj wolności; krzyczeli, że król wszystko robi sam z Zamojskim, jedynym swoim powiernikiem i pomocnikiem, że trzyma wojsko w pogotowiu, pomimo że pokój nastał; rozgłaszali, że chce uciskać dyssydentów, że zamierzona poprawa sądów jest tylko pozorem do przywłaszczenia sobie całej władzy sądowniczej. Zjechała się też szlachta na sejm, przejęta duchem bezrozumnej opozycyi, i dokazała tego, że cała sesya zeszła na dwóch podrzędnych sprawach Czarnkowskiego, byłego referendarza koronnego. Zamojski, świadomy tego usposobienia szlachty, zrobił przytyk do jego sprawców, mówiąc przy otwarciu sejmu, że są już gotowi Petyliusze, oby tylko żaden Katylina się nie zjawił! [1]). Ale zjawił się i Katylina. Właśnie podczas tego sejmu Samuel Zborowski przyszedł do Wojciecha Łaskiego z osobliwszą propozycyą, ażeby chciał należeć do spisku, uknutego przez braci jego przeciw królowi. „Za naszem staraniem — mówił Samuel — zasiadł Batory na królestwie, a teraz niepomny tego, okazuje nam swoją niełaskę; lecz nie długo to potrwa, musi do tego przyjść, że obierzemy sobie innego pana.“ Łaski odpowiedział, że jako wierny poddany i senator, wyjawi to królowi. Samuel pogroził mu śmiercią [2]). Ten jednak nie uląkł się pogróżki, i co słyszał, opowiedział Batoremu, ofiarując się powtórzyć w żywe oczy Samuelowi jego słowa, jeżeli król każe go przywołać. Ale Batory nie pozwolił na to, mówiąc: *non est opus*. Oczywiście przekonany o złośliwości

---

[1]) Hejdensztein.
[2]) Rękopis str. 421

Zborówskich, nie chciał słuchać kłamliwych wymówek, do jakich Samuel musiałby się uciec, gdyby go postawiono oko w oko z Łaskim. W kilka dni potem Samuel zapragnął dowiedzieć się, czy Łaski mówił z królem; dostawszy odpowiedź od Łaskiego, że mówił, zapytał z urąganiem: „a cóż ci król dał za to?“ [1]). Nienawiść Zborowskich do króla tak daleko już była zaszła, że i po doniesieniu Łaskiego nie zaniechali zbrodniczego zamiaru, którego wykonawcą miał być odważny Samuel. Po sejmie, gdy Zamojski z rozkazu króla zbierał we Lwowie wojsko dla obrony granic od Tatarów, kręcił się i on w tych stronach. Pewnego dnia jadąc do Lwowa, spotkał dwóch znajomych szlachciców, Gosławskiego i Bokszyckiego, których wziąwszy z sobą na wóz, zaczął namawiać, aby mu byli pomocnymi w zamachu na życie królewskie. Lżył Batorego, przypominając, że gdy bawił na jego dworze w Siedmiogrodzie, podarował mu pościel jedwabną, śliczne konie i wiele innych pięknych rzeczy, a on to wszystko puścił w niepamięć. Wymyślał też na Zamojskiego, którego Zborowscy również nienawidzili, już to zazdroszcząc mu łask królewskich, już znowu posądzając go, że szkodził im u dworu. „Trafię ja kanclerza między oczy, odgrażał się Samuel, wszakże wolę tego psa węgierskiego,“ t. j. króla. Spólnikom swoim obiecywał wielkie nagrody i mówił, że skoro Stefan zostanie zabity, a cesarz posiędzie tron polski, wszystkim będzie dobrze. Rozważał przy tem, w jakiby sposób można najbezpieczniej dokonać morderstwa. Byłoby, sądził, najlepiéj zasadzić się w jakiej karczmie przy drodze i upatrzywszy dogodną chwilę, gdy jedna część orszaku królewskiego pojedzie, jak zwykle, przodem, a druga pozostanie w tyle, wypalić do króla ze strzelby, poczem zaraz na przygotowanych koniach uciekać do Moraw [2]). W Morawach przemieszkiwał wówczas Krzysztof, zalecając się do bogatéj wdowy Kawczynej, z którą się też później ożenił. Znane były i Bokszyckiemu Morawy, gdyż on to, jak głoszono, zabił męża tej pani, a potem nieraz posłował do niej od Krzysztofa, tak iż mimowolnie nasuwa się podejrzenie, że i w tej

[1]) Pauli str. 154—155.
[2]) Rękopis str. 487.

zbrodni mogła być ręka niegodziwego Krzychnika [1]. Ale pokazuje się, że Samuel nie umiał dobierać sobie spólników: jak przed tem na Łaskim, tak teraz zawiódł się na Bokszyckim i Gosławskim. Ci bowiem, choć ich kusiły obietnice Samuela, zmiarkowawszy jednak, że co innego pan Kawka, a co innego król, postanowili za przybyciem do Lwowa poradzić się Porudzyńskiego, dworzanina królewskiego, człowieka ich zdaniem bardzo mądrego, do którego sam pan podkomorzy Cikowski, jeśli w czem pobłądził, zwykł był udawać się po radę. Porudzyński odwiódł ich od spólnictwa z Samuelem, mówiąc, że to palem pachnie, i napominając, aby raczej oglądali się na poczciwość szlachecką, jak na zysk [2]. Wreszcie i Samuelowi już co innego zaświtało w głowie: zapragnął jechać na Niż, aby znowu hetmanić kozakom. Bracia, potrzebując mieć tego śmiałka pod ręką, odradzali mu to, szczególnie Krzysztof, który listownie przekładał mu, że teraz właśnie najpomyślniej składają się dla nich okoliczności: w Polsce umysły są wzburzone, w Inflantach zanosi się na nową wojnę, owóż zerwie się wiatr północny i wybije godzina, w której Zborowscy będą mogli podnieść upokorzone głowy; a gdyby w tej zawierusze nie dosyć się powiodło, wtedy chwycą się tego, co uradzili byli między sobą na trawie Zborowskiej [3]. Niezręcznym jednak spiskowcem był Samuel, bo i ten list kompromitujący odczytał głośno w obecności Samuela Łaskiego, synowca wojewody sieradzkiego, oraz wielu innych osób, i nie zważając na perswazye braterskie, pojechał na Niż.

Gdy tak zaślepieni Zborowscy gwałtem napierali się swojej zguby, błysnęła dla nich chwila, w której najłatwiej i najkorzystniej mogli opuścić złą drogę. W czerwcu roku 1583 Zamojski obchodził w Krakowie wesele swoje z Gryzeldą Batorówną. Małżeństwo z synowicą królewską dodało mu wiele powagi, ale w kraju, gdzie równość szlachecka już się była stała artykułem wiary, musiało zarazem ściągnąć nań wielką nienawiść, co sam z pewną naiwnością wyznaje w następujących słowach: „widziałem, że to ożenienie moje, acz pewnie

[1] Rzeczycki str. 140.
[2] Pauli str. 156—157.
[3] Rzeczycki 142—143.

nie z ambicyi, lecz od Boga poszło, miało być u ludzi to w takiem, to w owakiem mniemaniu, iże mieli rozumieć, jakobych ja wynosić się miał nad insze; przeto baczyłem, że mi potrzeba było każdemu się układać *humane*, tak wszystkie uchodzić i pokazać, że nic mię nie unosi ta łaska pańska i to przejrzenie boże" [1]. W istocie kłaniał się Zamojski na wszystkie strony, komu i jak mógł, dogadzał. Rozumie się, że i Zborowscy nie zaniechali korzystać z tak wybornej sposobności, a Zamojski nie szczędził fatygi, aby się stało zadość ich żądaniom. Wyrobił Andrzejowi dwa tysiące złotych rocznego jurgieltu; wstawiał się u strony za Samuelem, ażeby przebaczyła zabicie Wapowskiego i zezwoliła na zdjęcie bannicyi. Usłużność jego tak wielką była, że nawet Krzysztof, rachując na nią, odważył się przyjechać do Polski — i nie zawiódł się, Zamojski bowiem, jakkolwiek z trudnością, wyjednał mu przebaczenie królewskie. Ale Zborowscy nie znali umiarkowania. Pan marszałek nadworny, który lubił życie zbytkowne i wystawne, dąsał się, że tylko dwa tysiące otrzymał, nie cztery, jak chciał; Zamojski przyrzekł, że i o to będzie się starał, tylko prosił o cierpliwość. Najwięcéj jednak oburzyła króla bezczelność Krzysztofa, który tyloma przeniewierstwami splamiony, niczem jeszcze ich nie zmazawszy, śmiał żądać, aby mu dano pensyą po zmarłym w tym czasie Szperwejnie, zasłużonym wojaku. Naturalnie Batory odmówił.

O Samuelu znowu, bawiącym na Niżu, doszły wiadomości wcale niepocieszające. Podczas wesela Zamojskiego kozacy niżowscy wpadli do Turcyi, zburzyli naprzód pograniczny zamek turecki Jahorlik, a potem zrabowali i spalili Tehinię i Bendery, stolicę sandżaku. Podejrzywano, że się to stało z naprawy Samuela, i wielce oburzano się na szaleńca, że swoją swawolą ściągał na kraj niebezpieczeństwo tureckie, tem pewniejsze, że Porta już od niejakiego czasu była z Polską na bakier. Podejrzenie to wzrosło, gdy do Krakowa przybyło poselstwo kozackie dla usprawiedliwienia się przed królem z napadu, uczynionego na Turcyę; Krzysztof bowiem przyjmował u siebie tych posłów i porozumiewał się z nimi [2]. Wszystko

---

[1]) Pauli str. 67—68.
[2]) Hejdensztejn.

to podsycało niechęć króla ku Zborowskim, a ci ze swojej strony, nie otrzymawszy od niego tyle, ile chcieli, na nowo wzięli się do knowań, na jak wielką skalę pomyślanych, odkryły to niebawem listy Krzysztofa do Samuela i do Niżowców, które przypadkiem dostały się w ręce królewskie.

Batory wyprawił był na Podole wojsko przeciw Tatarom. Między innymi posłał też pana węgierskiego Czobara. Ten, nocując we Lwowie, spotkał w gospodzie człowieka, biegle grającego na lutni; zapytał go, kim jest, a dowiedziawszy się, że służy u Samuela Zborowskiego, zaczął go częstować, chcąc się dowiedzieć jakich szczegółów o Samuelu, o którym wiedziano, że się wiązał z kozakami. Wino i dukaty węgierskie rozwiązały język lutniście; powiedział, że jego pan bawi tylko o kilka mil ode Lwowa i jakieś szczególne rzeczy knuje, które obiecał wykryć, ale czując się podchmielonym, odłożył to do drugiego dnia. Nazajutrz Czobar powtórzył traktament i znowu dał lutniście kilka sztuk złota, nalegając, aby wykrył, co wie. Ten odpowiedział, że gotów jest to uczynić i że przyniesie oryginalne listy, które do Samuela pisywali bracia, byleby Czobar zapewnił mu zupełne bezpieczeństwo i służbę u jakiego innego pana. Czobar przyrzekł jedno i drugie; lutnista odjechał i wkrótce powrócił z listami. Dano mu natychmiast dzielnego konia i kazano wieźć te listy czem prędzej do Niepołomic, do króla [1]). Nie wiadomo, jak obszerną była korespondencya, skradziona Samuelowi przez lutnistę; znamy tylko dwa listy Krzysztofa, wydrukowane jako dodatek do książki Rzeczyckiego, zkąd pożyczyli je pp. Siemieński [2]) i Pauli [3]) do swych Pamiętników. Obydwa posłużyły później za podstawę procesu, wytoczonego Krzysztofowi. W jednym z nich do Samuela, datowanym 17go lipca 1583 z Krakowa, Krzysztof doniósł bratu, że od króla, o którym wątpił, czy był godzien tego imienia, nic a nic zgoła się nie otrzymało, pomimo że Zborowscy bardzo skromne stawiali warunki, bo prosili tylko o pensyę dla Andrzeja i Krzysztofa i o zdjęcie niesłusznej bannicyi z Samuela;

---

[1]) Pauli str. 45—48.

[2]) Pamiętniki o Samuelu Zborowskim. — Poznań 1844, str. 28—33.

[3]) Str. 37—44.

tylko kasztelan gnieźnieński dostał, o co prosił. „Ale Bóg ojców naszych — pisał Krzysztof — nie pocieszy tego przeklętego Judasza, ani jego panów; jeszcze pomyślimy o sobie, choć nas nie wielu.“ Różne rzeczy natrącał tylko zlekka, mówiąc, że listowi nie godzi się ich powierzać; ale i z tego, co w liście stało, wyświecały się poczęści zamiary Zborowskich. Widać było, że burzyli szlachtę przeciw królowi, wmawiając w nią. że ich krzywda jest oraz krzywdą całej Rzeczypospolitej, jest początkiem pognębienia wolności; starali się też, korzystając z pobytu Samuela na Niżu, zjednać dla swego domu kozaków. Wskazówki te, zestawione z obelżywemi przymówkami do króla i ze wzmianką o wyprawieniu gońca do Wiednia po jakieś listy cesarskie, świadczyły, że Zborowscy musieli myśleć o wprowadzeniu na tron nowego pana. Wielce też była podejrzaną dodana w liście prośba do Samuela, aby jak najrychlej powracał z Niżu, „bo nam niewymownie trzeba waszmości,“ pisał Krzysztof. Czy w umyśle króla te słowa tajemnicze nie łączyły się z tem, co Samuel mówił w Warszawie Łaskiemu? wreszcie musiał już także wiedzieć o spotkaniu się jego z Gosławskim i Bokszyckim; trudno bowiem przypuścić, żeby Porudzyński, któremu tamci byli się zwierzyli, długo chował te rzeczy pod korcem. Drugi list do Niżowców pisany, zawierał prośbę, aby zawsze byli życzliwi domowi Zborowskich i nie zważali na to, że dobre te stosunki mogłyby się komuś w Polsce nie podobać. „Jakoż za tą dobrą sławą waszą — kończył Krzysztof — którą nietylko tu w Polszcze, ale i po cudzych krajach, u cesarzów i wielkich królów słyniecie, niedługo nam da Bóg tego czasu czekać przyjdzie, że się sobie w jakiej ważnej sprawie przygodzić będziem mogli.“

Z temi listami w ręku można było pozwać Zborowskich przed sąd. Ale król nie uczynił tego, obawiając się, jak mówi Hejdensztejn, gwałtownych rozruchów, gdyby honor i dobra tej możnej rodziny ośmielono się wystawić na szwank. Zdaje się jednak, że nie tyle Batoremu, ile Zamojskiemu zbywało na determinacyi i że za jego wpływem król postanowił raczej odstraszyć Zborowskich od zbrodni, aniżeli karać. Za pozwoleniem króla kanclerz pokazał przejęte listy kasztelanowi gnieznieńskiemu, który poznał i pismo i pieczęć, a nie mogąc bronić braci, błagał tylko o darowanie winy. Zamojski uściskał

kasztelana i przyrzekł mu, że jego wierność więcej zaważy u króla, niż przewinienia jego braci, byleby się upamiętali; prosił zatem, aby użył na nich swojego wpływu [1]. Czuła ta scena do niczego nie doprowadziła. Zborowscy, jeżeli brat im co mówił, nie usłuchali jego przełożeń, bo go nie cierpieli; owszem pojmując, że w skutek przejęcia owych listów nie mogą już liczyć na żadne łaski u dworu, postanowili koniecznie zgubić króla. Chcieli naprzód sprzątnąć go na polowaniu i uczynili zasadzkę w puszczy niepołomickiej; ale łożniczy królewski Filipowski, wcześnie dowiedziawszy się o tem, ostrzegł króla, wysłani zaś ludzie rzeczywiście odkryli zasadzkę [2]. Za radą Zamojskiego i tę sprawę pominięto milczeniem; oczywiście kanclerz ciągle jeszcze trwał w uprzedzeniu, że byłoby rzeczą niebezpieczną zmierzyć się ze Zborowskimi. Cóż dziwnego, że im bardziej ich oszczędzano, w tem większą rośli zuchwałość? W jesieni król miał udać się do Grodna. Zborowscy wiedząc, że pojedzie na Korczyn i Lublin, a więc nie ominie ich wsi Zborowa, obrali ją za miejsce mordu i zgromadzili się tam ze swymi poplecznikami. Ale krewny ich Spytek Jordan zawiadomił o tem Zamojskiego, który jak najśpieszniej zebrał swoich przyjaciół i sług. Czy skutkiem tego, czy może dla braku odwagi w stanowczej chwili — dość, że Zborowscy nie wykonali swego zamiaru, a najśmielszy z pomiędzy nich Samuel, najpierwszy od niego odstąpił. Tym sposobem król uniknął niebezpieczeństwa i na początku listopada szczęśliwie przybył do Grodna, Zamojski zaś pojechał do Knyszyna — obaj trwożni o przyszłość, mówi Hejdensztejn, ale nie mówi, czy chcieli co przedsięwziąć przeciw Zborowskim. Owszem Jan, będąc u króla w Lublinie podczas podróży jego na Litwę, potrafił nawet wymódz na nim jakąś obietnicę, na którą później Zborowscy powoływali się, że nie doprowadzi ich sprawy *ad summum jus.* Dopiero w następnym roku i król i kanclerz ostrzej przeciwko nim wystąpili. Na Zamojskiego wpłynął następujący drobny wypadek. Podstarości krakowski Urowiecki tak gwałtownie pokłócił się raz przy kuflu ze stronnikiem Zborowskich, Palczewskim, burgrabią zamku krakowskiego, że

---

[1] Hejdensztejn.
[2] Hejdensztejn.

naszedł jego dom. Zamojski, sprzyjając Urowieckiemu, życzył, aby ta awantura zakończyła się przeproszeniem i zgodą; przeciwnie Zborowscy nalegali na Palczewskiego, ażeby zaskarżył przeciwnika w sądzie. To tak oburzyło kanclerza, iż kazał oświadczyć marszałkowi wielkiemu Opalińskiemu, powinowatemu Zborowskich, że uroczyście wyrzeka się przyjaźni z całym ich rodem. Było to coś nakształt owego *inimicitias suscipere* w starożytnym Rzymie, gdzie obywatel, wypowiadając przyjaźń drugiemu obywatelowi, tem samem uznawał go w swojem sumieniu za nieprzyjaciela dobra publicznego i zapowiadał, że mu odtąd szkodzić będzie. Król znowu obraził się na Jana Zborowskiego, że z Wejsenberga w pobliżu Gdańska wypędził poborcę podatków i ludzi jego srodze pobił [1]). W istocie musiało to żywo dotknąć Batorego, że ten, co wstawiał się za winnymi, jako niemający sobie nic do wyrzucenia, przecież sam dopuścił się gwałtu na urzędniku publicznym. W miesiącu marcu król zawiadomił Zborowskich, że zwoła radę senatu, na której między innemi i ich sprawa będzie roztrząsaną.

Wobec tych kroków Zborowscy pomiarkowali się trochę, przynajmniej nie słychać odtąd, aby czynili nowe jakie zamachy, a Samuel chciał nawet wyjechać do Włoch, czy przewidując, że z nim, jako z wywołańcem, król najprędzej i najłatwiéjby się porachował, czy to, że mu się już sprzykrzyło dziesięcioletnie życie cygańskie. Nie wiadomo, dlaczego brat Jan odradzał mu tę podróż i zalecał poczekać do zjazdu senatorskiego; prawdopodobnie sądził, że senatorowie, między którymi wielu było przyjaciół Zborowskich, nic przeciw nim nie uchwalą i owszem znajdą jaki sposób pogodzenia ich z królem. Przezorniejszy Andrzej innego był zdania. Podczas widzenia się z Samuelem w Sandomierzu nie odwodził go wcale od wyjazdu za granicę, a ponieważ Samuel miał wstąpić do Krakowa, aby tam ostatecznie przysposobić się do drogi, radził mu, by tego nie czynił, gdyż juryzdykcya starościńska w Krakowie była wówczas w ręku Zamojskiego [2]). Ale Samuel, którego gwałtowny charakter, jak się to często przytrafia, stał na sprzeczno-

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Pauli str. 55.

ściach, umykając przed niebezpieczeństwem, jednocześnie chciał pokazać, że niebezpieczeństwa tego wcale się nie obawia. Właśnie w tym czasie Zamojski jechał z Knyszyna do Krakowa na roki grodzkie. Samuel począł się za nim wieszać, tak urządzając popasy, że czasem tylko o pół mili od Zamojskiego rozkładał się taborem, i przechwalał się, że razem z nim wjedzie do Krakowa. Tak się też stało; ale inaczej jak sobie wyobrażał: wjechał jako pojmaniec w zamkniętym powozie, otoczony strażą. Zamojski znosił przechwałki Samuela, dopóki się to działo nie w granicach jego starostwa; ale jak tylko stanął w Proszowicach, gdzie się zaczynała jego juryzdykcya, natychmiast postanowił schwytać bannitę, Ujęto go w Piekarach, w domu jego siostrzenicy Włodkowej, u której zatrzymał się był na nocleg. Zaraz potem rozesłał Zamojski na wszystkie strony gońców, którym kazał rozgłaszać, że Samuel nietylko pojmanym, ale już i ściętym został; pragnął bowiem dowiedzieć się, jakie wrażenie wywoła ukaranie tak możnego pana. W Krakowie znowu witając szlachtę, która tłumnie wyszła na jego spotkanie, oznajmił, że niezwłocznie wykona prawo na Samuelu; ale mówiąc to badał tylko umysły [1]). W rzeczy samej zaś nie chciał wyłącznie na swoją osobę ściągać całej nienawiści zbyt licznych przeciwników, i dlatego, jakkolwiek zawsze udrapowany w nieugiętą stałość, wstrzymywał egzekucyę aż do rozkazu królewskiego. Tymczasem Zborowscy miotani byli sprzecznemi uczuciami: już to zdawało im się, że Samuel nie może zginąć, jak jaki pospolity zbrodniarz, i natrząsali się z Zamojskiego, mówiąc, że trzyma wilka za uszy; już znowu kłaniali się szlachcie, aby się wstawiła za biednym więźniem u miłościwego pana kanclerza i hetmana koronnego. W istocie szlachta zaniosła prośbę do Zamojskiego, aby odłożył sprawę Samuela do sejmu, dając za powód, że widzi w niej coś nowego, czego nie obejmują istniejące ustawy, co zatem tylko sejmujące stany mogą rozstrzygnąć [2]). Na to Zamojski odpowiedział długiem pismem, w którem dowodził, że w niczem nie uchybił ani przepisom prawa, ani swojej powinności, jako starosta, przysięgą obowiązany do chwytania i ka-

---

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Pauli, str. 61—63.

rania w swojej juryzdykcyi wywołańców. Wprawdzie długo nie karano Samuela, bo urzędy nie miały dość siły, aby go dosięgnąć; ale prawo nie traci mocy przez opóźnienie w wykonaniu. O sobie mówił, że bez ustanku przestrzegał Samuela, by się nie ważył pokazywać w obrębie jego jutyzdykcyi, co też Samuel nieraz przyrzekał. Nie jego wina, że Samuel słowa nie dotrzymywał i uczęszczał do Krakowa, a nawet pojawiał się na dworze królewskim, bo to albo się działo w jego nieobecności, albo kiedy juryzdykcya, jak np. u dworu, należała do kogo innego. Jeżeli w całej sprawie jest coś nowego, to chyba w tem, że król Henryk skazał Samuela na łagodniejszą karę, niż się godziło wedle prawa; lecz skoro król Stefan zatwierdził w ogóle wszystkie konstytucye i dekreta swoich poprzedników, a wyroku Henryka wyraźnie ztąd nie wykluczono, tedy prawomocności jego nie można podawać w wątpliwość. Co do bannicyi Samuela, to chociaż nie była połączoną z utratą czci, nie idzie jednak zatem uwolnienie od kary śmierci, jak to wyraźnie pokazuje się z przykładu Mikołajowskiego, któremu Zygmunt August odpuścił imfamią, a na gardle go skarał. Wreszcie przypomniał Zamojski petentom, że nie mieli prawa wstawiać się za wywołańcem, zwłaszcza gromadnie, jak to uczynili wbrew postanowieniu konfederacyi korczyńskiej [1]). Po tej odpowiedzi kanclerza większa część szlachty rozjechała się, a niebawem nadszedł rozkaz królewski, ścisły i energiczny, jak charakter i sposób mówienia Batorego. *Canis mortuus non mordet — plectatur!* tak mniej więcej brzmiały jego słowa. Odebrawszy taki rozkaz, Zamojski nie zwlekał już egzekucyi: 26go maja 1584 o świcie Samuel został ścięty, a ciało jego wydano krewnym. Przed śmiercią gorzko opłakiwał swoje grzechy i wyznawał, że kara taka słusznie go spotyka, bo niemało ludzi zginęło z jego przyczyny, a sam własną ręką zabił siedm osób [2]). Nie można jednak zgodzić się z tymi, co dla tych łez przedśmiertnych, dla tego żalu, jakkolwiekbądź szczerego, chcą w uwięzionym Samuelu widzieć nie zbrodniarza, lecz jakąś ofiarę. Spotkało go to, na co ze wszech miar i oddawna już był zasłużył, a tragiczność jego zgonu — jeżeli jest w tem jaka

---

[1]) Pauli, str. 64—74.
[2]) Pauli, str. 157.

tragiczność — ztąd chyba wypływa, że tej kary, której on uległ, uniknęli winniejsi od niego, ci co go wciągali do zamachów na życie królewskie i spokój ojczyzny, dwaj bracia jego Andrzej i Krzysztof. Oni to, jak zeznawał Samuel przed urzędem starościńskim, wszystko między sobą układali i pisywali do siebie umówionemi znakami, których on nie rozumiał; jego zaś używali więcej do pomocy niż do rady, bo nie wydawał im się dość przezornym. Zamiarem ich było wynieść na tron nowego króla, naturalnie takiego, coby im za to hojnie zapłacił; dlatego musieli wprzód zamordować Batorego, a za wstęp do tej zbrodni miały posłużyć pokątne oszczerstwa, któremi ohydzali króla w oczach narodu, korzystając z zamieszek inflanckich i z rozdrażnienia umysłów w Polsce [1]) — plan bardzo zręczny, gdyż rozumie się samo przez się, że śmierć powszechnie znienawidzonego pana nie ściągnęłaby na jej sprawców ani niebezpieczeństwa, ani wielkiej niesławy. Miały w tym spisku udział inne jeszcze osoby, których jednak Samuel nie wymienił, a Zamojski bynajmniej na to nie nastawał [2]) — snadź musieli ci nieznani spólnicy Zborowskich być i liczni i ze znaczeniem w Rzeczypospolitej, co też i ztąd widać, że gdy przyszło do sądu sejmowego na Krzysztofa, instygator musiał publicznie oświadczać, że oprócz pozwanego nikt zgoła nie będzie turbowanym. Może właśnie ta okoliczność sprawiła, że Zamojski spiesznie wykonał rozkaz stracenia, a nie zachował Samuela do sejmu, na co później Zborowscy tem śmielej narzekali, że najgłówniejszy ich spólnik już nie mógł przeciwko nim świadczyć. Publicznie zaś kanclerz podawał następujące przyczyny: wyjazd swój na Ruś dla opatrzenia granic, a w skutek tego trudność strzeżenia więźnia w swojej nieobecności, zwłaszcza że w Krakowie uwijało się mnóstwo ludzi swawolnych; nalegania Wapowskiej, jako też rozkaz króla, aby stało się zadość sprawiedliwości; wreszcie przysięga starościńska, dla której nie mógł się ociągać z egzekucyą rzeczy już dawno osądzonej [3]).

---

[1]) Rękopis, str. 490.
[2]) Hejdensztejn.
[3]) Pauli, str. 110—111.

Po ścięciu Samuela jęki i żale Zborowskich napełniły całą Polskę. Krzyczeli oni, że popełniło się niesłychane okrucieństwo na zacnym szlachcicu, który choć bannita, jednak bez niczyjej krzywdy, za pozwoleniem królewskiem najspokojniej przemieszkiwał w Rzeczypospolitej, starając się o odzyskanie praw niesłusznie utraconych; w nocy, z obrazą nietykalności domu szlacheckiego został porwany przez zbrojnych siepaczy, zamknięty w srogiem więzieniu, nareszcie po wielu zniewagach i mękach sromotnie stracony z pogwałceniem wszelkiej sprawiedliwości. Andrzej Zborowski kazał woźnym ogłosić na rynku krakowskim, że brat jego zginął niewinnie; a przy wyprowadzeniu zwłok Samuela z miasta miał u bramy Floryańskiej mowę, w której wystawiał kanclerza jako tyrana, dybiącego na swobody publiczne i łaknącego krwi współobywateli [1]). Puszczano przytem w obieg niedorzeczne baśnie, wyraźnie obliczone na umysły niewykształcone i łatwowierne, że Samuela zabito na ofiarę Turkom, za to, że wedle powinności chrześcijańskiej odpierał nieprzyjaciół krzyża świętego — że niewątpliwie zatem Polska pójdzie w jarzmo domowe, albo u Turka będzie w ręku. Również tendencyjnem kłamstwem nacechowane są opisy ostatnich chwil Samuela, kreślone przez jego krewnych. Dowiadujemy się z nich, że Zamojski najgrawał się ze swego więźnia, mówiąc: „Samusiu! a tuś mi, już dasz gardło,“ i porywał się na niego z nabitym półhakiem. Gdy Samuel żądał spowiednika, nie dano mu helweckiego ministra, ani nawet katolickiego księdza, ale przysłano pachołka, ubranego w sutanę, co i czytać nie umiał. Pomimo to wszystko Samuel pokazał się takim szczytnym, takim świętym, że kiedy go prowadzono na ścięcie, Zamojski wołał po trzykroć: „panie Zborowski! odpuść mi, że cię każę tracić.“ I Samuel odpuścił mu na ziemi, ale pozwał go przed sąd Najwyższego [2]). Nie można się dziwić, ani nawet zbyt ostro wyrzucać Zborowskim, że takie rzeczy głosili. Wiedzieli oni, że śmierć Samuela była tylko wstępem do dalszej walki między nimi a królem, walki strasznej i nieubłaganej, w której wszystko: honor, majątek i stanowisko ich domu w Rzeczypospolitej, miało być

---

[2]) Pauli, str. 101—106.

[3]) Pauli, str. 75—94.

narażone na niebezpieczeństwo. Rehabilitacya Samuela w opinii publicznej stała się dla nich koniecznością; bo gdyby uwierzono, że nieboszczyk padł ofiarą prywaty i niesprawiedliwości, rzecz jasna, że trudno byłoby wówczas rozprawić się z żyjącymi winowajcami: skrwawiony cień niewinnego męczennika stanąłby jak nieprzebyta zapora między nimi a sądem. Ponieważ bannicya Samuela nie była obostrzona infamią, usiłowali zatem Zborowscy dowieść, że to była bannicya cywilna, a więc Zamojski nie miał prawa karać ich brata na gardle; co większa, nie mógł go nawet chwytać, gdyż Samuel mieszkał w Polsce za glejtami królewskiemi, corok ponawianemi. Że Batory dawał glejty Samuelowi, to nie ulega wątpliwości, bo mówi o nich wyraźnie Jan Zborowski w liście do króla [1]; ale czy Samuel był takim glejtem ubezpieczony w chwili pojmania, temu wierzyć nie można; Zamojski bowiem, który w ówczesnych okolicznościach i chciał i musiał trzymać z królem, nie byłby nigdy zgwałcił listu bezpieczeństwa przezeń wydanego, zwłaszcza że obrażając przez to króla, zarazem ściągnąłby na siebie jeszcze większą nienawiść swoich licznych przeciwników. Należy sądzić, że glejty królewskie ustały, może od czasu, jak Zborowscy poczęli spiskować przeciw Batoremu; może wreszcie i Samuel niebardzo o nie dbał, przesiadując najczęściej w pobliżu granic to węgierskich, to tureckich. Mógł zatem Zamojski pojmać go, a nawet musiał to uczynić, było bowiem obowiązkiem starosty łapać w swoim okręgu wywołańców bez względu na rodzaj bannicyi i poddawać odnośnej karze; konstytucya z roku 1564 nakazuje to wyraźnie co do bannitów *in criminalibus* pod karą 300 grzywien na opieszałego starostę. Gdyby więc Samuel był nawet bannitą cywilnym, jak utrzymywali Zborowscy, to i wtedy ujęty musiałby uczynić zadość sprawiedliwości, gdyż bannicya sama przez się nie była karą, ale raczej z pewnem obostrzeniem połączoną groźbą kary, w razie gdyby oskarżony albo nie stanął przed sądem, albo na dekret nie czekał, albo też nie chciał poddać się wyrokowi. Lecz bannicya Samuela, jako włożona w sprawie kryminalnej, oczywiście nie mogła być cywilną i pociągała za sobą nie inny skutek, tylko ten, jaki z natury samej sprawy

[1] Pauli, str. 119—121.

wynikał, tj. karę śmierci. Pomimo że Zborowscy widocznie nakręcali prawo, a co do glejtów, z pewnością kłamali, było bardzo wielu, którzy brali to wszystko, lub udawali, że biorą za dobrą monetę. Deputatom trybunału lubelskiego nie musiało zbywać na znajomości prawa, a jednak ujęci skargami Zborowskich, zganili Zamojskiemu stracenie Samuela. Stanisław Górka, wojewoda poznański, niegdyś przyjaciel i powinowaty kanclerza, pan wielce możny, który trząsł całą Wielkopolską, również stanął w obronie złej sprawy, a dlaczego? bo nie mógł zapomnieć, że starostwo jaworowskie, o które się starał po zmarłym siostrzeńcu swoim Działyńskim, nie jemu, lecz Zamojskiemu się dostało [1]). I wielu innych zjednali sobie Zborowscy. Krótko mówiąc, stanęli po ich stronie wszyscy, co albo z dworem mieli na pieńku, albo zazdrościli Zamojskiemu łask królewskich, albo wreszcie nie umieli, czy nie chcieli ododróżnić swawoli od wolności. Ze swojej strony kanclerz usilnie dowodził, że postąpił z Samuelem wedle słuszności i prawa, co zresztą poświadczały statuta i konstytucye. Ale on nie bronił się jako urzędnik tylko, któremu chodzi o udowodnienie, że nie przekroczył tego lub owego paragrafu; i jemu, równie jak Zborowskim, wiele na tem zależało, aby mieć po sobie opinię publiczną i silne stronnictwo. Skoro bowiem raz odważył się zaczepić Zborowskich, nie mógł poprzestać na pierwszym kroku, musiał iść dalej, a więc i o to się starać, aby ostatecznie zwycięztwo nie zostało przy nich. Kiedy mu doniesiono, że Zborowscy czyhają podobno na jego życie, odpowiedział, że on może być drugim Wapowskim, ale Samuel nie ostatni zginął, jako zły człowiek — dając do zrozumienia, że Andrzejowi i Krzysztofowi również nie ujdą płazem ich winy. Zborowscy opowiadali, że kanclerz głośno z tem się przechwalał, mówiąc: „małoć mi na jednym Zborowskim; Krzysztofa Zborowskiego temże prawem stracić mogę i postaram się o to; marszałka tego na sejm schować muszę, ale wszystkiemi siłami tam się o jego poczciwość i gardło starać muszę“ [2]). Tak więc już w kilka dni po ścięciu Samuela mówiono o wytoczeniu Zborowskim procesu, jako o koniecznem tamtego kroku następstwie.

---

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Pauli, str. 93.

W miesiącu sierpniu zebrała się w Lublinie oddawna już zapowiedziana rada senatu, na której król chciał wespół z senatorami przygotować kilka ważnych wniosków na sejm w sprawach polityki zagranicznej. Zborowscy wiedząc, że między temi rzeczami ich sprawa także miała znaleźć niepoślednie miejsce, dokładali starań, aby zjazd był jak najmniej kompletnym. Jednakże nie dokazali tego, bo chociaż do Lublina nie przybyli ani ich stronnicy, ani nawet ci, którzy żadnej strony nie chcieli obrazić, zjazd był dość liczny. Król złożył listy Krzysztofa, oraz inne, które mu były wpadły w ręce, i oświadczył, że chce pozwać Zborowskich przed sąd sejmowy. Niektórzy z obecnych, jak np. arcybiskup lwowski Solikowski, odradzali ten zamiar królowi; Andrzej Zborowski bowiem poobsyłał wszystkich senatorów błagalnemi listami, w których przekładał swoją i swoich braci niewinność i zaklinał zjazd, aby nic przeciwko nim nie stanowił [1]). Miał i Batory listy od niego i od kasztelana gnieźnieńskiego, ale te mogły raczej obruszyć Batorego, niż pobudzić do litości; gdyż obaj bracia, nibyto ścieląc się pokornie pod stopy majestatu, powstawali gwałtownie na Zamojskiego, a nawet wyrzucali królowi, że wydźwignąwszy z błota tego człowieka i słuchając we wszystkiem jego szkodliwych podszeptów, odstręcza od siebie ludzi zacnych i zasłużonych [2]). Z wyjątkiem kilku głosów, nie tyle, jak się zdaje, ujmujących się za Zborowskimi, ile raczej odradzających surowość, wszystkie inne bezwarunkowo oświadczyły się za postanowieniem królewskiem; szczególnie był za tem Piotr Myszkowski, biskup krakowski, przyjaciel Tęczyńskich. W końcu zjazd lubelski jednogłośnie uchwalił, że Zborowscy powinni być pozwani przed sąd. Zatem senatorowie rozjechali się, a król znowu udał się do Grodna i ztamtąd wydał uniwersały, zwołujące sejm na 15 stycznia 1585 r. do Warszawy.

Gdy tym sposobem wypadek obrad lubelskich zawiódł nadzieje Zborowskich, cała prawie Polska podzieliła się w oczekiwaniu sądu sejmowego na dwa wrogie stronnictwa, które zawzięcie starły się z sobą na sejmikach przedsejmowych. — W wielu miejscach porywano się do oręża i gwałtem wymu-

---

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Pauli, str. 116—121.

szano uchwały. Szczególnie był burzliwy sejmik proszowicki, na który zjechał Krzysztof i w niesłychanie zuchwałej mowie do szlachty rzucał się na króla i kanclerza. Pierwszego oskarżał w ogóle o złe i tyrańskie rządy; mówił, że bez wiedzy stanów wysyła poselstwa do dworów zagranicznych, że z krzywdą krajowców proteguje cudzoziemców — sam Farensbach pobiera 30,000 złotych rocznie ze skarbu królewskiego, nie licząc dzierżaw — że skarby tykocińskie, które miały być obrócone na potrzeby Rzeczypospolitej, odesłał do Węgier; ganił wreszcie i to, że Batory wyrobił dla synowca swego Andrzeja kapelusz kardynalski. Wszelakoż właściwym sprawcą wszelkiego złego był jego zdaniem Zamojski, dumny i despotyczny bez granic. Kąsał go Krzysztof, przypominając, jak niepraktykowanym w Polsce zwyczajem poddany został szwagrem królewskim i z jakim przepychem obchodził wesele swoje z Gryzeldą, jak gdyby Zamojski sprawiał je kosztem publicznym. Przystąpiwszy nareszcie do rzeczy, błagał zgromadzonych, aby pomścili śmierć Samuela, niewinnie zamordowanego, obiecując, że niewinność nieboszczyka pokaże się wkrótce jaśniejszą od blasku dziennego — mówiąc nawiasem, Zborowscy ciągle to obiecywali — prosił, aby nie wierzyli potwarczym wieściom, jakoby on i brat jego Andrzej zasadzali się na życie królewskie, lecz aby o wszystkie krzywdy Zborowskich, będące zarazem krzywdami publicznemi, upomnieli się żywo na sejmie przez posłów; tych zaś, aby takich wybrali, coby nie oglądając się na żadną prywatę, na żadne korzyści i obiecanki dworskie, pilnowali tylko zagrożonej wolności szlacheckiej [1]). Obok tego Krzysztof zaskarżył kanclerza, jakoby tenże przez sługę swojego Jana Dzierżka namówił był Pruskiego, dworzanina królewskiego, do otrucia Krzysztofa. W tym celu Pruski przyjechał do Ołomuńca, gdzie Krzysztof najczęściej przesiadywał; ale uwięziony w skutek podejrzenia i przetrząśnięty, gdy znaleziono przy nim truciznę, przyznał się do zbrodniczego zamiaru. Na dowód swoich słów Krzysztof pokazywał szlachcie pudełko z trucizną, o której nawet powiedział, gdzie była przyrządzoną — w Krakowie, w aptece na rogu ulicy Grodzkiej,

---

[1]) Rękopis, str. 385 —388.

idąc do zamku — i czytał zeznanie Pruskiego [1]). Pomimo to wszystko nie udało się Zborowskim przeprowadzić wyborów całkiem po swojej myśli: tylko połowa kompletu poselskiego wyszła z łona ich partyi, druga połowa składała się z przyjaciół Zamojskiego. Lepiej powiodło im się na sejmiku opatowskim w Sandomierskiem. Podali tu w imieniu swojem i trzech swoich synowców prośbę, której treść obracała się głównie około wywodu, że Zamojski niesprawiedliwie pojmał i ściął Samuela — wywodu dość lichego, bo opartego na niezgrabnie powyrywanych ustępach ze statutów i konstytucyj [2]). Zresztą prosili o to samo, czego Krzysztof żądał w Proszowicach, z dodatkiem, że między ich krzywdy należy także policzyć naradę senatu w Lublinie, ponieważ obecni tam senatorowie pozwolili królowi pozwać ich przed sąd, nie zważając na to, że nikt przeciwko nim nie wystąpił w charakterze delatora, bez czego pozew nie może być ważnym. Trzeba wiedzieć, że pozew wyszedł dopiero we cztery tygodnie po zredagowaniu powyższej prośby, nie mogli zatem Zborowscy wiedzieć, czy będzie w nim wymieniony delator; widać jednak, że rachowali na tę okoliczność, aby uniknąć sądu. Wyborcy sandomierscy sprawili się stosownie do życzeń Zborowskich, wsunęli bowiem swoim posłom pomiędzy instrukcye artykuł, aby domagali się sądu na Zamojskiego za zabicie Samuela, pomimo że to sprzeciwiało się prawu, które słusznie czy niesłusznie zabraniało dochodzić śmierci bannity. Jak w Małopolsce Andrzej i Krzysztof Zborowscy, tak znowu w Wielkopolsce ich brat Jan i Stanisław Górka starali się opanować wybory; chociaż jednak bardzo czynnie krzątali się, a Górka z groźnym krzykiem powstawał na obrońców Zamojskiego, rezultat sejmiku środzkiego wypadł podobnie jak w Proszowicach, tj. wybrano posłów z obu stronnictw bez żadnych szczególnych zleceń. W ten sam sposób skończył się sejmik jeneralny ruski w Wiśni, na który szlachta po dwakroć musiała się zjeżdżać, gdyż za pierwszem zwołaniem nie doszedł do skutku z powodu gwałtownej kłótni o mieszkanie między Drohojewskim, stronnikiem Zamojskiego, a Stadnickimi, siostrzeń-

[1]) Pauli, str. 136.
[2]) Pauli, str. 122—132.

cami Zborowskich. Natomiast w Łęczycy, Sieradzu i na Mazowszu Zborowscy ponieśli klęskę: szlachta odrzuciła ich propozycye, a nawet pochwaliła stracenie Samuela [1]). Z tem wszystkiem można powiedzieć, że lubo sejmiki nie przechyliły się wyraźnie ani na stronę Zborowskich, ani na stronę kanclerza, przebieg ich nie był pomyślnym dla sprawy publicznej: przepołowione wybory wróżyły nowe kłótnie na sejmie, i, co za tem iść zwykło, bezskuteczność obrad w rzeczach największej wagi. Zresztą nie mogło być inaczej: cokolwiekby na sejmie chciano poruszyć, wszystko musiało omdleć wobec jednej sprawy, która wyłącznie panowała na sejmikach, pod której wpływem dokonały się wybory, wobec zapowiedzianego sądu na Zborowskich.

Po odprawieniu sejmików zaczęto zjeżdżać się do Warszawy. Wszyscy ciągnęli zbrojno, z licznemi pocztami, jakby na wojnę, mówi Hejdensztejn — z strachem wielkim, a niemal właśnie, jako owo malują sądny dzień, mówi Bielski. Batory także zbrojno przybył, otoczony hufcami panów litewskich, i 15go stycznia we wtorek odbył wjazd do miasta, poczem tegoż samego dnia sejm otworzył się podług zwyczaju solennem nabożeństwem, odprawionem przez arcybiskupa lwowskiego [2]). W kilka dni nadciągnęli Zborowscy w towarzystwie Górki i rozłożyli się w wiosce pod Warszawą. Nie gardząc żadnym środkiem jednania sobie umysłów, wpadli byli nawet na osobliwszy koncept: kazali wymalować ścięcie Samuela, i obraz ten wraz z małemi dziećmi nieboszczyka mieli ukazać zgromadzeniu sejmowemu, „aby tem ludzie wszystkie ku żałości większej pobudzić mogli;“ podobno chcieli nawet zwłoki Samuela wprowadzić na salę. Ale Batory nie lubił takich żartów i zapowiedział, że jeżeli to zrobią, każe wrzucić trupa do Wisły [3]). Groźba poskutkowała, gdyż Zborowscy wstrzymali się od niestosownej demonstracyi. Pierwszy dzień poświęcono, jak zwykle, wyborowi marszałka poselskiego; został nim Pękosławski, poseł województwa sandomierskiego, które ze wszystkich najwyraźniej oświadczyło się za Zborowskimi. Wybór ten

---

[1]) Hejdensztejn.
[2]) Rękopis, str. 395.
[3]) Bielski.

był dla nich pomyślną wróżbą, że znajdą w kole rycerskiem silne poparcie; a chociaż posłowie nie mieli wchodzić w skład sądu sejmowego, który należał do króla i senatu, jednak zachowanie się ich mogło silnie wpłynąć na zdania senatorskie. Zresztą Zborowscy chcieli jeszcze w inny sposób, jak zobaczymy, wyzyskać tę okoliczność. Drugiego dnia posłowie witali króla i całowali rękę królewską. Na tę ceremonię król czekał w senacie przez kilka godzin, tak, iż musiano ich po dwakroć upomnieć, aby się pospieszyli z przybyciem; a to także nie świadczyło o dobrem usposobieniu izby względem Stefana [1]). Trzeciego dnia Zamojski, jako kanclerz, zagaił sejm propozycyami od tronu, które przez kilka dni następnych były przedmiotem wotów senatorskich. Potem przyszły z kolei sądy królewskie w różnych sprawach, na czem także kilka dni zeszło. Wszystko to jednak mało kogo obchodziło; wszyscy z niecierpliwością i trwogą wyglądali rozpoczęcia sławnego procesu; niektórzy powątpiewali nawet o jego dojściu. Nie ma w tem nic dziwnego: ważne wypadki tak głęboko nurtują i w taki stan nerwowy wprawiają wszystkie umysły, że jeszcze w ostatniej godzinie zachodzi nieraz pytanie, czy będą miały miejsce? A sprawa Zborowskich była niezmiernie ważną; któż bowiem nie domyślał się, że pod kryminalną powłoką ukrywał się w niej żywioł polityczny? — walka powagi królewskiej ze swawolą możnowładczą. Ustały jednak wszelkie wątpliwości, gdy w przeddzień sądu odbyła się w tym przedmiocie konferencya senatu, jakby rada wojenna przed bitwą, a nazajutrz rano w zamku porozstawiano wszędzie zbrojne straże — widocznie obawiano się rozruchów [2]). Po takich dopiero przygotowaniach rozpoczął się proces dnia 26 stycznia. Opisów jego musiało być bez liku. Zapewne zaraz po sejmie wyszły z krakowskiej drukarni Łazarza *Actiones* Rzeczyckiego, broszura nader ciekawa, chlubnie świadcząca o prawniczych i pisarskich zdolnościach swojego autora, oraz dokładnie wyświecająca charakter i szczegóły zbrodni, jakoteż oskarżenia i obrony. Jestto prawdziwie mistrzowską ręką skreślony obraz nierównych zapasów pomiędzy zręcznym, biegłym w prawie i do tego wszelką

---

[1]) Rękopis, str. 395.
[2]) Rękopis, str. 397.

słuszność po sobie mającym instygatorem królewskim, a niefortunnymi adwokatami Zborowskich, co krok szukającymi ratunku w lichej kazuistyce, lub poprostu uciekającymi przed prawem. Niedarmo Zborowscy napierali się później zniszczenia tej książki. Ale w dziele Rzeczyckiego nie widzimy sędziów, ani widzów, bez czego nie można ocenić rzeczywistego znaczenia sprawy. Spółcześni historycy, Hejdensztejn i Bielski, bardzo skąpe pod tym względem rzucają na nią światło. Ustawicznego oddziaływania procesu na króla, senatorów i posłów, nieprzerwanego ruchu wrażeń i zdań, ciągłego ścierania się z sobą różnych zapatrywań i przekonań — tego wszystkiego należy szukać w sprawozdaniach, spisywanych przez naocznych świadków w miarę, jak się toczył proces. Znamy dotąd trzy takie sprawozdania, wszystkie ułożone w formie dziennika, a chociaż niekiedy znacznie różnią się od siebie pod względem szczegółów, to jednak obraz sądu jest we wszystkich ten sam; ale wartość ich, jako źródeł, nie jest jednakowa. Opis, wydany przez p. Paulego, uwzględnia przedewszystkiem kontrowersyę stron i zeznania świadków, lecz wota senatorskie, i to wybitniejsze tylko, zawsze podaje w streszczeniu. Przeciwnie w sprawozdaniu, wydrukowanem przez hr. Bröel-Platera, znajdujemy dosłownie podane przemówienia tak stron, jak sędziów, natomiast mniej szczegółowo zeznania świadków. Wreszcie w obu dokumentach brakuje pierwszego posiedzenia sejmu w sprawie Zborowskich, oraz bardzo ciekawej i ważnej rozmowy posłów z senatorami po ukończeniu rozpraw sądowych. Braki te uzupełnia opis, znajdujący się w manuskrypcie biblioteki jagiellońskiej N. 107, skreślony prawdopodobnie przez jakiegoś dworzanina królewskiego, który z pilną uwagą śledzi tok całej sprawy i wszystko zapisuje dokładnie i ze zrozumieniem rzeczy.

Gdy król i senatorowie zasiedli w radzie, kazano woźnemu wołać Zborowskich, oraz wezwano posłów. Prawo nie wymagało w tym wypadku obecności koła poselskiego, ale król nietylko zezwalał na nią, lecz nawet żądał jej, ponieważ chciał w obliczu całej reprezentacyi narodowej sądzić sprawę, w której jego zdaniem obraza majestatu ściśle się łączyła ze zbrodnią stanu. Głównie jednak chodziło królowi o to, aby cała izba, w ogóle źle względem niego usposobiona, zmuszoną była

przyświadczyć jego sprawiedliwości i umiarkowaniu; zapowiedział bowiem, że w niczem nie odstąpi od słuszności i prawa. Woźny darmo się fatygował — pozwanych nie było na sali; a posłowie nie przychodzili, bo Jan Zborowski zatrudniał ich opowiadaniem, jak król jegomość w Lublinie przyrzekł mu był, że nie będzie się rozprawiał z jego braćmi w drodze sądu, jak tą nadzieją omylony, jeden już zginął, a teraz oto woźny woła dwóch innych. Przerwał tę gawędę sekretarz królewski Leszczyński, oznajmując posłom, że jeżeli się nie pospieszą, król bez nich się obejdzie. Ruszyli tedy, poprzedzani przez Jana, który znowu rozwiódł te same żale w płaczliwej mowie, wystosowanej do króla i senatu, w końcu wytłumaczył nieobecność braci swoich tem, że potrzebują glejtu, aby bezpiecznie mogli się sprawić na sądzie, i prosił o takowy na mocy prawa Jana Olbrachta z r. 1496 *de salvo conductu* i przywileju Aleksandra z r. 1501. Była to osobliwsza prośba, gdyż pozwani nie mieli się czego obawiać wobec istniejącego już od półtora wieku i ściśle przestrzeganego prawa *neminem captivabimus, nisi jure victum.* Podkanclerzy Baranowski oświadczył, że prawo *de salvo conductu* stosuje się do bawiących za granicą, ażeby mogli cało wrócić do kraju. Jakkolwiek niewłaściwość żądania była widoczną, ponieważ Zborowscy siedzieli pod bokiem sejmu, puszczono je wszakże na głosy senatorów, a ci różnie sądzili. Przyjaciel Zborowskich, Górka, objawił zdanie, że nie można odmówić glejtu, bo przywilej Aleksandra wyraźnie zapewnia bezpieczeństwo oskarżonemu podczas trwania sądu. Król rzekł, że nie odmówi żadnych gwarancyj, jakie wedle prawa mogą przysługiwać pozwanym, a na przemowę Zborowskiego odpowiedział, że stosując się do obietnicy swojej, nie byłby pociągnął jego braci do sądu, gdyby ci nowemi winami nie byli na to zasłużyli, zwłaszcza Krzysztof, który na sejmiku proszowickim burzył szlachtę przeciw królowi. Na tem skończyło się pierwsze posiedzenie sądu, gdyż tak senat, jak izba poselska dopraszały się odłożenia sprawy do najbliższego dnia [1]). Taki początek sądu musiał niekorzystne robić wrażenie na bezstronnych widzach, którzy widzieli chwiejność senatorów, przechylanie się posłów ku oskarżonym,

---

[1]) Rękopis, str. 397—399.

a poniekąd mogli także odgadywać taktykę Zborowskich. Żądanie glejtu było wskazówką, że sposób, w jaki Zborowscy zamierzali się bronić, polegał na tem, aby wcale się nie bronić, tj. że poprostu chcieli uniknąć sądu, tak jednak, iżby nie byli skazani przez kontumacyę, a zamiar ten mieli osiągnąć częścią przez wykręty adwokackie, częścią przez interwencyę izby poselskiej.

Następne posiedzenie przypadło w poniedziałek 28go stycznia. Chociaż pozwy wydane były przeciw obu Zborowskim, lecz że miano sądzić każdego z osobna, zawołano w tym dniu samego Krzysztofa, który naturalnie nie stanął. Że strona jest, odpowiedzieli w jego imieniu Jan Zborowski i Jakób Niemojewski. Za tem marszałek wielki koronny Opaliński przemówił, że obowiązek oskarżyciela w obecnej sprawie z urzędu należy do niego, ale ponieważ i zdrowie jego i zdolności nie są potemu, poleca to w swojem zastępstwie instygatorowi królewskiemu Andrzejowi Rzeczyckiemu. Była to formalność tylko, bo wiedziano, że instygować będzie Rzeczycki. Następnie marszałek upomniał senatorów, aby wierni swojej przysiędze, wykonanej królowi i Rzeczypospolitej, pilnie i sumiennie zajęli się sprawą. Skoro umilkł, a instygator chciał się zabrać do rzeczy, Jan Zborowski znowu wystąpił z prośbą o glejt dwumiesięczny według statutu wiślickiego. Instygator żywo zaprotestował, dowodząc, że glejt nie może być danym ani wedle tego statutu, ani wedle prawa Jana Olbrachta i przywileju Aleksandra, które na poprzedniem posiedzeniu przytaczano. Statut wiślicki każe dawać glejty oskarżonym, którym król, albo starosta królewski nie pozwoliłby się usprawiedliwić, a którzy w skutek tego uciekłszy z kraju, pragnęliby jednak sądownie oczyścić się z winy. Również według prawa Olbrachta otrzymują glejty emigranci, odwołujący się do sądu, nie dlatego jednak, iżby im groziło niebezpieczeństwo ze strony sędziów, czemu zapobiegło prawo Władysława Jagiełły *neminem captivabimus*, lecz aby zasłonięci byli przed prywatną przemocą.

Oczywiście żaden z tych wypadków nie zachodził w sprawie Zborowskich. Co do przywileju Aleksandra, to pomijając jego wątpliwą autentyczność, mówi on ogólnikowo o bezpie-

czeństwie oskarżonego podczas trwania sądu [1]). Czyliż jednak prawo *neminem captivabimus* nie zapewnia oskarżonemu zupełnego bezpieczeństwa aż do ogłoszenia wyroku? Na zarzut strony, że prawo to nie przewidziało wypadku, kiedy poddany prawuje się z królem, instygator słusznie odpowiedział, że to prawo jest bez restrykcyi i w całości stosuje się do wszelkich spraw sądowych. Kto upatruje w niem jakieś wyjątki nieistniejące i dlatego żąda innych rękojmi, ten nietylko podaje w wątpliwość jego moc, ale nadto podkopuje wolność, której to prawo jest najpiękniejszą ozdobą i najtrwalszą podstawą. Udzielenie glejtu byłoby aprobacyą tak błędnego i szkodliwego na przyszłość rozumienia tego prawa. I czemuż to glejt z oznaczonym terminem miałby być lepszym od tego prawa, które żadnym terminem nie jest ograniczone? Któż nie widzi, że Zborowscy, domagając się glejtu do dwóch miesięcy, gdy i sejm tak długo nie potrwa, tego tylko pragną, aby sąd nie przyszedł do skutku? Król kazał senatorom naradzić się względem dowodów instygatora. Prymas Karnkowski zrobił uwagę, że król prywatnie obiecał był uczynić zadość prośbie Zborowskich; zaraz jednak dodał, że radzi im, aby nie napierali się glejtu, a zaufali sprawiedliwości króla, tem bardziej, że sprawa toczy się na sejmie, wobec wszystkich stanów, gdzie każdy przestrzega prawa [2]). Ale Jan Zborowski stał zawsze przy swojem, wzywając senatorów i posłów, aby go poparli. Posłowie hałaśliwie oświadczyli się za jego prośbą; niektórzy jednak zaprotestowali, za co Pękosławski zaraz ich zgromił, Czarnkowski zaś począł się domagać, aby król pozwolił posłom odejść dla narady, a tymczasem zawiesił sąd, gdyż nie o fraszkę tu chodzi, idzie o gardło i poczciwość szlachecką. Uśmiechnął się król na to, a porozumiawszy się z senatorami, odrzekł, że takiego glejtu, o jaki prosi kasztelan gnieznieński, nie da, bo sprzeciwia się prawu; może jednak wydać oświadczenie na piśmie, że oskarżonemu służyć ma wszelkie bezpieczeństwo, nawet będzie mógł przed zapadnięciem wyroku odjechać, gdzie się podoba. Zaraz też napisano w tym sensie dokument i głośno przeczytano. Zborowski, potargowawszy się trochę, przyjął go i prosił o za-

---

[1]) Rzeczycki, str. 13—16.
[2]) Pauli, str. 140.

wieszenie sprawy do przyszłej soboty, ażeby strona mogła się przygotować do obrony. Ale na tak długą zwłokę nie pozwolono, odłożono sąd do dnia następnego [1]).

Nazajutrz sprawdziły się słowa instygatora, że Zborowskim chodziło jedynie o uniknienie sądu. Krzysztof bowiem i po otrzymanym liście bezpieczeństwa nie stanął, a kasztelan gnieźnieński nanowo zażądał glejtu, przynajmniej do dwóch tygodni, skoro glejt dwumiesięczny nie mógł być danym, obiecując, że w tych paru tygodniach bracia jego ze wszystkiego się usprawiedliwią. Żądanie swoje opierał na tem, że we wczorajszym liście opuszczono Andrzeja, przeto Zborowscy wątpią, aby się im na co przydał. Król odpowiedział przez marszałka Opalińskiego, że oskarżony musi poprzestać na tem, co uzyskał; a taki sam glejt dostanie i Andrzej w swoim czasie, gdy kolej sądu na niego przyjdzie. Ale odpowiedź ta nie obeszła się bez marnotrawstwa czasu, bo nim ją król dał, musiał wprzód naradzić się z senatem. Gdy sprawa glejtu została w ten sposób ostatecznie załatwioną, instygator zażądał obecności Krzysztofa, której nic już nie stało na przeszkodzie, mówiąc, że przytoczy różne dowody zbrodni, z których oskarżony osobiście powinien się wytłumaczyć — mianowicie listy, jego własną ręką pisane, i zeznania świadków. Tu wystąpił Niemojewski twierdząc, że w prawie nie ma wyraźnego przepisu, aby oskarżony stawał osobiście, owszem zwyczaj pozwala każdemu bronić się przez prokuratora czyli zastępcę; prosił zatem, aby jemu i Janowi Zborowskiemu wolno było prowadzić sprawę, jako obrońcom Krzysztofa.

W ciągu całego procesu było to jedyne żądanie Zborowskich, jako tako uzasadnione, którego instygator nie mógł odeprzeć żadnym paragrafem prawa. Lecz szanse obu stron były równe: czego bowiem jednej prawo nie nakazywało, tego też nie zabraniało drugiej. Senatorowie, wezwani do głosowania, podzielili się w zdaniach: jedni oświadczyli się za instygatorem, drudzy za Niemojewskim; niektórzy z tych ostatnich dodali warunek, aby zastępcy Krzysztofa przyrzekli, że poprowadzą obronę aż do ogłoszenia wyroku. Król jakkolwiek był za tem, żeby oskarżony osobiście się tłumaczył w tak

---

[1]) Rękopis, str. 403.

ważnej sprawie, przychylił się do zdania większości, głosującej za zastępstwem, ale również kładł powyższy warunek.

Nie przyjęli go jednak prokuratorowie, mówiąc, że dopóty będą bronić oskarżonego, dopóki im starczy zasobów prawa, dalej zaś nie chcą i nie mogą [1]. To znaczyło, że w stosownej chwili, oczywiście po jak najdłuższych rozprawach, mieli złożyć z siebie charakter obrońców i odwołać się do obecności samego oskarżonego, a ten naturalnie zasłoniłby się niewiadomością wszystkiego, co się działo na sądzie, i proces musiałby się nanowo rozpocząć. Król zapobiegł figlowi w ten sposób, iż zezwolił na zastępstwo z zastrzeżeniem, że gdy będzie potrzeba, oskarżony osobiście się stawi, czyli że każdego czasu będzie musiał podjąć się dalszego ciągu swojej obrony od punktu, w ktorymby zabrakło zasobów prawa jego adwokatom [2].

Nie uzyskawszy ani glejtu, ani prokuratoryi podług życzenia, Zborowscy nie zaniechali jeszcze swego zamiaru i rzucili się do tak zwanych ekscepcyj. Już poprzedniego dnia Jan Zborowski, powołując się na przywilej Aleksandra, mówił, że król znajdzie w nim przepis, jak ma postępować w obecnej sprawie. Na prośbę Zborowskiego odczytano przywilej, w którym napotkano ustęp tej treści: „ilekroć zdarzy się, że który z panów rad fałszywie, lub pokątnie będzie oskarżony przed nami o jakibądź występek, wtedy wszyscy senatorowie mają to roztrząsać i rozważać na sejmie ogólnym, zawarowawszy bezpieczeństwo obwinionemu, i stosownie do natury sprawy, jeżeli uznają za słuszne i sprawiedliwe, wyrzekną obwinionemu oczyszczenie; a co uchwalą wedle słuszności dwie części senatu, na to powinna trzecia się zgodzić.“ [3]. Do bliższego wyjaśnienia tych słów nie przyszło, ponieważ ów dzień strawiono na rozprawach o glejcie. Dopiero na obecnem posiedzeniu pokazało się, w jaki sposób Zborowscy tłumaczyli sobie ten ustęp. Ponieważ była w nim mowa o sędziach-senatorach, a nie było wzmianki o królu, na tej podstawie tedy Niemojewski wniósł pierwszą swoją ekscepcyę, żądając, aby król wyłączył siebie

---

[1] Rękopis, str. 404—407.
[2] Bröel Plater, str. 144.
[3] J. W. Bandtkiego Jus. Polonicum Varsaviae 1831 str. 361.

z grona sędziów. Istotnie obecność jego była bardzo nie na rękę Zborowskim, gdyż ona to trzymała w kupie senatorów, tak, iż lubo na każdym kroku różnili się w zdaniach, w końcu jednak zawsze musieli, porachowawszy się ze słusznością, przystać na jedno, choćby *per tacitum consensum*. Nie miałoby to miejsca w nieobecności króla: senat podzieliłby się na dwa stronnictwa, z których jedno pewnieby nie stanęło tak mocno przy podkanclerzym Baranowskim, jak drugie przy wojewodzie Górce; sprzeczność głosów przemieniłaby się poprostu w zamięszanie pojęć, z któregoby tylko zła sprawa skorzystała. Ale niestety! ekscepcya Niemojewskiego miała słabe nogi. Przywilej Aleksandra, wydany jeszcze przed koronacyą tego króla, nie został potwierdzony po koronacyi; pominęły go też statuta i wszystkie późniejsze konstytucye; w czasie bezkrólewia po Zygmuncie Auguście był on w ręku komisyi, wysadzonej do przeglądu praw, ale komisya nie uważała go za autentyczny i tylko to i owo wybrała z niego do artykułów, na które musiał później przysięgać Henryk, a następnie Batory. Pomiędzy temi artykułami nie było właśnie ustępu, na który powoływał się Niemojewski, lecz był inny, zaraz po tamtym idacy, jakby dalszy jego ciąg i komentarz, a mianowicie: że król powinien się starać przywieść senatorów do jednego zdania; gdyby zaś tego nie mógł dokazać, wtedy ma pójść za tymi, czyje głosy będą najbliższemi prawa pospolitego [1]). Gdy tym sposobem król miał być kierownikiem zdań senatorskich, jakże można przypuszczać, aby nie miał zasiadać na sądzie? Tak więc broń, której Zborowscy użyli, zwróciła się przeciwko nim samym. Natomiast instygator przytoczył kilka konstytucyj, późniejszych od tego przywileju, a zatem wedle ogólnej zasady prawa ważniejszych, z których niewątpliwie pokazało się, że sąd sejmowy składa się z króla i senatorów. Konstytucya warszawska z r. 1557 [2]), ordynacya sądów tak zwanych nowych *pro una vice tantum*, czyli *ultimae instantiae* z r. 1563 [3]), wreszcie konstytucya r. 1578 o usta-

---

[1]) Bandtkie, str. 362.
[2]) Volumina Legum, Petersburg 1859, t. II, str. 11—12.
[3]) Vol. Leg., II, str. 24.

nowieniu trybunału [1]) wyraźnie odsyłają do sądu króla i senatu wszystkie sprawy czysto kryminalne, narażając szlachcica na utratę czci.

Ponieważ sprawa Krzysztofa należała do tej kategoryi, trudno było zadawać pytanie, jakie forum miało ją sądzić? Ale Niemojewski, ciągle utrzymując, że sąd sejmowy znaczy sąd senatorski, poparł swoje żądanie innym jeszcze argumentem, również fałszywym, jak ten, który był wyciągnął z przywileju Aleksandra. Twierdził, że skoro w niektórych sprawach, np. o sumy pieniężne, zapisane na królewszczyznach, wolno apelować od sądu królewskiego do sejmu, tem słuszniej ma się to pozwolić w wypadkach, gdzie nie idzie o kieszeń, ale o honor i życie szlacheckie. Na to krótko odpowiedział instygator, że i tych spraw pieniężnych nigdy jeszcze nie sądził senat sam, tylko zawsze z królem [2]). Nie warto wspominać o teoretycznej szermierce obu zapaśników, chyba dlatego, że i na tem polu Rzeczycki odniósł łatwe zwycięztwo nad obrońcą Krzysztofa. Niemojewski powiedział bardzo słusznie, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie, a więc w sprawie obrazy majestatu król, jako strona, nie powinien sądzić. Ale instygator jeszcze słuszniej odrzekł, że król nie swoją tylko sprawę sądzi, lecz zarazem krzywdę całej Rzeczypospolitej, którą Krzysztof zakłócić chciał swoim zamachem; że trzymając się konsekwentnie zasady, wypowiedzianej przez prokuratora, nie godziłoby się ścigać żadnego spiskowca, żadnego buntownika, bo ktobykolwiek miał takiego sądzić, będąc sam członkiem zagrożonego społeczeństwa, sądziłby poczęści własną sprawę. W ogóle dowody instygatora były tak przekonywające, że żaden z senatorów, z wyjątkiem Górki, nie oświadczył się za ekscepcyą Niemojewskiego, nawet żaden nie przemówił stanowczo za autentycznością przywileju Aleksandra. Górka powiedział, że tylko ten przywilej wskazuje sposób postępowania w obecnej sprawie, podczas gdy inne ustawy o tem milczą [3]). Źle powiedział, bo rzecz miała się całkiem odwrotnie: przywilej Aleksandra mówi w ogóle o występkach, lecz nie wymienia ani obrazy

---

[1]) Vol. Leg. II, str. 184.

[2]) Rzeczycki str. 37.

[3]) Rękopis str. 413

majestatu, ani zdrady ojczyzny, o co właśnie pozwani byli Zborowscy, a o których to zbrodniach jest mowa gdzieindziej. O sprawach dotyczących osoby królewskiej, znajduje się wzmianka w konstytucyi Zygmunta Augusta o rewizorach, że król sądzi je z panami rad na sejmie [1]; o buntownikach i zdrajcach kraju mówią uchwały zjazdu jędrzejowskiego [2] i konstytycya sejmu koronacyjnego z r. 1576, że po wydaniu na nich dekretu przez króla i stany koronne mają być karani według prawa pospolitego [3].

Zamiast króla Zborowscy chcieli przydać senatorom do sądu posłów ziemskich. Znaczyłoby to odjąć do reszty sądowi sejmowemu jego charakter, przemienić sąd w burzliwe namiętnościami unoszone zgromadzenie, które nigdyby nie potępiło oskarżonego, choćby przez samą wdzięczność za rozszerzenie atrybucyi izby poselskiej. Druga ta ekscepcya musiała być ułożoną w porozumieniu z posłami, jakkolwiek nie wszystkim się podobała: zaledwie bowiem Niemojewski ją wniósł, wnet przybył od nich sędzia halicki Raczek i prosił króla, ażeby posłom wolno było przysłuchać się sprawie, ponieważ wszyscy mają od swoich wyborców rozkaz pilnego baczenia, by sprawca zamachu na życie królewskie, skoro będzie odkryty, nie uszedł kary. Trzeba wiedzieć, że król nie kazał tego dnia wołać posłów, gdyż obrażony był ich zachowaniem się na poprzedniem posiedzeniu. Na prośbę Raczka pozwolił im przyjść pod warunkiem, żeby sami nie hałasowali i nie prowadzili za sobą krzykliwej zgrai pachołków [4]. Już w słowach Raczka było coś nakształt przymówienia się do tego, czego żądał Niemojewski; wyraźniej dał się słyszeć z tą samą pretensyą marszałek sejmowy Pękosławski, gdy przyszedł z posłami. Najprzód prosił króla i senatorów, aby w niczem nie odstępowali od praw i przywilejów szlacheckich i nie tłumaczyli ich na opak, następnie aby król po ukończeniu rozpraw sądowych nie stanowił wyroku, dopóki izba poselska nie rozmówi się z senatem, Ale otwarcie zażądać miejsca dla siebie pośród, sędziów na to

---

[1] Volumina Legum t. II. 25.
[2] Vol. Leg. t. II. str. 143.
[3] Vol. Leg. t. II. str. 157.
[4] Rękopis str. 410 — 411.

posłowie nie odważyli się, bo ani zwyczaj nie przemawiał za tem, przeciwnie prawo zabraniało np. łączyć charakter poselski z urzędem deputata trybunalskiego, ani w ich instrukcyach nie było nic podobnego, bez czego jak wiadomo, posłowie nie mogli stawiać wniosków na sejmie. Przy tem ekscepcya Niemojewskiego była jak najgorzej umotywowaną: upatrywał on w sprawie swojego klijenta tak zwane *novum emergens*, to jest wypadek nowy nie objęty prawem, który dla tego należało załatwić w drodze sądowo-prawodawczej, a więc także za współudziałem posłów. Ale na czem polegała ta mniemana nowość, skoro prawo przewidziało zbrodnię Krzysztofa, tego nikt, ani nawet sam Niemojewski nie potrafiłby wytłomaczyć. Wreszcie wyrokować o tem, czy zachodzi *novum emergens*, a zatem i o kompetencyą sądu się spierać strona nie mogła. Niedziw że instygator nazwał tę ekscepcyą wprost niedorzeczną, a senat odrzucił ją prawie bez namysłu. Różność zdań objawiła się tylko w kwestyi owej rozmowy posłów z senatorami, o którą prosił Pękosławski, jedni pozwalali na to, inni znowu opierali się, nie chcąc, aby izba poselska nawet ubocznie wpływała na wyrok, który powinien był zależeć jedynie od króla i senatu [1]). Zostawiono tę rzecz w zawieszeniu, a król kazał instygatorowi przystąpić do oskarżenia.

Aż do tej chwili Zborowscy mieli minę, jakoby od sądu wcale się nie uchylali, tylko pragnęli zapewnić sobie dostateczne rękojmie bezpieczeństwa i sprawiedliwości. Gdy to nie pomogło, odrzucili na bok wszelkie pozory i jawnie pokazali, czego chcą. Ówczesna procedura polska, jako też nie jedna zagraniczna, chorowała na zbytnią formalistykę, która nieraz najlepszą sprawę gubiła, a ratowała najgorszą; n. p. jeżeli kto źle pozew ułożył, przegrywał proces. Otóż w tę słabą stronę uderzył Niemojewski i zażądał dla swego klijenta odwodu, to jest uwolnienia od sądu, twierdząc, że pozew przeciw niemu był nieformalnie napisany. W pozwie po wyliczeniu zbrodni, o które instygator w imieniu królewskiem pozywał Krzysztofa Zborowskiego przed sąd, stały bezpośrednio te słowa: „przez co zasłużyłeś na karę, za obrazę majestatu naszego, oraz na kary należące się nieprzyjaciołom i zdrajcom ojczyzny.“ Nie-

[1]) Rękopis str. 412 — 416.

mojewski dowodził, że instygator nie powinien był kłaść tych wyrazów, ubliżających czci oskarżonego i uprzedzających wyrok, nie miał prawa nazywać zdrajcą człowieka, którego sąd nie był jeszcze za takiego ogłosił, i zacytował z czasów Zygmunta Augusta pewien wypadek, w którym król dekretem unieważnił sprawę, a w dodatku skazał na karę powodu za to iż położył w pozwie *verba criminalia*. Ale Niemojewski nie powiedział, że to była sprawa cywilna, którą powód dla tego przegrał, że chciał z niej zrobić kryminalną. Byłoby rzeczą śmieszną i niedarowaną, gdyby instygator królewski popełnił był błąd, którego mógł uniknąć nawet początkujący palestrant; bo miał w statucie gotową formułę pozwu. Pozwy kryminalne wolno było pisać w ten sposób, że nie oskarżano kogoś o zbrodnię, jako podejrzanego tylko, ale zarzucano mu wprost, że ją popełnił. Wprawdzie konstytucya sejmu piotrkowskiego r. 1565 zastrzegała, że pozywający ma być tak przygotowany, ażeby stanąwszy przed sądem, mógł na tychmiast udowodnić winę oskarżonego, ale Rzeczycki i z tej strony był całkiem bezpieczny, bo oświadczył, że ma w ręku wszystkie dowody. Ekscepcye Niemojewskiego tak niefortunnie wypadały, że nawet pobłażliwy prymas, który w całej tej sprawie na dwóch stołkach siedział, zawołał z niechęcią: „zaprawdę panie Niemojewski, już te ekscepcye *ad nauseam* przychodzą [1].“ Czuł to może i sam prokurator, skoro każdą broń, której się chwycił, instygator odrazu wytrącał mu z ręki. Ale nie jego wina, że nie miał lepszej. Gdy i trzecia ekscepcya upadła, wniósł czwartą. Według statutu wiślickiego sąd królewski, albo starościński nie mógł rozpoznawać sprawy kryminalnej w nieobecności strony skarżącej interesowanej, a to dlatego, aby strona pozwana miała na kim uzyskać karę odwetu, gdyby oskarżenie okazało się potwarczem. Takiej strony interesowanej, takiego delatora nie było w sprawie Zborowskich; ztąd Niemojewski znowu żądał odwodu. Na nieszczęście sam wykroczył przeciwko formalności, której przestąpienie zarzucał przed chwilką Rzeczyckiemu. Powinien był naprzód kłócić się o delatora, a potem dopiero o pozew, kto bowiem zaczął od tego drugiego, już nie mógł założyć protestacyi przeciw osobie oskarżyciela;

---

[1]) Pauli str. 149.

instygator miał zatem prawo uchylić tę ekscepcyą bez żadnych korowodów, jedynie że nie w porządku została wniesioną. Chcąc jednak pokazać, że mniej od swego przeciwnika dba o względy formalne, raczył wytłomaczyć, że jego ekscepcya, chociażby nawet była przyszła we właściwym czasie, nie mogłaby się utrzymać Niemojewski pomięszał sprawy prywatne z publicznemi. Tamte rzeczywiście sądzono tylko w skutek zażalenia osób interesowanych; w tych zaś nie pytano, czy obchodzą kogo osobiście, bo musiały wszystkich obchodzić, cały ogół spółeczny. Były to przede wszystkiem sprawy, dotyczące bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i panującego, w których winni mogli być pozwani tak dobrze przez osobę prywatną, jak przez króla, lub instygatora królewskiego. Odczytano też formułę pozwu, używaną w tych sprawach, a tam nie było wzmianki o żadnym delatorze prywatnym, wystarczała skarga bądź samego króla, bądź jego instygatora [1]). Niemojewski chciał swoją ekscepcyą odebrać królowi prawo dochodzenia własnej krzywdy, co oczywiście było szczytem niesprawiedliwości i niedorzeczności, bo chociaż wszyscy obywatele Rzeczypospolitej obowiązani byli przestrzegać bezpieczeństwa osoby królewskiej, nakazywała to n. p. uchwała sejmu koronacyjnego z r. 1576, senat składał na to osobną przysięgę, gdyby jednak w danym wypadku nikt czy niechciał, czy niemógł zadosyć uczynić temu obowiązkowi, coby wówczas król robił? W ogóle przewodnią myślą ekscepcyj, zakładanych przez prokuratora, była zdrożna chętka poprowadzenia jakiejś głębokiej linii granicznej między stosunkiem obywatela do obywatela, a stosunkiem króla do poddanych, tamten miał być obwarowany i zrównoważony prawami, ten nie. W państwie absolutnem wyszłoby to na korzyść panującego, który bardzo wygodnie szybowałby sobie po nad prawem; ale w państwie takiem jak Polska, król nie mogąc stanąć wysoko, stanąłby tylko daleko po za prawem, zostałby po prostu wyjęty z pod jego opieki. W ciągu polemiki swojej z Niemojewskim Rzeczycki kilkakrotnie dał to do zrozumienia sędziom. A chociaż stosunek władzy monarchicznej do ogółu szlacheckiego już się zaczął był rozwijać w ten sposób, jakgdyby król znaczył tyle, co nieprzyjaciel, to jednak do osta-

---

[1]) Rzeczycki str. 43 — 49.

tniej konsekwencyi swojej nigdy nie przyszedł, a naturalnie nie mógł przyjść jeszcze za czasów Batorego. Zborowscy chcieli być odważniejszymi od swoich spółczesnych, dlatego niepowiodło im się, lubo swoją drogą czysto prawnicza loika instygatora królewskiego musiała odnieść zwycięstwo nad słabszą argumentacyą ich obrońcy. Gdy senat odrzucił ostatnią ekscepcyą Niemojewskiego, Górka rozdąsany rzekł: „wszyscy się zgadzają, że nie potrzeba delatora, a więc i ja milczeć muszę.“ Potem zapytano się strony, czy ma jeszcze jakie ekscepcye do założenia? odpowiedziała, że już nie ma żadnych. Ale tego dnia sprawa nie mogła iść dalej, bo dla spóźnionej pory trzeba było zamknąć posiedzenie. Niemojewski zakończył je patetycznym frazesem: „Bóg naszą ucieczką, ten niech widzi i sądzi!“ [1]).

Całą nadzieję wygranej pokładali Zborowscy w ekscepcyach. Gdy zaś wszystkie ekscepcye obróciły się w niwecz jedna po drugiej, gdy o dojściu sądu nie mogli już wątpić oskarżony stracił wszelką otuchę i czem prędzej umknął za granicę. Zastępcy jego także podupadli na duchu: system wybiegów omylił ich rachuby, a jednk musieli w nim trwać dalej, bo to, co się właściwie nazywa obroną sądową, w sprawie Krzysztofa było wprost niemożliwe. Następne posiedzenie, odbyte 30 stycznia, całe zeszło na oskarżeniu. Instygator odczytał naprzód pozew, który był zarazem krótkim aktem oskarżenia, zawierającym trzy główne punkta, a mianowicie, że Krzysztof Zborowski godził na osobę króla, że podczas wojny z obcym monarchą przyrzekł mu służyć przeciw własnej ojczyznie, że obelżywemi słowy obrażał majestat królewski [1]). Podstawą oskarżenia były owe znane już nam listy, które Krzysztof pisał w lipcu 1583 do brata swego Samuela i do Kozaków niżowych. Dzisiejsza prokuratorya nie mogłaby ich uważać za kamień węgielny procesu, za jaki uchodziły te listy w oczach Rzeczyckiego; gdyż oprócz nieprzyzwoitych wyrażeń o królu, na których dałby się oprzeć tylko ostatni punkt oskarżenia, nie było tam materyału na ulepienie dwóch pierwszych punktów. Z tych i owych wzmianek można było wnosić o knowaniach przeciw królowi, ale to nie wystarczało jeszcze do wyraźnego

[1]) Bröel Plater str. 156.
[2]) Pauli str. 137 — 138.

oskarżenia o zamach na jego życie, natomiast o stosunkach Krzysztofa z Moskwą nie było tam nic zgoła. Słowem dzisiejszy prokurator przeznaczyłby tym listom bardzo podrzędne miejsce w szeregu przedmiotowych dowodów zbrodni, które według naszych pojęć same tylko mogą stanowić o losie oskarżonego, tak iż nawet własne przyznanie się do winy o tyle coś waży w oczach sądu, o ile się zgadza z temi dowodami. Ale za czasów Rzeczyckiego pojmowao te rzeczy całkiem odwrotnie; przedewszystkiem domagano się wyznania z ust obwinionego, wydzierano je za pomocą tortur, a skoro otrzymano, zaraz pisano wyrok; bo z pomiędzy wszystkich dowodów tego jednego nie podawano w żadną wątpliwość, gdy ważność innych zależała od wielu warunków, często nie mających nic wspólnego z naturą sprawy. Listy Krzysztofa, pisane jego własną ręką, zastępowały po części wyznanie, przynajmniej co do zbrodni obrazy majestatu; dla tego to Rzeczycki przywięzywał do nich tak wielką wagę. Ale nie koniec na tem; zapatrując się na nie jako na podwalinę oskarżenia, musiał je też w odpowiedni sposób objaśniać. Parę przykładów wystarczy, żeby mieć wyobrażenie o tej interpretacyi. W jednem miejscu Krzysztof mówi, że nie ugiął kolan przed Baalem, to jest przed królem, w drugiem wspomina o okrutnikach którym życzy zagłady. Instygator podchwytuje te dwa wyrazy i taką między niemi pociąga paralelę: Baal, jako bóg fałszywy, niesłusznie przywłaszczający sobie cześć boską, zasługuje na to, aby był jej pozbawiony, zamordowany niejako w swojej boskości; czem zaś jest Baal w sferze religijnej, tem w spółeczeństwie ludzkiem jest pan okrutny, tyran, który także niesłusznie przywłaszcza sobie panowanie i jak Baal, godzien jest śmierci, a dalej taki wniosek: ponieważ Krzysztof Zborowski nazywa króla Baalem i okrutnikiem, ergo godzi na jego życie. W innem znowu miejscu pisze Krzysztof, że zabawi w Krakowie najdłużej cztery tygodnie. Z tych słów korzysta zaraz instygator, aby określić czas mającego się popełnić zamachu, i woła: jakiż to zuchwały zbrodniarz, który w ciągu tylko czterech tygodni podejmuje się zabić króla i zamięszać Rzeczpospolitą! Szkoda, że Krzysztof nie napisał jeden tydzień, efekt byłby większy. W tym duchu mniej więcej przeprowadzoną jest cała interpretacya, jako wywód prawny, nielitościwie napięta i wyśrubowana; spiski, bun-

ty, zasadzki, obelgi, zniewagi, zamachy na życie króla i spokój Rzeczypospolitej, wszystko to, jak z rękawa, posypało się z listów oskarżonego tylko w skutek ich nakręcania. Nie należy jednak potępiać Rzeczyckiego, przesadzał i nakręcał z dobrą wiarą: po pierwsze dla tego, że hołdując spółczesnej teoryi o wartości dowodów, chciał wszechstronie wyzyskać bardzo ważny dokument; powtóre dlatego, że czego brakowało w listach, to obficie znalazł gdzie indziej, i zgóry wiedział, że każdy jego sylogizm obróci się niebawem w fakt dotykalny, niewątpliwy. Dziś powiedzianoby, że chciał po prostu uraczyć sędziów przepysznym prologiem, ażeby pokazać, z jakim to winowajcą będą mieli do czynienia. Z tego punktu uważana interpretacya Rzeczyckiego jest świetnym popisem dyalektycznym, tem bardziej porywającym, że w całości rozumowania niknie fałsz pojedynczych szczegółów, tak zręcznie jest tam wszystko z sobą powiązane, tak naturalnie wnioski zdają się same wypływać z założeń, z taką wreszcie śmiałością obrońca dobrej sprawy zdziera maskę z niegodziwego Krzychnika i odsłania jego nikczemną duszę. Następnie w krótkim, ale dosadnym obrazie streścił instygator kilkanaście lat życia Krzysztofa od napadu na hospodara wołoskiego aż do wystąpienia na sejmiku proszowickim, dowodząc, że wszędzie i zawsze knuł najgorsze zamiary. Nareszcie dokładnie opowiedziawszy jego czyny, objęte trzema punktami pozwu, odczytał zeznania świadków, a mianowicie: Samuela Łaskiego o liście, który Krzysztof pisał do Samuela, brata swego, przed drugą wyprawą jego na Niż; Grzegorza Ościka o porozumiewaniu się Zborowskich z carem moskiewskim, Stanisława Gosławskiego i Bokszyckiego o spotkaniu się w drodze do Lwowa z Samuelem Zborowskim; Jana Porudzyńskiego o rozmowie jego z Gosławskim i Bokszyckim; Wilhelma Peplera, byłego tłumacza dworu moskiewskiego, wówczas już poddanego polskiego, o układach Krysztofa z posłem moskiewskim w Pradze i Kubece; Jana Zulaffa, niegdyś lekarza Iwana Groźnego, następnie zamieszkałego w Gdańsku, o listach Krzysztofa do cara, które mu w Moskwie pokazywał Bohdan Bielski, Piotra Rassa, urzędnika miejskiego w Rydze o uwięzieniu i wypuszczeniu na wolność dwóch mieszczan ryskich, którzy ułatwili Mejerowi, kupcowi lubeckiemu, podróż z Rygi do Moskwy; Samuela Zborowskiego wogóle o buntowniczych zamiarach jego

braci i o dawniejszym zamachu Krzysztofa i Ciołka na życie króla w Krakowie. Wojciech Łaski i Chojeński złożyli ustne świadectwa: pierwszy o tem, co podczas pobytu swego na dworze cesarskim wiedział o konszachtach Krzysztofa z Moskwą, i o rozmowie swojej ze Samuelem Zborowskim podczas ostatniego sejmu w Warszawie; drugiemu niekoniecznie chciało się oskarżać swojego krewnego, jednak napomniany od marszałka koronnego powiedział, co słyszał o Krzysztofie od posła moskiewskiego, kiedy bawił na dworze cesarza Rudolfa. Na zakończenie instygator odczytał kilka paszkwilów, które za namową Zborowskich pisał przeciw królowi jakiś niemiec, a w których była mowa o nieprawnej elekcyi i tyrańskich rządach Batorego. „Wiersze jakieś! nie warto o tem mówić“ wtrącił prymas [1]).

Po oskarżeniu miała przyjść zaraz obrona. Ale gdy instygator, skończywszy swoje, poprosił wedle zwyczaju o zastosowanie do winnego prawem przepisanej kary, Niemojewski zamiast wystąpić z obroną oświadczył, że strona nie może bez namysłu odpowiedzieć na wszystkie zarzuty oskarżenia, gdyż usłyszała daleko więcej, niż było w pozwie; żądał zatem udzielenia sobie w odpisach dowodów instygatora i zawieszenia rozprawy do trzech dni, ażeby strona należycie mogła się przygotować. Instygator oparł się temu żądaniu, jako nieprawnemu; rzeczywiście w konstytucyi z r. 1565 stoi wyraźnie, że w sprawach kryminalnych, wytaczanych przed sąd sejmowy, obie strony powinny stawać z gotowemi dowodami [2]). Przyznawał to i Niemojewski, dla tego nie prosił o dylacyą z mocy prawa, ale z łaski królewskiej. Rzecz, jak zwykle, poszła pod obrady senatorów, a ci, jak zawsze, byli różnego zdania: jedni, jak podkanclerzy Baranowski i marszałek Opaliński, twierdzili, że w sprawach kryminalnych dylacye ustają w przedchwilę ostatecznej odpowiedzi strony; drudzy, a między tymi Górka i prymas, stosowali do obecnego wypadku zwyczaje prawa cywilnego i byli za dylacyą; inni znowu chcieli, aby król nie dając dylacyi, zamknął tylko posiedzenie. Król niekontent z takiego wotowania, kazał senatorom na nowo głosować, od siebie zaś powiedział, że spraw sądowych nie należy zwlekać pró-

---

[1]) Pauli str. 158.

[2]) Volumina Legum t. II. str. 53.

żnemi dylacyami, a wreszcie na co dylacya Krzysztofowi, o którym wiadomo było, że już odjechał? [1]) Rezultat powtórnego głosowania o tyle wypadł inaczej, że większość oświadczyła się za odłożeniem sesyi do jutra. Król przystał na to; lecz na odpisy, o które prosił Niemojewski, nie pozwolił, stósownie do uwagi referendarza Tarnowskiego, że Zborowscy nie odpowiadając wprost na oskarżenie, napisaliby replikę, za którą musiałaby pójść druga, a za drugą trzecia, z czego wywiązałaby się nieskończona pisanina [2]). Przed zamknięciem posiedzenia król kazał pokazać Janowi Zborowskiemu listy Krzysztofa, aby powiedział, czy poznaje w nich pismo brata. Zborowski, który już dawniej dał był na to odpowiedź twierdzącą, nie mógł oczywiście skłamać przed sądem. „Mniemam — odrzekł, że to są listy brata mojego i ręka jego własna.“ Instygator chciał nadto, aby sąd przesłuchał tego dnia świadków, których zeznania przytoczone były na piśmie: „Nie! zawołał Niemojewski, skoro król raczył zawiesić sprawę do jutra, żadna czynność sądowa nie może się dziś odbywać, albo pójdźmy o wszystko razem.“ To znaczyło: wróćmy się do początku precesu. Król rozgniewany zerwał się z miejsca i opuścił senat [3]).

Interpretacya listów Krzysztofa, na które instygator zbyt przesadny kładł nacisk, stanowiła słabą stronę oskarżenia. Rozumie się, że zastępcy obwinionego nie omieszkali z tego korzystać. Za otwarciem sądu dnia następnego pierwszy zabrał głos Niemojewski. Pominąwszy zeznania świadków, o których powiedział tylko, że się łatwo dadzą obalić, zarzucił instygatorowi, że przez użycie listów za podstawę oskarżenia rozminął się z prawem krajowem. Tego rodzaju dowody — mówił Niemojewski — są ważne w prawie cesarskiem, t. j. rzymskiem, ale w naszem korespondencya zapieczętowana nic nie znaczy, bo jest tylko wymianą myśli między dwiema osobami, którym nie może szkodzić w rękach trzeciej. Listami nie dowodzi się zbrodni obrazy majestatu, albowiem statut z r. 1539, mówiąc o niej, że się popełnia tylko na osobie królewskiej, oczywiście żąda czynu, nie słów, które chociażby naj-

---

[1]) Rękopis str. 424.
[2]) Bröel Plater str. 165.
[3]) Pauli str. 161.

gorsze były, zawsze w najrozmaitszy sposób dadzą się tłumaczyć. W listach Krzysztofa nic nie ma, coby go mogło potępić; gdyby jednak król znalazł w nich jakie ubliżenie swojej godności, niech to poczyta raczej za nieroztropność, jak za występek. Wszakże i Zygmunt Stary zwykł był mawiać: „taki los królów, że złe rzeczy słyszą o sobie, gdy dobrze czynią, i cesarz Teodozyusz napisał w swoim kodeksie, że zaocznemi oszczerstwy należy pogardzać“[1]). Krótko mówiąc, Krzysztof był całkiem niewinny i miał prawo żądać tak zwanej ewazyi, t. j. oczyszczenia się przysięgą od zarzutu winy. Jakoż Niemojewski prosił, aby na mocy statutu o mężu dobrej sławy wolno było obwinionemu złożyć przysięgę, że na życie królewskie nigdy nie nastawał, pomocy Moskwie nie obiecywał i króla uszczypliwemi słowy nie obrażał.

Po Niemojewskim mówił kasztelan gnieźnieński. Najprzód tłumaczył listy Krzysztofa, ale tak nieszczęśliwie, że wykład Rzeczyckiego, jakkolwiek naciągany, był wzorem sumienności w obec uniewinniających komentarzy biednego kasztelana. Wszystkie wyrażenia ubliżające, które niewątpliwie ściągały się do osoby króla, kasztelan stosował albo do siebie samego albo do tych, co odwrócili niby serce królewskie od domu Zborowskich — między tymi naturalnie figurował Zamojski na pierwszym planie. Głuche wzmianki o zamysłach przeciw królowi nie były tem, czem się wydawały, lecz podług objaśnień kasztelana oznaczały najniewinniejsze w świecie zamiary. Jedno objaśnienie jest bardzo ciekawe. Krzysztof napisał w liście do Samuela te słowa: „one też konsylia nasze na trawie Zborowskiej dobrze wkorzenione w sercach naszych zostały; w tem pod przysięgą bożą waszmość upewniam i *obtestor*, abyś waszmość nie wątpił.“ Jan Zborowski wytłumaczył to tak, że bracia jego, widząc niełaskę króla, postanowili byli opuścić ojczyznę i udać się do Palestyny, a naprzód do Malty. Nie było też nic złego w stosunkach z Niżowcami: Zborowscy znosili się z tym walecznym ludem, częścią, aby zjednać sobie i królowi chwałę wojenną, częścią aby się zasłonić od jakichś tam swoich nieprzyjaciół. Jakiekolwiekby zresztą mieli zamiary, kasztelan gotów był przysiądz, że na życie królewskie nigdy

---

[1]) Rękopis, str. 426.

nie czyhali. Wszystko to jednak mówił w przypuszczeniu, że nieszczęsne listy, które w ten sposób wykładał, były istotnie pióra jego brata. Bo i o tem już był zwątpił; wprawdzie na przeszłem posiedzeniu powiedział, że poznaje rękę Krzysztofa, ale bywa ręka na rękę i pieczęć na pieczęć. Mógł nieprzyjaciel jaki udać pismo jego brata, podobnie jak pismo królewskie bardzo zręcznie naśladował pewien Dymidecki lwowianin, któremu za to łeb ucięto. Jeżeli zaś te listy — czemu trudno wierzyć — pisał Krzysztof, nie uczynił tego w złośliwym zamiarze, tylko z szaleństwa, a może z pijaństwa, jako człowiek „bujnego rozumu.“ Któż wreszcie wydał je królowi? jakiś lutnista, zbiegły sługa swojego pana, zdrajca i niewdzięcznik, jak wszyscy w ogóle muzykanci — słowem człowiek, którego denuncyacyą prawo polskie pogardza [1]). Za tem kasztelan błagał króla, aby przez wzgląd na dawne zasługi Zborowskich, albo na jego własne, uniewinnił jego brata, a przynajmniej nie karał go żadną karą hańbiącą. Mówiąc to, zanosił się od płaczu, na co i drudzy patrząc, nie mogli od szlochania się wstrzymać [2]). Dopóki Jan Zborowski prawił o listach, utrzymywał się przeważnie w tonie suplikanta; ale przyszedłszy z kolei do zeznań świadków, puścił się torem Niemojewskiego na wykręty adwokackie, jedne świadectwa wprost odrzucając, inne znowu usiłując osłabić. O Samuelu Łaskim i Gosławskim powiedział, że nie byli tak urodzeni, iżby mogli świadczyć przeciw zacnemu szlachcicowi. Co w tym względzie zarzucał Gosławskiemu, niewiadomo; Łaskiemu zaś wytykał to, że był synem ministra protestanckiego. Pokazywał zresztą listy jego do nieboszczyka Samuela i do Starzewskiego, starosty wyszogrodzkiego, w których Łaski zaklinał się, że nigdy nic nie mówił na Zborowskich przed królem. Zapomniał kasztelan, że Łaski świadczył tylko, iż widział listy Krzysztofa do Samuela pisane. Przeciw Gosławskiemu przytoczył list jakiegoś Frykacza do Andrzeja Zborowskiego, któremu ten Frykacz donosił, że Gosławski, wedle jego własnych zapewnień, nigdy nie słyszał od Samuela o żadnych spiskach przeciw królowi. Czyliżby wreszcie Samuel szukał pomocy obcych ludzi, kiedy miał do-

[1]) Bröel-Plater, str. 170.
[2]) Pauli, str. 166.

syć swoich? Zeznania obojga straconych Ościka i Samuela Jan Zborowski również podawał w wątpliwość: co do pierwszego, powoływał się na kanclerza, który odpisał był niegdyś Piotrowi Zborowskiemu, że zeznanie to nie zawiera w sobie nic ważnego; o Samuelu twierdził, że trzeba było dochować go do sejmu, a byłby dał o sobie dostateczną sprawę. Wszakże jednej okoliczności nie mógł kasztelan zaprzeczyć, t. j. stosunków Krzysztofa z Moskwą. Ale usprawiedliwiał go i z tego, mówiąc, że działo się to wówczas, kiedy Krzysztof nie był jeszcze uznał się poddanym króla — sądził więc, że mu wolno było ofiarować swoje służby obcemu panu; przytem nie zobowiązywał się służyć przeciwko własnej ojczyźnie, tylko przeciw innym nieprzyjaciołom Iwana Groźnego — Szwedom, Duńczykom, Tatarom. Jednakże za radą braci nie uczynił tego, co się pokazuje także ze świadectwa Chojeńskiego, przed którym poseł moskiewski narzekał na wiarołomstwo Krzysztofa. Pieniędzy zaś od cara nie brał i żadnej przysięgi nie wykonywał; widzi Bóg, że Zborowskim nie jest jeszcze tak trudno o tysiąc talarów, mógłby je Krzysztof dostać, nie przysięgając. Pepler, chociaż co innego twierdzi, nie wart wiary, bo nie jest szlachcicem, a do tego pochodzi z Inflant, gdzie pełno zdrajców i łotrów. Oczywiście to samo stosowało się do Zulaffa i innych osób nieszlacheckiego rodu.

Nie wiele pracy zadał sobie instygator, ażeby zwycięzko odpowiedzieć na tę wrzekomą obronę. Wykład listów obrócił po prostu w śmiech. Występuje — mówił instygator — w tych listach i kasztelan, jako Judasz, smród, kujon, ale na cóż obok tego chce jeszcze być Baalem i okrutnikiem? Na co tajemne narady, pogróżki, szukanie sprzymierzeńców, podburzanie szlachty — co wszystko wyraźnie stoi w listach — jeżeli Zborowskim chodziło tylko o rzecz tak niewinną, jak podróż do Malty? Na co umizgi do kozaków niżowych? czy ich także chcieli zabrać z sobą do Malty? W ogóle objaśnienia Zborowskiego, tyczące się listów, były zanadto niedorzeczne, ażeby instygator miał z niemi walczyć poważną bronią. Nie o wiele lepiej wyglądał ni ztąd ni zowąd wzięty zarzut, że listy Krzysztofa mogły być podrobione. Instygator odczytał je powtórnie, a pomijając rękę i pieczęć, których autentyczność Jan Zborowski dwukrotnie był uznał, dowiódł z samej treści, że nikt obcy

nie mógł pisać tych listów. Reszta w mowach obojga obrońców nie dawała wprawdzie okazyi do żartów, ale natomiast grzeszyła rażącym brakiem wszelkiej podstawy prawnej. O tem, w jaki sposób i przez kogo listy Krzysztofa dostały się w ręce króla, instygator nie chciał nawet mówić, i słusznie bo nie miał nad czem się rozwodzić, skoro obecna sprawa mogła się obejść bez delatora. Co innego pytanie, czy list może w ogólności uchodzić za dowód przeciw oskarżonemu? Instygator twierdził, że może i musi, tak według prawa polskiego, jak każdego innego, skoro oskarżony nie wypiera się listu, lub nie jest w stanie dowieść, że go nie pisał, podobnie jak w tych samych warunkach uchodzi za dowód cyrograf. Przywróciwszy listom Krzysztofa moc dowodową pod względem formalnym, instygator dowiódł następnie, że ich treść stanowiła istotę zbrodni obrażonego majestatu, gdyż zawierała złorzeczenia, pogróżki i wzmianki o machinacyach przeciw królowi. Zarzut Niemojewskiego, że majestat królewski obraża się tylko czynem, nie słowem, nie miał żadnej wartości, albowiem był jego własnym wymysłem. Wyrażenie statutu, że zbrodnia obrazy majestatu ściąga się wyłącznie do osoby króla, znaczyło tylko, że nie ściąga się do innych osób; zdarzało się bowiem, że królowie podciągali pod tę zbrodnię krzywdy swoich sług. Z formuły pozwu: „pozwany jesteś, że mówiłeś, albo, co nie daj Boże, knowałeś i t. d.“ [1]) pokazuje się, że zbrodnia obrazy majestatu mogła być popełniona równie słowem, jak czynem. Co większa, prawo polskie karało nie tylko mowy i uczynki, ale niekiedy nawet zamiary, czego dowodem uchwały o bezpieczeństwie sądów i sejmów, oraz konstytucya o knowaniach dzieci przeciw rodzicom [2]). Gdy wreszcie prawo zabezpieczyło prywatne osoby od szkodliwych uczynków, słów i zamiarów dla czegóż król, na którego zdrowiu i życiu całemu krajowi zależy, miałby być tak nieszczęśliwym, że winny występku przeciw jego osobie wtedy dopiero zasługiwałby na karę, gdyby mu wsadził w bok sztylet, albo rusznicę, jak mawiał Zygmunt August? [3]). Bo oczywiście tylko to mógł Niemojewski rozu-

---

[1]) Rzeczycki str. 160

[2]) Vol. Legum II. 190.

[3]) Bröel-Plater str. 183.

mieć przez czyn. Tak więc jeden punkt oskarżenia został należycie udowodniony listami Krzysztofa. Resztę stwierdzili świadkowie instygatora, przeciw którym obrońcy obwinionego nie postawili ani jednego swojego; tylko przeciw Gosławskiemu zdobyli się na list jakiegoś Frykacza, już dla tego nieważny, ze Frykacz nieobecny nie mógł go potwierdzić, Gosławski zaś wprost zadał kłamstwo temu listowi; przytem pokazało się, że Frykacz był bannitą, a więc nie mógł w ogóle składać ważnego świadectwa Zarzuty przeciw urodzeniu niektórych świadków częścią były bezpodstawne, częścią też nie miały miejsca w obecnym wypadku, ponieważ w sprawach kryminalnych, zagrażających czci oskarżonego, mógł i nie szlachcic świadczyć przeciw szlachcicowi. Świadectwu Peplera chciał Jan Zborowski odebrać moc, tłumacząc po swojemu układy Krzysztofa z posłem moskiewskim, ale na poparcie tego tłumaczenia nie miał żadnego dowodu. Bezzasadnie też podawał w wątpliwość zeznania zmarłych; bo tych zeznań, urzędownie spisanych, sąd nie mógł odrzucić z prostej przyczyny, że wszystkie władze publiczne muszą sobie nawzajem wierzyć. Ztąd okoliczność, że Samuel Zborowski nie świadczył przeciw bratu żywym głosem, nie ujmowała wagi jego świadectwu, a pytanie, czemu go stracono, nie czekając sejmu, nie miało z obecną sprawą najmniejszego związku. Gdyby jednak sądowi — rzekł instygator — chodziło o wyjaśnienia w tym względzie, będzie je miał od kanclerza. Tu Zamojski wstał z krzesła i obszernie wyłuszczył znane już nam powody, dla których nie mógł zachować Samuela przy życiu aż do sejmu [1]). Poczem instygator, kończąc rzecz przerwaną, dowodził, że ewazya, o którą strona prosiła na mocy statutu o mężu dobrej sławy, nie może służyć oskarżonemu. Ten statut bowiem, tylekroć nadużywany, upadł już był przez wydanie konstytucyi *de scrutiniis*, która w sprawach kryminalnych zamiast ewazyi zaprowadziła śledztwo; a chociażby nawet obowiązywał, w żaden sposób nie dałby się zastosować do Krzysztofa. Ten tylko ma prawo żądać ewazyi w dotyczącej go sprawie, kto przed tem nie był posądzony o żaden występek i komu w zupełności przysługują prawa obywatela. Krzysztof zaś figuruje w sprawie Ościka, występuje

[1]) Bröel-Plater str. 176—180.

w sprawie swojego brata Samuela, wreszcie ma na sobie sześć bannicyj — przeto nie może uchodzić za męża dobrej sławy. Przy tem wymieniony statut nie bezwarunkowo pozwala na ewazyą, ale z zastrzeżeniem, że dowody niewinności oskarżonego powinny być mocniejsze od dowodów winy. I w przywileju Aleksandra, wedle którego strona chciała być sądzoną, jest napisane, że sędziowie mają przypuścić obwinionego do oczyszczenia się przysięgą, jeżeli stosownie do okoliczności uznają to za słuszne i sprawiedliwe. Tu zaś — rzekł instygator — wszystko przemawia za mną, za oskarżonym nic zgoła. Rozumie się, że Niemojewski dał jeszcze na to replikę, ale tak, jak się daje kilka strzałów przed nieuchronną rejteradą — na chybił trafił. Jeden zarzut jego ściągał się do banicyi Krzysztofa, o których powiedział, że były cywilne, a zatem czci oskarżonego nie nadwerężały, że nałożone były przez sądy kapturowe, więc ważne tylko w czasie bezkrólewia, nakoniec, ze już ustały przez pojednanie się Krzysztofa ze stronami. Trudno było gorzej spudłować, jak spudłował Niemojewski. Bannicye Krzysztofa w rzeczy samej były cywilne, ale i cywilne bannicye pociągały za sobą ograniczenie praw obywatelskich, przedewszystkiem zaś odbierały bannicie możność korzystania z tak zwanych dobrodziejstw prawa. Dalej chociaż zapadły były w sądach kapturowych, nie różniły się jednak od bannicyj, nakładanych przez sądy zwyczajne, bo kaptury pozaciągano w statuta. Nareszcie pojednanie się ze stroną nie uchylało jeszcze bannicyi, tak zwana relaksacya od bannicyi następowała dopiero za dekretem królewskim; Niemojewski zaś nie ukazał ani jednego dekretu, tylko jeden układ ze stroną, a zresztą same kwity woźnych [1]). Drugi zarzut jego był ten, że konstytucya *de scrutiniis* obowiązuje tylko między równymi, ale dla czego i co zamiast tej konstytucyi ma obowiązywać w sprawie króla z poddanym — tego oczywiście wytłumaczyć nie umiał. Instygator odpowiedział, że jest tylko jedna konstytucya *de scrutiniis* do wszystkich bez wyjątku spraw kryminalnych; co zatem służy poddanemu, to i królowi służyć może. Jego bezpieczeństwo powinno wszystkim leżeć na sercu; co będzie, jeżeli spiski przeciw niemu zaczną uchodzić bez-

---

1) Pauli str. 172.

karnie? coby było, gdyby zamach Zborowskich był się udał? „Widzieliśmy — mówił instygator — już dwa bezkrólewia na własne oczy, albož w jednem i drugiem Rzeczpospolita nie ucierpiała? Jakby burzami tu i owdzie kołysana, bez sternika, bez rady, bez nadziei dotarcia do portu, uciskana od Moskali, szarpana przez Tatarów, widziała swoje dziewice i dzieci pędzone w srogą niewolę. Wszyscy cnotliwi byli w smutku, trosce i trwodze; tylko niegodni wyzyskiwacze ojczyzny tem bardziej się cieszyli, im w opłakańszym Rzeczpospolita znajdowała się stanie“ [1]). Możnaby te słowa prawie bez odmiany położyć, jako godło stereotypowe, przed historyą każdego bezkrólewia.

Instygator skończył swoje zadanie, zastępcy Krzysztofa również wyczerpali wszystkie środki obrony. Przy kim było zwycięstwo? na to wszyscy sędziowie musieli niewątpliwie odpowiedzieć w swojem sumieniu, że było po stronie królewskiej. Ale od zwycięstwa do wygrania procesu było jeszcze daleko. Po zamknięciu rozprawy kazano stronom odejść, oddalono posłów i senat w obecności króla zabrał się do głosowania, czy oskarżonemu ma służyć ewazya wedle statutu o mężu dobrej sławy, który jakkolwiek mocno zachwiany konstytucyą o śledztwach, wyraźnie jednak uchylonym nie był, czy przeciwnie świadkowie mają być dopuszczeni do przysięgi, poczem naturalnie musiałby zapaść wyrok potępienia. Zdawałoby się, że o wyborze nie było co myśleć. Istotnie dopóki sprawa poruszała się w zakresie czystej kryminalistyki, gdzie instygator na każdym kroku kruszył sofizmata swoich przeciwników niezbitemi argumentami prawnemi, dopóty i sąd musiał się korzyć przed oczywistością faktów i loiką prawa. Lecz skoro statuta i konstytucye przestały dzwonić sędziom w uszy, natychmiast wyszła na wierzch polityczna strona procesu i wybiła bardzo wyraźną cechę swoją na wotach senatorskich, które trwały przez resztę tego dnia i nazajutrz przez całe posiedzenie. Pierwszy głos należał do prymasa Karnkowskiego. „Strach i bojaźń przyszły na mnie,“ rzekł prymas i począł płakać, a tak gorzko, że dwiema chustkami łzy sobie ocierał [2]). Mówił długo, chwalił dawne czasy, kiedy to Polacy słynęli z nie-

---

[1]) Rzeczycki str. 166.
[2]) Bröel-Plater str. 181.

zachwianej wierności ku swoim panom, a teraz oto do czego przyszło! potomek zacnego rodu, syn koronny oskarżonym jest o spisek przeciw krolowi, o zdradę ojczyzny. Żąda ewazyi, ale instygator opiera się temu i nie bez rącyi; wszystko, co mómówił o konstytucyi *de scrutiniis*, o bannicyach Krzysztofa, o sądach kapturowych, o statucie *de viro bonae famae* — jest gruntowne, bardzo gruntowne. A więc ewazya nie może służyć obwinionemu? Nie, tego ksiądz prymas nie powiedział, tylko przypomniał, że starał się, aby ta sprawa szła nie wedle surowości ustaw, ale łagodniejszą drogą, i odwoływał się do miłosierdzia królewskiego, gdyż jako kapłan, nie mógłby głosować za karą śmierci lub infamii. Za przykładem prymasa poszli inni senatorowie duchowni. Arcybiskup lwowski oświadczył, że król ze wszelką słusznością może domagać się zadośćuczynienia według prawa, jednakże lepiej uczyni, dając miejsce łaskawości. Biskup krakowski, który na zjeździe lubelskim najżywiej obstawał za oddaniem Zborowskich pod sąd, teraz zawołał z pismem świętem: „nie wchodź w sądy ze sługą twoim!“ [1]). To samo powiedział biskup kamieniecki. Biskup kijowski wmawiał w króla, aby się o nic nie troszczył, albowiem Pan Bóg zasłoni go od nieprzyjaciół, jak zasłonił niegdyś Dawida przed zbuntowanym Absolonem. Biskup kujawski radził ukarać Krzysztofa więzieniem, albo zadać mu jakie pensum, aby się odsługiwał królowi i Rzeczypospolitej [2]). Słowem, wszyscy biskupi pobożnie, choć nie bardzo po obywatelsku schowali się w swój stan kapłański, z wyjątkiem biskupa przemyskiego Baranowskiego, podkanclerza koronnego. Ten oświadczył się bez ogródki za dowodami instygatora i za wnioskiem jego, że ewazya nie może mieć miejsca. Wprawdzie wzruszają mię — dodał — łzy kasztelana gnieźnieńskiego, który w potępieniu Krzysztofa widzi hańbę swojego rodu. Ale myli się kasztelan: nie kara, tylko bezkarność byłaby hańbą. Wiedzą o tem zacne domy i dla tego niekiedy same karzą występnych członków swoich. Mikołaj Pieniążek przyprawił o śmierć własnego syna, pokątną miłość Doroty Tęczyńskiej ukarali krewni zamurowaniem, a niedawno infant Don Carlos zginął

[1]) Rękopis, str. 439.
[2]) Bröel-Plater str. 186.

uduszony z rozkazu ojca. Do tych nowożytnych katów Baranowski dodał ku większemu zbudowaniu parę oprawców rzymskich — Brutusa, Tytusa. Manljusza [1]). Klasycyzm był w modzie i wciskał się zarówno w życie prywatne, jak publiczne: Rzeczycki polemizując z Niemojewskim, cytował ustępy z Sallustyusza, a stary prymas nie pominął nierządnicy, która wykryła spisek Katyliny. Wota senatorów świeckich nie błyszczały, ma się rozumieć, świątobliwym pokostem, jak wota biskupie, ale równie jak tamte, były mdłe i bez treści. U Bröel-Platera i w manuskrypcie biblioteki jagiellońskiej jest ich razem dwadzieścia. Musiało być daleko więcej, ale zapewne tak małego znaczenia, że sprawozdawcy pożałowali na nie papieru i atramentu; a może po prostu nie umieli trafić z niemi do ładu, bo i te, które się przechowały, w ogóle są tak zagadkowe, tak chaotyczne, że trudno zrozumieć, co właściwie chciał głosujący powiedzieć. Nie dziw, że temu samemu senatorowi co innego kładzie w usta jeden sprawozdawca, a co innego drugi, tak iż mamy tylko trzy wota całkiem zgodnie podane — są to głosy wojewodów poznańskiego, bełzkiego i wileńskiego. Wojewoda poznański, który od początku procesu ciągle stawał po stronie oskarżonego, otwarcie oświadczył się za ewazyą, dowodząc, że żadna konstytucya nie podkopała ani przywileju Aleksandra, ani statutu o mężu dobrej sławy, bo konstytucye nie na to są stanowione, aby uchylały przywileje, lecz aby je wzmacniały; że listy Krzysztofa nie publicznie do senatorów, lub posłów, ale prywatnie pisane do brata, nie mogą uchodzić za dowód winy; nareszcie że świadectwa przeciw niemu są nieważne, bo pochodzą od ludzi, którzy częścią mięszają jego sprawę ze sprawą Samuela, częścią nie są mu równi urodzeniem. Wszystko to było raczej śmiałe, jak uzasadnione, ale było wyraźne. Również nie obwijał rzeczy w bawełnę wojewoda bełzki, przyjaciel Zamojskiego: przychylił się on w zupełności do zdania podkanclerzego i powiedział, że im szkodliwsze zamysły, tem srożej pewinny być karane. Wojewoda wileński właściwie nie głosował, składając się podobnie jak większość senatorów litewskich, nieznajomością prawa polskiego, tylko zrobił złośliwą uwagę, że Polacy zawsze wynajdują zdrajców po-

---

[1]) Rękopis str. 441.

między Litwinami, a sami tak mało dbają o bezpieczeństwo swojego pana; gdyby taki Krzysztof postał był na Litwie, jużby mu dawno łeb ukręcono. Miał racyą p. wojewoda, bo to, co słyszał z ust swoich kolegów, chyba dla tego było mówione, żeby nic nie powiedzieć. Jeden twierdził, że zbrodnia obrazy majestatu nie jest dokładnie opisaną w statutach i z tego powodu wstrzymał się od wszelkiego wniosku; innemu zdawało się, że tej zbrodni nie należy ograniczać do czynu spełnionego, gdyż w obec takiego pojmowania rzeczy nie mogłoby się ostać bezpieczeństwo króla, ale z drugiej strony upatrywał coś wadliwego w świadectwach zmarłych — i dla tego także nic nie konkludował; trzeci sądził, że należałoby wyrzec ewazyą co do jednego punktu oskarżenia, co do innych zaś trzymać się statutów; czwarty radził dać ewazyą, jeżeli bez niej nie można się obejść; jeszcze inny odkładał swoje zdanie na później, gdy przyjdzie do stanowienia wyroku. Każden jednak dodawał do swojego wotum ten frazes: „będę stał przy prawie pospolitem," albo: „niech król jegomość osądzi podług prawa pospolitego." Krótko mówiąc, brak dobrej woli, brak odwagi obywatelskiej w obec stronnictwa Zborowskich, a nadewszystko źle utajona obawa tryumfu królewskiego — gdyż w stosunkach z wolnym narodem król nie powinien był nigdy tryumfować — to było powodem, że poważny senat wyglądał, jak gromada politowania godnych niedołęgów, którzy od kilku dni przysłuchując się rozprawom, nie zdołali utworzyć sobie jasnego pojęcia o rzeczy i jeden po drugim pletli duby smalone.

Zamojski uniknął fałszywego położenia swoich kolegów dzięki prywatnej sprawie, którą na tymże sejmie wytoczył był Krzysztofowi; z tego powodu chcąc się okazać całkiem bezstronnym, uchylił się od obowiązku sędziego w procesie swojego przeciwnika z królem. Krzysztof, jak wiadomo, skarżył się na sejmiku proszowickiem, że Zamojski chciał go otruć. O tę potwarz pozwał go tedy kanclerz, a to samo uczynił sługa kanclerza Dzierżek, również spotwarzony przez Krzysztofa. Sąd roztrząsał tę sprawę w parę dni po owem sławnem głosowaniu swojem nad ewazyą. Zastępcą oskarżonego był Boniecki, pisarz grodzki radomski, a instygował Rzeczycki: Boniecki dowodził, że sąd sejmowy nie ma czego dochodzić, bo kanclerz nieprawnie pozwał Krzysztofa. Ten bowiem

nie szkalował go, tylko opowiadał, co zaszło, i radził się braci szlachty, co robić; owszem sam miałby prawo pozwać kanclerza, jakoż może to jeszcze uczynić przed upływem roku i sześciu tygodni, albo dać temu pokój, jeżeliby się nie czuł pokrzywdzonym. Rzeczycki odpowiedział, że nikt nie jest obowiązany czekać na urzędowy pozew potwarcy, lecz skoro się dowie o potwarzy, może o nią natychmiast pozwać; tak postąpił kanclerz i słusznie powołał Krzysztofa przed sąd sejmowy, gdyż jest to sprawa kryminalna, czci dotycząca — gdyby bowiem pokazało się, że istotnie chciał otruć Krzysztofa, uległby infamii. Kazano Bonieckiemu tłumaczyć się, ale ten odsyłał sędziów do uwięzionego w Morawach Pruskiego, który jako sprawca zamachu, najlepiej wszystko wytłumaczy. Na to dostał odpowiedź, że prawo krajowe nie nakazuje zbierać dowodów za granicą. Po krótkiej naradzie sąd uznał Krzysztofa winnym i skazał go wedle statutu na odszczekanie potwarzy, dając na to za zgodą Zamojskiego dwa tygodnie czasu; gdyby tego nie uczynił, miał odsiedzieć wieżę i zapłacić grzywny; w razie uchylenia się od tej drugiej kary czekała go infamia [1]). Ów Pruski, uciekłszy później z więzienia, opowiadał, że Krzysztof naprzód prośbą, a potem groźbą i torturą wymógł na nim zeznanie uknutej niby przez kanclerza zbrodni [2]). Tak prędko i gładko dobiegła do końca sprawa Krzysztofa z Zamojskim i Dzierżkiem, podczas gdy sprawa jego z królem szła, jak po grudzie; ale bo tam przeciwnikami jego byli — Zamojski choć hetman i kanclerz, zawsze jednak tylko szlachcic, i Dzierżek, kuchmistrz kanclerza; tu zaś — król, na którego czole, niby piętno Kaina, napisane było *absolutum dominium*.

Do przyczyn, które wpływały na bardzo chłodne, jak widzieliśmy, usposobienie senatu względem króla, można śmiało policzyć zachowanie się izby poselskiej. I tam także roztrząsano sprawę Zborowskich, ma się rozumieć nie trybem obrad sądowych, ale jak w klubie, namiętnie, śród kłótni i wrzasków, a przyjaciele Zborowskich tem gorliwiej dmuchali na ogień, im mocniej instygator przypierał zastępców oskarżonego do muru. Ile razy tych biednych zastępców spotkała walna po-

---

[1]) Rękopis str. 451—458.

[2]) Hejdensztejn.

rażka, tyle razy ten lub ów poseł leciał do sali sądu z natarczywą prośbą, ażeby król pozwolił kołu rycerskiemu rozmówić się z senatem. Tak kiedy upądła ostatnia ekscepcya Niemojewskiego, dotycząca delatora, zawitał Przyjemski, starosta koniński i prawił, ze posłowie mocno ubolewają nad uchyleniem tej ekscepcyi; bo chociaż w obecnym wypadku spuszczają się na mądrość króla jegomości, ale jak nastanie inny pan, mniej mądry, i zacznie sądzić bez delatora, przyjdzie na Polskę taka niewola, jakiej nigdy nie było, i więcej szlachty zginie od tego, jak od miecza nieprzyjaciół. Podobnież po zamknięciu kontrowersyi stron, kiedy senat miał obradować nad ewazyą, przyszedł marszałek Pękosławski z oświadczeniem, że izba poselska widzi w sprawie *novum emergens* i uprasza króla, aby, nim wyrok postanowi, pozwolił jej naradzić się z senatorami. To samo powtórzył poseł Kazimierski, a podczas obrad starosta drohobycki Uchański ponawiał tę prośbę cztery razy. Król długo się opierał, zawsze odpowiadając, że przestrzega praw, a więc i posłowie powinni ich się trzymać i nie przywłaszczać sobie tego, co do nich nie należy. W końcu jednak, szczególnie gdy Uchański oświadczył, że posłowie bynajmniej nie roszczą pretensyi do sądzenia sprawy, — ustąpił i porozumiawszy się z senatem, zezwolił na żądaną rozmowę. Zborowscy obiecywali sobie ztąd wielkie korzyści, ale skutek rozmowy zawiódł ich rachuby. Wprawdzie mieli dosyć przyjaciół w izbie poselskiej i żywo agitowali, żeby mieć jeszcze więcej; lecz godzi się przypuszczać, że i przeciwne stronnictwo nie zasypiało sprawy i również jednało sobie umysły szlacheckie, tak że izba burząc się i hałasując, ciągle zostawała w stanie przepołowienia i nie mogła się zdobyć na jedno jakiekolwiek sformułowanie swoich życzeń. Tak rozdwojona udała się 5 lutego na rozmowę z senatem. Nie była to właściwie żadna rozmowa, tylko wprost szermierka niezgodnych z sobą posłów w obecności senatu. Marszałek Pękosławski mówił o ważności przywilejów i prosił, aby nigdy nie były interpretowane bez dołożenia się izby poselskiej, w szczególności zaś, aby zachowanym był w swojej mocy przywilej Aleksandra, tak jednak, iżby on konstytucyom, a konstytucye jemu nie uwłaczały. Ale izba różnie go tłumaczyła. Przyjemski twierdził, że przywilej Aleksandra nie wyłącza króla od sądu, tylko na-

kazuje, aby król szedł za większością senatu. Wbrew temu Czarnkowski utrzymywał, że sąd należy do samego senatu, a dobrze byłoby przydać do niego posłów, jako w sprawie nowej; ganił uchylenie delatora i żądał, aby sąd wyrzekł Krzysztofowi ewazyą, gdyż konstytucya o śledztwach stosuje się tylko do spraw między równymi; w przeciwnym razie zapowiadał protestacyą ze strony izby. Warto przypomnieć, że Czarnkowski miał urazę do Batorego za odjęcie sobie urzędu referendarskiego, a przytem na sejmie 1582 został osądzony przez króla za niewydanie aktów intercyzy ślubnej nieboszczki Zofii Jagiellonki, księżny brunświckiej, i za nieprawne trzymanie Żnina, majętności arcybiskupiej. Przeciw Czarnkowskiemu wystąpił Świętosław Orzelski z całym arsenałem konstytucyj, któremi już się posługiwał był Rzeczycki, i dowodził, że król nie może być wyłączonym z pomiędzy sędziów, gdyż jednocześnie ze swoją sprawą sądzi krzywdę Rzeczypospolitej. Orzelskiemu wtórował Uchański, opierając się przeważnie na przywileju Aleksandra, który objaśniał w taki sposób, że i Rzeczycki lepiejby nie potrafił. Zestawiając z sobą różne wyrażenia przywileju, jak n. p.: „nic czynić nie będziemy samowolnie, ale wszystko za zgodą senatu,“ albo: „nic nie będziemy stanowić, tylko co słuszna większość uchwali,“ dochodził do wniosku, że przywilej ten wcale nie odbiera królowi prawa sądu. Przytaczał też inne argumenta: że dekret sejmowy zawsze bywa przy królu, oraz że szlachcic nie może wydawać na szlachcica wyroku infamii — służy to tylko królowi. Co do ewazyi powiedział, że nie widzi jej w przywileju: stoi tam wyraz *purgatio,* co znaczy oczyszczenie się; zapewne myślał — oczyszczenie się za pomocą dowodów, nie za pomocą przysięgi. Herburt, chorąży lwowski, chciał dowieść, że senat roztrząsając sprawę, może też i wyrok stanowić. „Małom ci się ja uczył łaciny — rzekł — ale wiem, że *discernere* znaczy tyle, co *decernere*“ — i dowiódł, że istotnie mało się uczył łaciny. Najgłośniej powstawał przeciw sądowi królewskiemu Kazimierski. „Nie królowi — krzyczał — ani nawet wam, panowie senatorowie, powierzyła szlachta swój honor i majątki, ale prawu pospolitemu; przy niem stać chcemy i żadnych dekretów przeciw prawu nie przyjmujemy, owszem będziem protestować.“ Dekret przeciw prawu oznaczał w myśli Kazimier-

skiego nie dopuszczenie Krzysztofa do ewazyi. Ten ton zuchwały obruszył senatorów. Prymas żywo zgromił Kazimirskiego, a Rozrażewski, biskup kujawski, wtrącił uwagę, że zbytek wolności zawsze więcej szkodzi, niż pomaga. Oddano słuszność Uchańskiemu i jego towarzyszom, jako tym, co stali przy rozumnym i słusznym wykładzie prawa; do przeciwników ich zaś biskup krakowski radził wyprawić kilku senatorów, ażeby usiłowali nakłonić izbę do zgody, zwłaszcza że Uchański twierdził, iż większość posłów była tego samego, co i on, zdania [1]).

W ogóle senat postąpił przyzwoicie i godnie, a co większa, postąpił szczerze. Gdy posłowie odeszli, ten sam wojewoda sieradzki, który podczas głosowania nad ewazyą w obecności króla wyrażał się z pewną dwuznacznością, iż nie wie, czy ewazya mogłaby służyć Krzysztofowi, teraz kiedy króla nie było, dziwił się, jak można czegoś podobnego żądać dla człowieka, który jest *ter notatus*, trzykroć łotr! Wojewoda kaliski znowu, który podczas głosowania skłaniał się ku ewazyi, zapewniał teraz senatorów, że krzyki i groźby Kazimirskiego i jemu podobnych były jeszcze na sejmikach ukartowane, a więc mówił o nich z niejaką pogardą. Wszystko to świadczyło, że w usposobieniu senatu względem króla zaszła zmiana na lepsze. Jakoż nie mogło być inaczej. Senat, chwiejny i rozbity sam w sobie, nie znalazłszy punktu oparcia w rozpołowionej izbie, widząc wreszcie, że i ci posłowie, którzy domagali się rozmowy, jak Przyjemski i Uchański, nie wszyscy byli stronnikami Zborowskich, musiał sobie powiedzieć w duchu, że nie taki djabeł straszny jak go malują, nie tacy Zborowscy mocni, ażeby wobec nich miała umilknąć wszelka sprawiedliwość, i coraz bardziej zaczął ulegać wpływowi króla, który zawsze ten sam, nie pobłażający, ani surowy, stał wysoko ponad względami stronnictw, jako prawdziwy reprezentant prawa. Ponieważ pierwsze obrady nad ewazyą spełzły na niczem, odbyto w tym przedmiocie drugie posiedzenie 9go lutego, na którem ewazya została odrzuconą, a natomiast uchwalono przysięgę świadków [1]). Było to w sobotę, w następny ponie-

---

[1]) Rękopis, str. 459—472.
[2]) Pauli str. 179.

działek świadkowie zaprzysięgli swoje zeznania. Los Krzysztofa nie mógł być zatem wątpliwym; z tem wszystkiem do ferowania wyroku nie zaraz jeszcze przyszło: czynione były zabiegi, ażeby fatalna godzina wybiła jak najpóźniej, dopiero przy schyłku sejmu; mogli też Zborowscy mówić sobie: jeszcze kilka dni, jeden dzień jeszcze, a sejm się skończy i wyrok nie zapadnie. Tymczasem upłynął termin dwutygodniowy, w którym Krzysztof powinien był odwołać potwarz rzuconą na Zarnojskiego i Dzierżka. W jego imieniu stanęli Mikołaj Sieniawski i Zbigniew Ossoliński i oświadczyli, że Krzysztof nie dawał w tej sprawie zastępstwa Bonieckiemu; przeto nie wiedząc o niczem, co się stało w jego nieobecności, prosi o dylacyę do czterech albo przynajmniej do dwóch tygodni. Rozumie się, że osobliwsza ta prośba nie została uwzględnioną. Wtedy Ossoliński zaprotestował przeciw sądowi, mówiąc: „powinowaty mój, Krzysztof Zborowski nie poruczał tej sprawy nikomu, a że to jest sprawa cywilna, więc wszystko, co się tu działo, działo się nie na swojem miejscu i podług prawa nie jest ważne; z tem odchodzę do braci.“ To powiedziawszy, wyszedł razem z Sieniawskim. Król oburzony porwał się do korda i radził się senatorów, w jaki sposób ukarać tak niesłychane zuchwalstwo. Kazał też zapytać się posłów, czy za ich wolą Ossoliński założył protestacyę? Odpowiedzieli, że Ossoliński nie po to przychodził, aby podawać w wątpliwość dekreta królewskie, tylko chciał wedle możności ratować swego powinnego [1]. Na takie to sztuczki brali się Zborowscy, aby uniknąć wyroku. Wszakże nic to już nie pomogło. Senat bez oporu spuścił się na decyzyę króla, a ta brzmiała, jak następuje: „Widzi Bóg — mówił Batory — jak niechętnie przystąpiłem do tej sprawy, jak długo wiele rzeczy znosiłem i czekałem na upamiętanie; wszystko napróżno; daremnie litowalibyśmy się nad tym, kto sam nad sobą nie miał litości. A jakkolwiek ciężką jest kara infamii, gdyż nie ustaje nawet ze śmiercią, przecież ze względu na zbrodnię jest jeszcze umiarkowaną; gdybyśmy lżejszą wybrali, otworzylibyśmy tylko wrota najszkaradniejszym występkom, a nadto stalibyśmy się pośmiewiskiem postronnych narodów. Kiedym się dowiedział, że

[1]) Pauli, str. 179—180.

oskarżony przybył do Warszawy, i gdy wielu sądziło, że uda się do mnie i będzie błagał o przebaczenie, przepowiedziałem, że nic z tego nie będzie. Byłem prawdziwym prorokiem. Chociażbyśmy najłagodniejszy wydali wyrok, jaka ztąd korzyść bądź dla niego, bądź dla nas? żadna. O nas powiedzianoby słusznie, iż jesteśmy tak ciemni, że nie pojmujemy doniosłości obrazy majestatu, lub tak trwożliwi, że dla świetności tego rodu nie odważyliśmy się zawyrokować tego, co według praw boskich i ludzkich zawyrokować należało. A z jego strony jaka może być nadzieja poprawy, gdy już tyle złożył dowodów, że jest wyzutym z wszelkiego wstydu? Piszą do mnie listy z różnych krajów; domyślam się, jakie to żarty, jakie zdania były w Wiedniu o proszowickiej deklamacyi; wszyscy dziwili się jego zuchwalstwu i naszej cierpliwości; gdyby coś podobnego powiedział był na ławnika pragskiego, nie uszłoby mu to płazem. Przeto gdy chce być bezecnym, niechże nim będzie“ [1]). W piątek 22go lutego marszałek koronny Opaliński ferował przeciw Krzysztofowi trzy dekreta w trzech sprawach jego z królem, Zamojskim i Dzierżkiem. Wszystkie trzy skazywały Krzysztofa na infamię i konfiskatę dóbr, ze zwykłym dodatkiem, że starostowie mają schwytać winnego i jako infamisa, ukarać na gardle. Andrzej Zborowski wywinął się z matni, na prośby jego własne i senatorów król zaniechał przeciw niemu procesu; oczywiście senatorowie sądzili, że obrażony majestat nie powinien zbytkować — byłoby zawiele, gdyby naraz dwie ofiary połknął.

Pomimo widoczne umiarkowanie króla, część posłów przygotowała mu wcale niemiłe pożegnanie w ostatnim dniu sejmu, tj. 28go lutego. Kazimierski, Czarnkowski, Pękosławski, Herburt, Ossoliński, Stanisław Ostroróg i jacyś inni wystąpili z protestacyą, którą w imieniu wszystkich odczytał Kazimierski. Posłowie ci ubolewali, że cała sesya sejmowa zeszła na sprawie, która do sądu królewskiego bynajmniej nie należała, oraz że król i senat sądzili ją nie według przywileju Aleksandra, jakby się godziło, ale wcale inaczej; że nie dali oskarżonemu dostatecznego glejtu, nie ukazali delatora, odjęli ewazyę i wszystkie w ogóle dobrodziejstwa prawa, tylko za

[1]) Bröel-Plater, str. 210—212.

świadectwami osób, nierównych obwinionemu urodzeniem, potępili go wbrew zwyczajom i prawu. „Co wszystko statecznie uważywszy, mówili protestujący, nie lza nam, jedno *fidem nostram exonerando*, to wszystko wcale do braciej odnieść“ [1]). Batory odpowiedział na to piorunującą mową. „Nie jestem służalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, i nimem przybył do tego kraju, nie brakło mi pożywienia, ani odzienia. Wolność waszą kocham i za wolą bożą zachowam, ale mojej wolności uszczerbku, ani żadnego ograniczenia nie ścierpię. Obrany królem waszym, przybyłem tu na wasze prośby i nalegania; samiście włożyli mi na głowę koronę; jestem więc waszym królem nie zmyślonym, ani malowanym, ale rzeczywistym i prawowitym; chcę panować i rozkazywać i nie pozwolę, aby mnie rozkazywano. Jesteście stróżami waszej wolności, lecz nie chcę, abyście byli moimi ochmistrzami; przestrzegajcie i brońcie swoich swobód, ale pilnujcie, aby ta wolność wasza nie stała się nadużyciem.“ Potem zwracając się do senatorów: „panowie senatorowie! zawołał — albo wymierzcie mi sprawiedliwość, albo rozwiążcie mi ręce, któreście skrępowali waszemi prawami, a ja pomszczę się mojej krzywdy“ [2]). Senatorowie, przedewszystkiem prymas, usiłowali pohamować gniew króla, a poseł Orzelski błagał go, aby się nie zrażał głosem kilku nieżyczliwych, gdyż ogół jest mu wiernym i przychylnym. Po sejmie król posłał akta procesu do cesarza Rudolfa, żądając wydania Krzysztofa. Ale stosunki dworu austryackiego do polskiego przez cały czas panowania Batorego były dość chłodne, a przytem ofiarowanie przytułku możnemu emigrantowi polskiemu wybornie zgadzało się z polityką tego dworu względem Rzeczypospolitej. Z tych powodów cesarz nie odmówił wprost, lecz odesłał króla do stanów morawskich — Krzysztof bowiem zamieszkał w Morawach — a te nie wydały zbrodniarza [3]).

Parę słów jeszcze o skutkach procesu. Niewątpliwie Batory przytłumił wielkopańską swawolę, a może byłby ją całkiem zdusił, gdyby żył dłużej, gdyby zwłaszcza były przyszły

---

[1]) Pauli, str. 182—185.
[2]) Pauli str. XXXII.
[3]) Hejdensztejn.

do skutku plany, które się roiły w tej potężnej i szlachetnej głowie. Ale Batory umarł w niespełna dwa lata po sejmie, wśród okoliczności do dziśdnia niewyjaśnionych, a ledwie zamknął oczy, powściągnione jego ręką niesforne żywioły zerwały się nanowo pod wodzą rozjątrzonych Zborowskich, którzy skupili je w stronnictwo, aby przedewszystkiem powetować swoje szkody. Dzięki ich wichrzeniom bezkrólewie po śmierci Batorego było jednem z najburzliwszych, jakie kiedykolwiek Polska zapamiętała. Na konwokacyi Andrzej Zborowski zaprzątał stany sprawami swojego domu: domagał się rehabilitacyi Samuela, żądał zdjęcia infamii z Krzysztofa, a pomimo że sam tylko łasce nieboszczyka króla winien był swoje ocalenie, szkalował jego pamięć, dowodząc, że król pozwał Zborowskich przed sąd sejmowy jedynie przez zemstę, za to, iż poważyli się opłakiwać zamordowanie swego brata, i jak jeszcze sądził! pod naciskiem zbrojnej siły, sam był delatorem, sam świadkiem, sam sędzią śledczym, wszyscy zaś inni świadkowie byli przez niego przekupieni. Powstawał też Andrzej na Zamojskiego, jako na gwałciciela swobód i sprawiedliwości [1]). Ale gorsze jeszcze rzeczy działy się na tej konwokacyi: słudzy Zborowskich brali ich przeciwników na cel, rzucali za nimi czekanami. Nie dziw, że i Krzysztof, za nic ważąc sobie wyrok sejmowy, przyjechał do Polski ze zgrają zbrojnych najemników. Wprawdzie szczęście znowu nie dopisało Zborowskim. Popierany i nareszcie obrany przez nich królem polskim arcyksiążę Maksymilian dostał się pod Byczyną do niewoli, a razem z nim wpadł w ręce Zamojskiego Andrzej. Zguba Zborowskich zdawała się być nieuchronną, a jednak nie stało im się nic złego, z wyjątkiem, że Andrzejowi odebrano jego urząd marszałkowski; natomiast krzyki ich o pognębione swobody szlacheckie nie były głosem wołającego na puszczy. Konstytucye sejmowe roku 1588 stanowią, że zbrodnia obrazy majestatu popełnia się knowaniem, spiskiem, gwałtownem usiłowaniem, nareszcie czynem — a więc obelgi słowem i pismem mogły odtąd uchodzić bezkarnie; że sąd tej zbrodni nie należy do króla, tylko do senatorów i ośmiu deputowanych izby poselskiej, których liczba w 1670 wzrosła do dwunastu; że delator jest niezbędnym, a może nim być i nie-

---

[1]) Pauli str. 188—196.

szlachcic, jeżeli jednak fałszywie oskarży, ulegnie karze śmierci; nakoniec że nie wolno chwytać wywołańca w domu szlacheckim wbrew woli gospodarza — wszystko na większą chwałę złotej wolności. Konstytucye te miały naturalnie obowiązywać na przyszłość jak wszelkie prawo; ale ponieważ wypłynęły bezpośrednio ze sprawy Zborowskich, przeto i na nią oddziałały. Sejm roku 1589 nakazał wszystkim i każdemu zosobna wieczne milczenie w sprawie Samuela — nie można go było rehabilitować, więc zabroniono o nim mówić. Skoro zaś tyle zrobiono dla nieboszczyka, dla żyjącego trzeba było więcej zrobić, i oto sejm roku 1591 uchyla wyrok, wydany przeciw Krzysztofowi, i to nie w drodze łaski, ale wyraźnie dając do zrozumienia, że był nieprawny. Uchwała ta zarówno ubliżała pamięci Batorego, jak uwłaczała sprawiedliwości, której bynajmniej nie ratował dodatek, aby Krzysztof ze względu na rozdraźnienie umysłów nie pokazywał się w Polsce do lat dwudziestu, pod karą przywrócenia mocy dawnemu wyrokowi. Są niewątpliwe ślady, że Krzysztof przemieszkiwał w Polsce za glejtami sejmowemi, jednakże nie doczekał się końca tych lat dwudziestu: zginął gdzieś w Węgrzech przy grze w kości [1]).

[1]) Piasecki.

Julian Sutowicz.

STUDYA

DO

NAJNOWSZEJ HISTORYI NIEMIEC.

(Ciąg dalszy).

V.

Jeźli o jakiem państwie powiedzieć można, że spełnił się na niem opatrznościowy *sąd doraźny* w jego historyi najnowszych czasów, to o Austryi, zważywszy bieg wypadków między r. 1864 a r. 1866. Błąd i jego smutne następstwa są tu tak bliskie siebie, tak szybko po sobie nastąpiły, klęska tak odpowiednia winie z dantejską prawie grozą i trafnością, że doprawdy mało w dziejach takich przykładów. To co starożytni już dostrzegli w biegu ludzkich rzeczy i nazywali Nemezą, to co my chrześcianie nazywamy palcem Bożym, a co mówiąc filozoficznie jest *absolutnym porządkiem rzeczy*, uwidoczniło się tu tak wyraźnie, że doprawdy warto się nad tem bliżej zastanowić.

Austrya, jakeśmy to już nieraz podnieśli, poszła fałszywą drogą w sprawie Szlazwicko-Holsztyńskiej. Solidaryzowała się naprzód z Prusami, podnosząc wraz z nimi sztandar niesłusznej wojny, a to głównie w tym celu, by zapewnić sobie pruską pomoc w razie najazdu Wenecyi przez Włochów, — następnie zaś

znowu łączyła się wraz z innemi rządami niemieckimi z narodowo-liberalnym prądem niemieckiej partyi ruchu, by popierać kandydaturę księcia Augustenburga w księstwach nadelbiańskich, sprzeciwiając się tem samem swej własnej dawniejszej tradycyjnej w Niemczech polityce. Pewien weteran dyplomacyi powiedział a propos tego w jednej ze swych poufnych pogadanek; że dożył dwóch rzeczy, których nie przewidywał i których nigdy w życiu doczekać się niespodziewał; rewolucyjnego Papieża (w r. 1848) i augustenburgskiej Austryi (w r. 1864). Aby zmierzyć do dna cały obłęd w jakim wówczas Austrya się znalazła i osądzić ten pogląd na położenie państwa jakie mieli ówcześni doradzcy tronu, wystarczy dziś przeczytać następujący ustęp z mowy tronowej powiedzianej przy otwarciu Reichsrathu 14 listopada 1864 r. właśnie w parę tygodni po zawarciu pokoju wiedeńskiego. „Wiele bardzo ważnych zdarzeń dla mego domu i dla mego państwa zaszło od poprzedniej kadencyi do dnia dzisiejszego. Ożywiony chęcią utrzymania i umocowania powszechnego pokoju, mogę sobie powinszować dobrych i przyjaznych stosunków, w jakich rząd nasz ze wszystkiemi wielkiemi mocarstwami europejskiemi zostaje. Przyczyna długoletnich zatargów na Północy Niemiec została właśnie usuniętą i to w najzaszczytniejszy sposób. Reprezentanci moich krajów myślę, że podzielą radość moję z powodu, że wojna, między Danią a niemieckiemi mocarstwami pokojem z 30 października zakończona została i to w sposób odpowiedni najwyższym wymaganiom i spełniający najżywsze oczekiwania narodu niemieckiego. Waleczność wojsk skoalizowanych i marynarki austryackiej i pruskiej osiągnęła świetną nagrodę, a roztropne i sprawiedliwe umiarkowanie neutralnych potęg ułatwiło porozumienie się ostateczne. Łączność między mną a mym wspaniałym sprzymierzeńcem królem pruskim dała na nowo dowody swej wielkiej wartości w tych pamiętnych rezultatach. Nie wątpię, że i całe Niemcy wobec tak zaszczytnego i szczęśliwego rozwiązania kwestyi, która wszystko do głębi poruszyła, znajdą znowu tę jedność i zgodę, jaka dla ich bezpieczeństwa i powodzenia, również jak i dla spokoju i równowagi europejskiej tak bardzo jest potrzebną.“

Austrya zapomniała o tem w r. 1864, że i ona tak jak Dania miała także swój Szlezwig-Holsztyn na południowych krańcach ziem swoich: Lombardyę i Wenecyę, zagrożone w imię

tejże samej idei narodowego zjednoczenia, w imię której Szlezwig-Holsztyn Danii odebrano. Austrya pamiętała wprawdzie o Wenecyi, ale aby zażegnać grożące z tej strony niebezpieczeństwo przyjęła chwilowo swych nieprzyjaciół zasady, których konsekwencye wnet sama na sobie uczuć miała. Bo jeźli słusznie i sprawiedliwie było zabrać Danii Szlezwig-Holsztyn, jeźli to było tylko *zaszczytnem spełnieniem najżywszych nadziei jednoczącego się narodu niemieckiego*, to natenczas i *Italia-una* była w swojem prawie domagając się Wenecyi, bo dla czegóż ma być inna sprawiedliwość na południu niżli na północy! Austrya w r. 1864 zdobyła Holsztyn, by ocalić Wenecyą; w r. 1866 traci jedno i drugie, a obie te prowincye dostają się tym w udziale, co nie tylko chwilowo wywieszali sztandar zjednoczenia narodowego w imię bezwzględnej wielkości i potęgi państwowej, ale byli mu wierni od lat wielu i wiele ofiar już dla niego ponieśli, jest to bowiem zwykłą koleją rzeczy na świecie, że tam, gdzie nie ma wierności w dobrem, tam wierność złemu cieszy się powodzeniem. Swoją drogą jednak jest to zawsze kwestyą czasu, czyj los jest w przyszłości bardziej do pozazdroszczenia, czy zwycięzców, czy zwyciężonych? My co wiemy, że równie jak dla pojedynczych tak dla zbiorowych indywiduów ludzkich nie powodzenie na złej drodze i to jeszcze tak na razie, zaraz w pierwszej chwili zboczenia jest łaską, a sukces w złem najsroższą karą, my co wiemy, że pod *rządem Opatrzności Bożej* zawsze nierównie wyższą rangą jest być bitym niż być *biczem Bożym*, moglibyśmy być spokojni o przyszłość, gdybyśmy w Austryi widzieli u steru tych co poznali dla czego zostali pobici w r. 1866tym.

Ale czas już wrócić do przerwanego toku opowiadauia. Po zawarciu pokoju wiedeńskiego a właściwie po ustąpieniu wojsk trzecich Niemiec z Holsztynu, na czem stanąłem w poprzednim rozdziale, zdawało się na chwilę, że kwestya niemiecka zeszła istotnie na to, za co ją był uznał wysoki trybunał europejski na konferencyach w Londynie, zostawiający ją jej własnym losom t. j. na sprawę czysto domowych niemieckich zatargów; od których można ręce umyć z czystem sumieniem. Tymczasem jakby na przekór uśpionej Europie, kwestya ta właśnie od tej chwili właśnie dopiero zaczyna na dobre być europejską. Teraz już nie chodziło o nierówną walkę Niemiec z małą Danią, ale o osta-

teczne rozprawienie się o Niemcy *dwóch mocarstw europejskich*, to też zaraz wszystko większych zaczyna nabierać rozmiarów. Teraz właściwa dyplomatyczna i wojenna akcya na nierównie szerszym zaczyna rozpościerać się gruncie, przedziera się przez Alpy i cały środek Europy od Jutlandyi aż do Sycylii porywa w swe fale. Jeżeli pierwej chodziło prusom o to, by z pomocą Austryi izolować Danię od całej Europy, to teraz większe nierównie i trudniejsze miały zadanie: w ten sam sposób izolować Austryę, by w tym z nią pojedynku znaleść się w pośród samych tylko sprzymierzeńców albo niemych spektatorów na arenie walki.

Z końcem więc roku 1864 rozpoczyna się w całej Europie wielka kampania dyplomatyczna, *bellum omnium contra omnes*, a właściwie szukanie wzajemne sprzymierzeńców, wszystkich przeciw wszystkim, z czego jako najważniejszy rezultat dla przyszłych losów Niemiec i Europy wyszedł alians prusko-włoski.

W całej historyi ostatniego zjednoczenia Niemiec nie ma faktu większej doniosłości jak to przymierze Prus z półwyspem włoskim, które właśnie wówczas na dobre wiązać się zaczęło; ono to dopiero nadało niemieckiemu zjednoczeniu się właściwe mu piętno, ten jego niczem niezmazany charakter na wskróś rewolucyjnego przewrotu. Jest to na wielką skalę cyrograf między Faustem a Mefistofelesem, jak to trafnie zauważył genialny poseł Winthorst w pruskiej izbie; w najbliższej przyszłości pokaże się czy południowy Mefisto będzie mógł powiedzieć o północnym Fauście: „*Du bist noch nicht der Mann den Teufel festzuhalten!*“

Nad tym więc prusko-włoskim aliansem wypada nam się teraz dłużej zatrzymać, bo jest on jądrem dalszej historyi zjednoczenia Niemiec, a dziś już oś zachodniej Europy jest między Rzymem a Berlinem, to są jej dwa bieguny, a symbolem jej są trzy krzyże, krzyż watykański między krzyżackim i sabaudzkim krzyżem.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności historya tego prusko-włoskiego przymierza jest już teraz bardziej wyświeconą niż wszystkie inne nowsze wypadki, do niczego nie ma tyle źródeł otwartych i to z najtajniejszych archiwów, na żaden punkt z najnowszej historyi nie rzucono dotychczas i to z różnych stron tyle światła, ile na te stosunki nowych Włoch z Niemcami. Je-

szcze pisząc poprzedni rozdział, myślałem, że wypadnie mi się ograniczyć na tych książkach, które na wstępie jego podałem. Nawet wyznać muszę, że do uchwycenia głównego przebiegu rzeczy źródła te były mi wystarczającą pomocą. Szczególniej broszura: „*Le general La Marmora et l'Alliance prussiene*“ prawdopodobnie z natchnienia samego jenerała napisana, i także Jaciniego ministra robót publicznych: „*Due anni di politica italiana*,“ dają znaczny zasób materyału, ciekawe studyum dyplomatyczne p. Klaczki: „*Les préliminaires de Sadowa*,“ gdzie w pierwszych rozdziałach także dosyć szczegółowo tą kwestyą autor się zajmuje, pomaga bardzo do ujęcia i zrozumienia ówczesnych konstelacyj politycznych w Europie, wreszcie Benedettego: „*Ma mission en Prusse*“ i europejski kalendarz historyczny *Schulthessa* dopełnia to wszystko kilkoma bardzo ważnymi dokumentemi. Słowem choćby się było wypadło tylko na tych tu wymienionych publikacyach ograniczyć, nie możnaby się było skarżyć na brak materyałów. Tym czasem niedyskretna bogini odsłaniająca tajniki przeszłości, dobroczynna opiekunka historyi i publicystów, tym razem nie zna granic swej hojności; używszy za narzędzie swoje samego jenerała La Marmorę rzuciła nam znowu: „*Un po piu di Luce*“ „trochę więcej światła“ jak mówi skromny tytuł jego książki, a w rzeczy samej: bardzo wiele światła, na te wypadki i zabiegi dyplomatyczne poprzedzające rok 1866ty.

Nie oszacowani są ci dyplomaci nowej szkoły dla wszystkich co lubią sobie zdawać sprawę z najbliższej przeszłości, nie znają oni tajemnic stanu, gdy są draśnięci w najsłabszą stronę próżności. Dyplomaci dawniejszej daty trzymali się rzeczywiście tych zasad jakie jeszcze niedawno p. Gramont w przedmowie swej książki „*La France et la Prusse*“ wypowiedział. Pisze on: „Agent dyplomatyczny nie ma prawa ogłaszać oficyalnych depesz bez pozwolenia dotyczącego rządu. Jeśli to się gdzie zdarzy, to fakta tego rodzaju są zawsze znakiem wielkiego upadku moralnego, którego smutne konsekwencye mszczą się na tym kraju, gdzie się takie rzeczy dzieją. Agent lub urzędnik powinien umieć być zrezygnowanym na to, żeby uchodzić za niezręcznego lub lekkomyślnego, bo przyszłość ojczyzny wcale nie zależy od tego czy jego reputacya jako człowieka z talentem zgaśnie, czy jaśnieć będzie, może on w samem poczuciu osobistej

ofiarności znaleść dostateczne wynagrodzenie za te ostre sądy, na jakie się musi wystawiać milczeniem.“ P. Gramont pozuje tu jak widzimy na dyplomatę dawnej szkoły. PP. Benedetti i La Marmora są dużo szczersi w przedmowach do swych książek, obydwa zgadzają się na to, że można w niektórych razach ogłaszać tajemnice stanu i wypowiadają to całkiem otwarcie prawie w równo brzmiących ustępach: „Wiem, że wykraczam przeciw powszechnie dotychczas szanowanym tradycyom, jednakże jeśli winno się poświęcić swej ojczyźnie: majątek gdy się go ma, własne życie, życie dzieci — i mój syn jedynak jest w szeregach — to nie ma wcale obowiązku robić jej ofiarę z własnego honoru: bo strata honoru jednostki na nic się przydać nie może dobru publicznemu,“ mówi p. Benedetti. „Nie byłbym dość szczerym, mówi jen. La Marmora, gdybym to ukrywał, że do tej publikacyi byłem pobudzony pewnem osobistem uczuciem (che a questa pubblicazione fui anche spinto da un sentimento personale) w gruncie bardzo naturalnem i usprawiedliwionem. Chodzi tu o to, by bronić swego honoru obrażonego przez różnych publicystów, bo choć obywatel winien poświęcić wedle okoliczności swą przyszłość, swój byt i życie za ojczyznę i króla, nie może on i nie powinien nawet na to pozwolić — jak to już ktoś inny powiedział — by szarpano i deptano honor jego.“

Mniejsza zresztą o to, co spowodowało owych dyplomatów do rzucenia nam prostym śmiertelnikom „*un po' piu di Luce*“ my możemy tylko wykrzyknąć: niech żyją dyplomaci nowej szkoły! można się przecież od nich niejedno dowiedzieć, co w innych czasach byłoby zapewne jeszcze Bóg wie jak długo gniło w tajnych archiwach.

Wprawdzie książka jen. La Marmory nie daje znowu nic tak całkiem nowego nigdy nie słyszanego o czemby się już i z dawniejszych publikacyi nie wiedziało, ale daje wszystko z pierwszej ręki, z najbliższego źródła i w tem jest największa jej ważność i wartość; to co pierwej tylko ogólnikowo było wiadomem, lub czego się zaledwie można było domyślać, to można już teraz wiedzieć całkiem dokumentne, z poufnych listów i depesz samychże działających osób i to z wieloma nowymi całkiem szczegółami, które wszystkiemu nawet znanemu już cechę nowości nadają, tak że czytającemu wydaje się iż dopiero teraz wszystko widzi w żywych i rzeczywistych barwach.

Znaną, n. p. było to już rzeczą, że myśl przymierza sardyńskiego rządu z Prusami była to jedna z ostatnich myśli Cavoura i że on pierwszy zapukał do berlińskiego gabitetu jeszcze w r. 1860 w krótce po włosko-austryackiej wojnie. Jenerał La Marmora daje nam o tem jak najbliższe szczegóły, poświęcając cały swój pierwszy rozdział temu prologowi przyszłego prusko-włoskiego aliansu, zaczynając swoją rzecz właśnie od tego, jak po wojnie w r. 1859 Cavour nie opuścił żadnej sposobności, aby polepszyć stosunki między Turynem a Berlinem. Usiłowania te jednak początkowo były bezowocne, bo jak mówi jenerał: „choć nie mało było już i wówczas ludzi w Prusiech, mianowicie w tak zwanej partyi narodowej, co przyklaskiwali naszemu narodowemu ruchowi i byli naszymi admiratorami, to jednak dwór, ministrowie, wojsko i wielka część ludności była nam nieprzychylną, było tam bowiem powszechnie rozszerzone tak złe mniemanie o Włochach, że stawiano na równi nasze przebudzenie się narodowe z krwawemi rewolucyami jakie były wstrząsały niektóremi państwami, i dawano do zrozumienia innym i nam samym przy każdej sposobności, że my wszyscy rewolucyoniści.“

Jenerał stwierdza to wszystko notą Schleiniza (podówczas szefa gabinetu pruskiego) którą tenże odpowiedział Cavourowi na jego pierwsze do Prus umizgi. Jest to ciekawy dokument, który nam najlepiej pokazuje, jak daleko Prusy odbiegły już dzisiaj od tych wówczas wypowiedzianych zasad i przekonań. „Jeźli dopiero dziś odpowiadamy na krok rządu Jego królewskiej Mości, mówi nota Schleiniza (13 paźdz. 1860), to W. E. będzie umiał sobie wytłomaczyć motywa tej zwłoki, bo z jednej strony W. E. wie jak życzymy sobie utrzymać dobre stosunki z Turyńskim gabinetem, z drugiej zaś strony podstawy naszej polityki są mu aż nadto znane, aby W. E. nie przeczuwał *głębokiej różnicy zasad* między nami a rządem króla Wiktora Emanuela, jaką każde bliższe tłomaczenie musi uwidocznić.... Wypowiem panu bez ogródki, jak my się zapatrujemy na ostatnie czyny rządu Sardyńskiego i na zasady rozwinięte w jego memoryale. Wszystkie argumenta pańskiego pisma gruntują się na zasadzie absolutnego prawa narodowości. Dalecy jesteśmy od zaprzeczania wielkiego znaczenia *idei narodowości*. Jest ona główną sprężyną i naszej własnej polityki w Niemczech, głośno przyznajemy, że zmierzamy do połączenia Niemiec w organizm

sposobniejszy do rozwinięcia większej potęgi sił narodowych. Ale przyznając całą ważność zasadzie narodowości, rząd pruski nie może znaleźć w niej usprawiedliwienia polityki nie szanującej pierwszych zasad prawa narodów. Tylko jedynie na drodze legalnej reformy i szanowania praw istniejących wolno jest prawowitemu rządowi urzeczywistniać słuszne rządania ogółu. Według memoryału Sardyńskiego wszystko musi ustępować przed wymaganiami narodowemi, a ile razy opinia publiczna jest za niemi, rządowi nie pozostaje nic innego, jak abdykować ze swej władzy na rzecz tychże manifestacyi... Tym sposobem schodzi się z drogi reform, by się rzucić na drogę rewolucyi.“ — Następnie nota wylicza cały rejestr grzechów rządu sardyńskiego ujmując się i za władzą świecką Papieża i kończy wreszcie w te słowa: „Powołani do wyjawienia naszego zdania o takiem postępowaniu, nie możemy jak tylko głęboko a szczerze nad niem ubolewać, i uważamy to sobie za surowy obowiązek wypowiedzieć jak najjaśniej i najformalniej, że nie aprobujemy ani tych zasad ani tego ich zastosowania jakie sobie we Włoszech zrobić pozwolono.“

Pomimo tej tak stanowczej odpowiedzi, w której przemówiły jeszcze dawne Prusy junkrów gazety krzyżowej, wielki mimister włoski nie zraził się zupełnie do dalszych kroków, przyjął on szorstką notę Schleiniza tą więcej niż trafna uwagą: „Prusy będą jeszcze kiedyś wdzięczne Piemontowi za ten dobry przykład, jakiśmy im dali,“ i w tym duchu wystosował odpowiedź, w następnym zaś roku ponowił swe usiłowania. Z okazyi koronacyi króla Wilhelma I w r. 1861, wysłał on z powinszowaniami dla nowego króla właśnie jen. La Marmorę „bo ten wielki mąż stanu,“ mówi sam jenerał „wiedział dobrze ile wagi przywiązywałem zawsze do przyjaznych stosunków naszego rządu z Prusami, które widziałem naówczas prawie w indentycznych z nami okolicznościach, i jak ceniłem zawsze wojskowe urządzenia pruskie, które więcej niż wszystkie inne studyowałem.“ La Marmora dostał od Cavoura na tę misyę bardzo dokładną instrukcyę, którą za jego testament polityczny uważać można, bo w krótce potem śmierć go zaskoczyła. Poleca on przedewszystkiem innem jenerałowi, aby wyrobił w Prusiech to przekonanie, że to jest zawsze najoczywistszym interesem dla zjednoczonych Włochów, utrzymywać jak najściślejsze relacye z Prusami, od

których przyszłe ukonstytuowanie się Germanii głównie zależeć będzie. „Interes ten jest widoczny“ mówi dalej Cavour w swej instrukcyi „gdy się zważy, że obydwa rządy gruntują swoją siłę i władzę na zasadzie narodowości i na lojalnem strzeżeniu liberalnych instytucyj, i że jeden jak drugi mają przed sobą te same trudności do zwalczenia i niebezpieczeństwa.“

Zaraz po powrocie do Berlina jenerał La Marmora zdał Cavourowi ze swojej misyi raport rokujący już nierównie większe na przyszłość nadzieje, niżeli przeszłoroczna nota Schleiniza. Na prywatnej audyencyi u tegoż ministra, jenerał miał sposobność dać mu niektóre bliższe wyjaśnienia co do piemonckiej polityki we Włoszech. „Baron Schleiniz odpowiedział mi,“ mówi raport La Marmory „że zawsze wysoko cenił znamienity talent i wysokie zdolności polityczne hr. Cavoura.“ Myśmy zawsze mieli, mówił minister, wielkie sympatye dla Piemontu i przypatrujemy się zawsze z najżywszym interesem wszystkim fazom jego polityki, bo w istocie jest wielka, bijąca analogia między położeniem Piemontu we Włoszech a naszem w Niemczech. Zapewne, nie możemy wszystkiego pochwalić co się tam stało w ostatnich czasach, ale rozumiemy to bardzo dobrze, że wasza pozycya była bardzo delikatna i że trudno wam było pójść inną drogą, dla tego też nie odwołaliśmy naszego ambasadora z Turynu, pomimo że bardzo w tej mierze z różnych stron na nas nalegano.“

Sądząc według tych relacyi, ziarno rzucone przez Cavoura, które w przeszłym roku jeszcze padło na epokę, zaczynało już tym razem znachodzić odpowiedniejszą dla siebie glebę, i kto wie czyby wnet kiełkować nie było zaczęło, gdyby nie to, że wielki minister w krótce umarł niespodzianie, a jen. La Marmora został przeniesiony do Neapolu, gdzie przez trzy lata urząd gubernatora sprawował, aż dopóki z końcem r. 1864 nie został powołany do Turynu na szefa babinetu królewskiego. Otóż przez te trzy lata jen. La Marmora zostawia nas zupełnie *„senza luce;“* na ten czas przerywa się całkiem wątek jego zeznań o dalszych losach wzajemnych prusko-włoskich stosunków, na czem zresztą wiele nie tracimy, bo w istocie dopiero od r. 1864 zaczynają znowu te relacye między Niemcami a półwyspew włoskim szerszego nabierać interesu i wpływu na całą europejską politykę. Ale i te trzy lata nie przeszły wcale bezpłodnie dla dalszych losów prusko-włoskiego aliansu. W rok po śmierci Ca-

voura zdarzył się wypadek rokujący wielką przyszłość jego spóściźnie; ostatnia myśl Cavoura znalazła sukcesora i to w nowym szefie pruskiego gabinetu, który ją dalej umiał rozwinąć. Europa zawsze musi mieć swego wielkiego ministra, po Kaunitzu był Metternich, po Metternichu Schwarzenberg, po nim Cavour, po Cavourze przyszedł Bismark, doprawdy ma się pokusę uwierzyć w metampsychozę ale *en décadence* co do moralnej wartości Bismark w prawdzie w pierwszych latach prowadził względem Włoch pozornie dalej politykę Schleinitzowej noty, w roku 1864 związał się nawet jak wiemy z Austryą przeciw Włochom na wypadek wojny o Wenecyę, było to jednak wszystko tylko do czasu, w rzeczy samej miał on już w r. 1859 swoje ustalone przekonania co do kwestyi włoskiej całkiem innego rodzaju, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności są nam dobrze znane, wystąpił on bowiem z niemi bezimiennie w broszurze swojej: „Deutschland und die italienische Frage,“ wówczas kiedy jeszcze nie miał w rękach losów swego państwa, kiedy był jeszcze owym Naturburszem jak go nazwał p. Rechberg. Ze wszech miar bardzo ciekawą jest rzeczą poznać to ówczesne pojmowanie kwestyi włoskiej Bismarka, bo jak się później z jego działania politycznego pokazało, nie zmienił on go wcale gdy wszedł w czynne życie, czekał tylko sposobnej chwili, by te teorye swoje odpowiednio danym okolicznościom w praktyce przeprowadzić. W ogóle ta broszura Bismarka, z której już w pierwszym rozdziale także kilka ustępów tyczących się Austryi przytoczyłem, jest bardzo dobrym kluczem do zrozumienia i osądzenia jego polityki i to aż do najświeższych czasów; „Naturbursche“ niczego nie zapomniał i nie wiele nowego się nauczył od r. 1859, to też dla tego my się możemy wiele nauczyć z tych jego ówczesnych bezimiennych wyznań.

„Jakie prawo ma Austrya do panowania we Włoszech? rzuca Bismark od razu pytanie w drugim rozdziale tej broszury. „Nie jesteśmy wcale sentymentalnymi mówi daléj“, jest to naszem najsilniejszem przekonaniem, że wolno jest narodowi silniejszemu uciskać słabsze znikczemniałe, barbarzyńskie narodowości, które albo już nie są albo jeszcze nie były twórczemi, jeśli tylko ten mocniejszy naród w istocie ma po temu siły, wolno mu takie plemiona uciskać aż do wyniszczenia. Ale czyż Włochy na ten los zasługują, a czyż Austrya ma odpowiednią siłę, by im ten

los zgotować, albo czyż to austryackie panowanie we Włoszech nie jest raczej ciężkim błędem politycznym, który najlepsze siły Austryi spożywa nie dając temu państwu najmniejszéj gwarancyi na przyszłość, że sobie te włoskie kraje kiedyś trwale zaasymiluje. Jeżeli jednak takie przedsiębiorstwo nie ma widoków, natenczas jest grzechem, bo prowadzi z obu stron do rozkładu sił najszlachetniejszych i daje światu obraz walki strasznych namiętności bez celu ni końca. Zbadajmy bliżéj tę kwestyę. Że Włochy na los niesamoistności narodowéj nie zasługują, to najlepszym dowodem na to jest ich rozpaczliwa walka o niepodległość. Taka walka może być i szarpaniem się niemocy, i mamy dosyć u nas ludzi, którzy odmawiają Włochom praw do życia. Rozstrzygnąć tę kwestyę może tylko historya. Jeźli naród rozwinie życie pełne treści, natenczas wiemy, że miał do tego prawo. Ale chcieć rozstrzygać kwestyę przyszłości Włoch z góry wbrew włoskiemu narodowi, i całej jego przeszłości i teraźniejszości, to może tylko nikczemna powierzchowność i lekkomyślna bezczelność. Żaden z chrześcijańskich narodów cywilizacyjnych nie przewyższył Włochów w tem, co one dla ogólnego dobra i europejskiej cywilizacyi przyniosły. Gdzież jest pole jakichkolwiek szlachetnych działań ducha, na któremby nie było widać włoskich imion w pierwszym rzędzie. Wielkie formy kultury średniowiecznego świata chrześcijańskiego, Papieztwo i organizm katolickiego kościoła, mężowie stanu i polityczni myśliciele, książęta sztuk pięknych, w świecie plastyki i tonów i ci, co odkryli i wyrobili główne formy nowej europejskiej poezyi, również jak i ci co odkryli nowe światy fizyczne, wszystko to łączy się jak najściślej z tą niezrównaną włoską narodowością, tak jak ona wyszła z dziejów, choć z tej rzymsko-germańskiej mięszaniny, a przecież jednolita".

„Niech nikt nie przeciwstawia temu wszystkiemu dzisiejszego stanu upadku we Włoszech na dowód, że twórcza siła Włochów już się spożyła. Jeźli głupio jest takie np. powszechno-dziejowe stanowisko, jakie Anglia zajęła tłomaczyć li tylko szczęściem, położeniem insularnem etc. etc.; to także dowodem krótkowidzenia jest przypisywać nieszczęście tak genialnego narodu, jak Włochy, li tylko błędom jego charakteru a nie szukać także przyczyn i w zewnętrznych ciężkich losach, przed naciskiem których także tylko zewnętrzny zbieg okoli-

czności obronić może. Naród włoski choruje wspólnie z niemieckim na wybujałość popędów indywidualnych, które wyrodziły sie u nich pod wpływem ich historycznego nieszczęścia, a niekoniecznie z ich charakteru narodowego wypłynęły. — W Niemczech i we Włoszech nie dopuściła historya, żeby te szlachetne narody równocześnie z innymi uprzywilejowanymi narodami europejskimi wyrobiły w sobie wewnętrzną plemienną skupiającą siłę. — Potęgi średniowiecznego świata Cesarstwo i Papieztwo należały jedna do Niemiec, druga do Włoch. Ani Cesarstwo jednak, ani Papieztwo nie mogły być środkiem narodowego zjednoczenia. Cesarstwo było do tego niezdolne, bo miało ekscentryczny, a nawet ma do dziś dnia z gruntu anti-niemiecki swój ustrój państwowy. *Zcentralizowanie Niemiec pod Habsburgską dynastyą równałoby się podbiciu ich przez obcych zdobywców, równałoby się zniszczeniu niemieckiej odrębności narodowej, albo co innemi słowy to samo znaczy zagładzie protestantyzmu.* Papieztwo zaś jest z natury swojej niezdolne stworzyć narodowego państwa na podstawach świeckiej moralności. Niemcy i Włochy więc, nim mogły przystąpić do swego zjednoczenia się narodowego, aby tak jak inne szczęśliwsze pod tym względem narody, skupić się w koło swego narodowego władcy, miały jeszcze przed sobą to ogromne, zadanie, by uwolnić się, każde z osobna od fałszywego centrum swego, które w ich życie narodowe, silne, historyczne zapuściło korzenie. Oba narody nie spełniły dotąd swego zadania. Kto nie wierzy w przyszłą wielkość i szczęście Włoch, ten musi zwątpić także i o przyszłem szczęściu i wielkości Niemiec. Wielu nie wierzy tak w jedno jak w drugie, bo nienawidzą obydwóch. Położenie Italii jest w porównaniu z Niemcami o tyle niekorzystniejsze, że kraj ich jest ponętniejszy i przystępniejszy dla zdobywców, następnie dlatego, że wpływ Papieztwa odciął je od działania protestantyzmu, którego dobroczynne skutki już i katolickie narody w niejednem na sobie uczuły. Gdyby Włochy co do przestrzeni i liczby mieszkańców były tak wielkim i silnym jak my narodem, to ze swoją praktyczną energią byłyby się już dawno uwolniły od Papieztwa i politycznej niejednolitości, i kilkoma gwałtownymi ruchami weszłyby już były w nowe i zdrowe życie. Ale od tych zbawczych kroków wstrzymuje Włochów zagraniczny egoizm,

który włoskie rozpadnięcie się na części i papiezką potęgę wyzyskuje na swą korzyść. — Największą zaś winę tych obcych wpływów nosi Austrya, a skutki tych wpływów to jest właśnie dzisiejsza kwestya włoska. Austrya nie dosyć, że znaczną część włoskiej ludności trzyma pod swem obcem dla Włoch panowaniem, utrzymuje ona prócz tego jeszcze swoim wpływem w Państwie kościelnem najgorszą administracyę, jaka kiedy była widzianą pośród cywilizowanych narodów, prawdziwy europejski skandal. Takiem było Państwo Papiezkie już za czasów Göthego i pod tym względem, rzecz niesłychana! nic się dotąd tamże nie zmieniło i nic się nawet zmienić nie mogło dzięki austryackim wpływom. Tak samo szkodliwie oddziaływa Austrya i na Toskanię, Parmę, Modenę i Neapol a więc na całe Włochy, z jednym tylko wyjątkiem. Ten sam wpływ chciała Austrya także mieć i w Sardynii, aż póki dom sabaudzki temu nie położył tamy szlachetnym i stanowczym krokiem. Ztąd to dzisiejsza nieprzyjaźń między Austryą a Sardynią. Mówią powszechnie: Austrya ma obowiązek osłaniać rządy włoskie od rewolucyi.— Nikczemna sofistyka! Gdzieżbyśmy zaszli byli w Niemczech do dziś dnia, gdyby Austrya była pod tym samym pretekstem wszystkie postępy, jakieśmy w skutek narodowych ruchów od r. 1830 zrobili, niweczyła swoją siłą zbrojną. Nie zabraniacie rewolucyi we Francyi, nie zabraniacie jej w Hiszpanii, bo nie możecie! Dla czegóż ma to być europejskim obowiązkiem we włoskie sprawy koniecznie się mięszać? Ten europejski obowiązek to tylko nędzna pokrywka. Prawdziwe powody tego są egoizm i żądza panowania. Jeźli się wreszcie ktoś znajdzie, co wam tego zabroni, to wnet pokaże się, że Europa bez waszej włoskiej polityki całkiem się obejdzie, co więcej, że stan jej o wiele przez to się polepszy".

„Austryackie zachowanie się we Włoszech ma jeszcze inne swoje powody jak warowanie swych posiadłości. Gdyby lud rzymski zażądał usunięcia duchownej administracyi i ograniczenia Papieża na jego czysto kościelną władzę, to przeprowadzenie tych słusznych życzeń mogłoby się stać krytycznem dla całego stanowiska Papieztwa i całego katolickiego świata. Gdyby nowe rządy włoskie, wprowadziły wolność prasy, wolność umiejętnych badań, religijną tolerancyę, niezawisłość państwa od kościoła, to katolicyzm we Włoszech byłby tem samem więcej niż zagrożony.

Gdyby on w samej swej historycznej kolebce, na swej tylowiecznej klasycznej ziemi przyjął inną formę, to przeciwko temu musiałyby się sprzysięgnąć wszystkie dążności i namiętności ze starą formą katolicyzmu w spójni zostające. To jest samo jądro kwestyi. *Nic nie jest ściślej z tą starą formą katolicyzmu spojone, jak austryacki system państwowy.* Austryackie państwo z tylu różnorodnych odłomków narodowości złożone, nie może być utrzymywane samą tylko mechaniczną siłą, ani też samą potęgą materyalnych korzyści. Tylko jedynie duchowa potęga, moralny kit, może być istotnym łącznikiem państwa. Tam gdzie duchową podwaliną jego nie może być *wolny duch narodowej twórczości*, tam trzeba na miejscu tej moralnej potęgi położyć uzewnętrznionego ducha katolicyzmu, tam trzeba na tym duchu przynajmniej oprzeć swe panowanie jeźli się chce mieć siłę. A nietylko wewnętrzną spójnią Austryi musi być katolicyzm, zwiększa on także i zewnętrzną austryacką potęgę". „Jako *par excellence* katolickie mocarstwo", mówi dalej Bismark, wywiera Austrya wpływ wielki na katolicką część ludności Niemiec. — Jako najwierniejsza córka papieztwa krępuje Austrya włoskie życie, by dać Papieżowi bezpieczeństwo nie jego osoby, ale zabezpieczyć jego władzę. Dzisiejsze znaczenie Austryi polega głównie na tem, że jest potęgą anticywilizacyjną pomimo wszystkich jej ulepszeń ekonomicznych, i to jest właśnie przekleństwo przywiązane do jej stanowiska".

„Położenie austryackich posiadłości we Włoszech musi koniecznie być trudne i ciężkie, ale nigdy nie było trudniejszem jak teraz, gdyż już samo stanowisko Austryi zmusza ją do tego strasznego bezprawia, by utrzymywać cały szlachetny naród pod najgorszymi rządami, i popychać go do ciągłych rozpaczliwych kroków. Gdyby Austrya przynajmniej dała swoim włoskim prowincyom do pewnego stopnia wspólne z resztą Włoch urzędzenia, toby ten związek narodowych rządów nie tak łatwo dał się pociągnąć na tę rozpaczliwą drogę jaką teraz Sardynia idzie i iść musi. Jest to bowiem nieubłaganą logiką konieczności, Sardynia musi albo zaprzeć sama siebie i abdykując ze swej państwowości zanurzyć się w kałuży ogólnej włoskiej zgnilizny, albo też stać się dźwignią powszechnego Włoch odrodzenia".

W takiem to kole zapatrywań obracał się Bismark co do kwestyi włoskiej; czyż mogło się zdarzyć coś bardziej pomyśl-

nego dla nowej Italii, jak że człowiek z temi przekonaniami objął tekę ministerstwa w Prusiech?! Myślę, że czytelnicy wybaczą mi ten cytat nieco przydługi zważywszy, że to są wszystko logiczne premissy tych działań politycznych Bismarka, na które właśnie czas przyszedł z końcem r. 1864, i o których mi teraz traktować wypada; zdaje mi się zaś, że parę kartek takich osobistych wyznań Bismarka więcej rzuca światła na wypadki, niż wszystko inne, coby o nich napisać można, zwłaszcza jeźli nie chodzi tylko o proste poinformowanie się o nich faktyczne, ale i o wyrobienie sobie o nich sądu.

We Włoszech długo jednak jeszcze nie wiedziano, a choć może przeczuwano, nie miano pewności o tem tak pomyślnem dla jedności włoskiej usposobieniu Bismarka. Nawet jenerał La-Marmora wyznaje, że obejmował tekę ministerstwa (we wrześniu r. 1864) z tem powszechnem we Włoszech wówczas przekonaniem, że alians prusko-austryacki jest istotnie szczery. — Jednym z pierwszych czynów jenerała na nowem stanowisku była jednak wycieczka do Danii dla zwiedzenia świeżego teatru wojny i tam dopiero zrobił on wnet to spostrzeżenie, że ten alians nie był wcale tak *intime* jakby się to zdawać mogło, owszem przekonał się, że dawna rywalizacya obu mocarstw niemieckich zaczęła wchodzić w gorętsze niźli kiedykolwiek stadyum. Porównywując jednak to wszystko z korespondencyą pruską ostatnich czasów z gabinetem turyńskim, którą przestudyował i z całem postępowaniem ówczesnym rządu pruskiego względem kwestyi włoskiej, La-Marmora wywnioskował trafnie, że Bismark nie uważał jeszcze chwili za stosowną do stanowczej włoskiej polityki. „Charakter naszych relacyj z Prusami“, mówi La-Marmora w 2gim rozdziale swej książki „zależał wtedy od tego jaki obrót brały równoczesne ich zatargi z Austryą; ile razy chciano usposobić Austryą do dobrowolnych koncesyi, obchodzono się z nami w sposób nieprzyjazny, ile razy zaś chciano wywrzeć presyę na gabinet wiedeński straszono włoskim aliansem. Ztąd to stosunek nasz z Prusami przechodził niezliczone fazy i odcienia nim przyszło ostatecznie do prusko-włoskiego aliansu i do wojny z Austryą“. La-Marmora zaś znowu ciągle draznił Prusy i popychał je do bardziej stanowczej względem Włoch polityki, przedstawiając przy różnych okazyach jako możliwą tę ewentualność, że Austrya za pośrednictwem Francyi da się skłonić do dobrowol-

nego ustąpienia Wenecyi i wtedy wszystko rozwiąże się pokojową drogą po za obrębem pruskich kombinacyj. Manewer ten skutkował, wizyty ambasadora pruskiego u jenerała La-Marmory zaczęły być coraz częstsze i coraz dłuższe; jenerał przytacza w całości poufny list swój pisany równocześnie do p. Nigry ambasadora włoskiego w Paryżu, gdzie zdaje sprawę z tych ciekawych wizyt. List ten datowany jest z 4 sierpnia 1865 r. „Od czasu jakeś pan odjechał z Florencyi", pisze w nim La-Marmora, „ambasador pruski (Usedom) był u mnie dwa razy z telegramami w rękach od ministra Bismarka i żądał odemnie tak za pierwszym razem jak i za drugim i to jeszcze z większym pośpiechem, abym mu wyznał jakie będzie zachowanie się rządu włoskiego na wypadek bardzo prawdopodobnej wojny prusko-austryackiéj. Jak sobie pan możesz wyobrazić, byłem jak najbardziej *reservé* przy tych oświadczeniach i zapytaniach, nie okazując zupełnie wewnętrznej radości z powodu prawdopodobieństwa wypadków tak korzystnych dla naszych losów, podnosiłem owszem różne trudności i wątpliwości nie bez pewnych podstaw, głównie w tym celu, by zyskać na czasie. Jeżeli rząd pruski (powiedziałem Usedomowi) ma istotnie zamiar wydać wojnę Austryi, to niech nam zrobi w tej mierze propozycye na seryo i formalne. a zobaczymy co dalej zrobimy, jeźli zaś chodzi tu tylko o to, aby naszą deklaracyę wywrzeć korzystną dla Prus dyplomatyczną pressyę, to my się wcale w nic nie wdajemy. Po tej mojej odpowiedzi, Usedom przyszedł do mnie po raz drugi i powtórzył mi, że Prusy w istocie są zdecydowane wydać wojnę Austryi. Powtórzyłem mu na to kilka razy, że my musimy być bardzo ostrożnymi w angażowaniu się we wojnę z Austryą, gdyż o tej wojnie można być pewnym, że będzie wojną na zabój *(che sarà guerra à oùtrance)*. Nimbyśmy się więc mogli związać z Prusami, nie możemy wykluczać jeszcze z rachuby i tego możliwego obrotu rzeczy, że Austrya nie będąc przygotowaną do tak wielkiej wojny, przy opłakanym stanie swych finansów i swych wewnętrznych stosunków politycznych zdecyduje się może ostatecznie zrobić ofiarę z Wenecyi. Spostrzegłeś pan zapewne, dodałem, jak wszystkie dzienniki wiedeńskie pełne są pogłosek, którym i ja już wierzyć zaczynam, *że coś się tam święci między Wiedniem a Paryżem.* Aby lepiej podrażnić wojennego ducha pruskiego i próżność Prusaków, powiedziałem Usedomowi, że nikt

nie bierze na seryo pruskich pogróżek, Austrya mniej jeszcze jak kto inny, bo właśnie zaczęła się rozbrajać".

„Zresztą, oświadczyłem bez ogródki, my nie możemy do niczego się zobowiązywać, nie wiedząc pierwej jakie są w tej mierze zapatrywania cesarza francuzkiego, bo *zrozumiesz pan jakiej to jest doniosłości tak dla nas jak i dla was, wiedzieć czy Francya będzie sprzyjała, czy będzie przeciwną tej wojnie*". W samej rzeczy wszystkich oczy od początku tych negocyacyj dyplomatycznych zwracały się ciągle ku Francyi. Nawet i to nie było wcale zmyślone, o czem wspomniał La-Marmora Usedomowi, że coś się tam święciło między Wiedniem a Paryżem. Było to w istocie życzeniem gabinetu austryackiego, na czele którego stał wówczas Mensdorf-Puilly, by za pośrednictwem Francyi drogą pokojowej kombinacyi politycznej rozwiązać obie owe piekące kwestye na południu i na północy. Austrya była gotową zrzec się praw swych do księstw nadelbiańskich i Wenecyi za odpowiednie wynagrodzenie terytoryalne na Szląsku pruskim i w księstwach Naddunajskich.

Ale i tu Prusy ubiegły Austryę, trzymały one ciągle Napoleona w szachu obawą świętego przymierza trzech mocarstw północy, kombinacyi dla Francyi zawsze najwstrętniejszej. Bismark zaraz po wojnie duńskiej różnymi sposobami umiał nadać pozór prawdopodobieństwa wieściom o zbliżeniu się wzajemnem Prus, Austryi i Rosyi, a tymczasem sam osobiście pojechał do Biarriz jeszcze przed zawarciem wiedeńskiego pokoju, by tam w ożywczych falach odświeżyć się po trudach kampanii i zarazem rozsiać po drodze w rozmowach z różnymi dyplomatami francuskimi niektóre swoje spostrzeżenia, zapatrywania się i przypuszczenia, któreby opinię ich dla Prus zyskać mogły.

„Francya — mówił p. Bismark ile razy miał sposobność rozmawiać z dyplomatami z nad Sekwany [1]) — Francya nie powinna właściwie sprzeciwiać się wzrostowi wpływu pruskiego w Niemczech i rozszerzaniu terytoryalnemu na koszt drobnych państw niemieckich. Jakiż cel, jaki pożytek z tych małych państewek bez woli i siły, bez armii. Zamiary pruskie i tak nie mogą sięgać dalej jak po linię Menu, to jest nasza naturalna

---

1) Trzymałem się tu relacyi p. Klaczki.

granica, za tą rzeką znowu Austrya zachowa, wzmocni nawet swą przewagę, i tak będą zawsze w Niemczech dwie potęgi, które się wzajemnie równoważyć będą. Porządek zyska na tem, a Francya w każdym razie z pewnością nic nie straci, owszem wyniesie wielkie ztąd korzyści dla swej polityki i dla swego wpływu. Prusy w istocie mają najnieszczęśliwszą konfiguracyę terytoryalną, brakuje im właściwego korpusu, są zawieszone w powietrzu, jest to położenie niemożliwe do zniesienia, skazujące nas zawsze na to, by się w całej polityce trzymać koniecznie Rosyi i Austryi, by czekać zawsze rozkazów z Wiednia albo z Petersburga i dla tego to właśnie musimy obracać się ciągle w zaklętem kole świętego aliansu. Gdyby Prusy wzmocnione terytoryalnie miały raz swe członki w komplecie, poczułyby się zaraz niezawisłemi, nabrałyby swobody w ruchach i wolności w aliansach, a jakiż alians byłby wtedy dla nich bardziej ponętny od aliansu z Francyą. Wszystkie kwestye dziś zawieszone, mogłyby się wtedy dopiero zacząć rozwiązywać..... Wreszcie gdyby taki wzrost Prus wydawał się Francyi zbyt psującym równowagę, to któżby bronił Francyi rozszerzyć się także, zaokrąglić się w swoich granicach, dlaczegóżby nie miała Francya na przykład zająć Belgii, wejść na drogę romańskich aglomeratów, Berliński gabinet nicby nie miał przeciw temu". Wszystko to było do tego jeszcze powiedziane z zapałem i dowcipem, przeplecione mnóstwem genialnych i złośliwych bons mots i spostrzeżeń o rzeczacn i ludziach. Dość, że Bismark podobał się nad Sekwaną. Nie dlatego żeby zaraz w istocie myślano o przymierzu z Prusami, prawdę mówiąc nie brano nawet ministra pruskiego na seryo, ale widziano w nim narzędzie bardzo użyteczne, które się może bardzo przydać w danym razie, które i Włochy także bardzo starannie pielęgnować powinny. Widziano w nim człowieka przyszłości, którego trzeba zacząć obserwować, przy którego boku trzeba umieścić zręcznego dyplomatę nowej szkoły, legacyę więc berlińską podniesiono na stopę ambasady i posłano tamże Benedettego na ambasadora. Przytem poznano w Bismarku nieubłaganego nieprzyjaciela Austryi, co uśmierzało trochę obawę przed świętym aliansem i obiecywało prędzej czy później starcie się obu mocarstw niemieckich, na czem Francya, wedle ówczesnych wyobrażeń i widoków politycznych, tylko zyskać mogła. Wszystko więc złożyło się na to, że Francya protegowała wów-

czas do pewnego stopnia politykę Bismarka w Niemczech i we Włoszech, to jest o tyle, że nie stawała jej w drodze; to też gdy p. Nigra miał sposobność (13 sierpnia 1865) rozmówić się z p. Drouyn de Lhuys w sprawie prusko-włoskiego aliansu przeciw Austryi, taką mógł potem zdać sprawę p. La-Marmorze z tej swojej konferencyi z ministrem francuzkim. „Co do Włoch odpowiedział mi p. Drouyn de Lhuys, znajduję bardzo na miejscu odpowiedź p. La-Marmory hr. Usedomowi, i myślę, że gabinet florencki (gdzie od kilku miesięcy skutkiem konwencyi wrześniowej z 1864 r. została przeniesiona stolica z Turynu) dobrze zrobi jeźli dalej tak samo odpowiadać będzie. Położenie wasze jest wyborne, umiejcie tylko czekać! Przerwałem mu tu zapytaniem: A jeźli rząd włoski nie będzie mógł albo nie będzie widział w tem swego interesu, żeby dalej działać z tem samem umiarkowaniem, jeźli w innych okolicznościach uznanoby za stosowne przystąpić do czynu, czyż Francya byłaby temu przeciwną?"

„*Z pewnością nie*" odpowiedział Drouyn de Lhuys, „gabinet florencki jest sam sędzią swoich interesów i ma zupełną wolność działania. Ale wtedy Włochy będą musiały prowadzić tę wojnę na swoje własne rezyko". „A gdyby wypadkiem wojny, dodałem, Austrya znalazła się za Ticinem i dalej, cóż wtedy?"

„Wtedy odpowiedział minister zdarzyłby się jeden z tych wypadków, w których Francya zastrzegła sobie (konwencyą wrześniową) postąpić wedle własnego interesu, a jest to bardzo w interesie Francyi, by nie dopuścić Austryi do odebrania swych straconych już krajów we Włoszech, dla tego zalecam wam przedewszystkiem: *roztropność*. Nie kompromitujcie niczem waszego działania, może jeszcze Austrya ułoży się z wami. Książę Metternich zwierzał mi się już nawet pół na pół co do chęci układów między Austryą a Włochami na czysto pokojowej drodze. Wprawdzie te układy tyczyłyby się tylko różnych ułatwień i regulacyi pogranicznych między Wenecyą a włoskim terytoryum, ale ktc wie, możeby się na tem nie skończyło".

Ze strony Francyi więc Włochy miały zupełnie rozwiązane ręce, zupełną wolność aliansów zapewnioną przez samego szefa gabinetu, wiemy już ile w tem było ręki i wpływu Bismarka, teraz więc mogły się już były śmiało zacząć dalsze układy między Berlinem a Florencyą. Tymczasem jednak właśnie w parę dni po owej rozmowie pana Nigry z panem Drouyn de Lhuys,

przerwało się wszystko raz jeszcze niespodzianie konwencyą Gasteińską między Prusami i Austryą, było to jednak tyko chwilowe zawieszenie broni.

VI.

Konwencya Gasteińska była wielką niespodzianką polityczną, szczególniej dla zachodniego świata dyplomatycznego, i to do tego jeszcze niespodzianką bardzo niemiłą dla niektórych gabinetów. Ale bo też nikt w Europie tej ugody tak znowu nic nie brał na seryo, jak właśnie obie zawierające ją strony, a szczególniej Prusy. Zachowanie się Prus względem Austryi przez cały przeciąg czasu między pokojem wiedeńskim a datą konwencyi (14 sierpnia 1865 r.) nie było wcale tego rodzaju i to aż do ostatniej chwili, by można było przypuszczać, iż się to wszystko raz jeszcze zakończy ugodą i tymi tak czułymi uściskami obu monarchów na dworcu Salzburgskim wobec wzruszonej publiki. Przez cały bowiem rok poprzedzający tę scenę, p. Bismark nie oszczędził Austryi ani jednego upokorzenia, nie opuścił ani jednej sposobności, by jej dopiekać do żywego i to na wszystkie strony i w jej najdrażliwszych miejscach we Włoszech, we Węgrzech, w trzecich Niemczech, w Szlezwig-Holsztynie, a nawet w samym Wiedniu przez „bióro prasowe", usiłując wszędzie utrudnić jej i tak już trudne bardzo stanowisko. Korespondencya dyplomatyczna Bismarka z gabinetem wiedeńskim z owych czasów jest jednym z najwstrętniejszych dyalogów jakie czytać można. Z jednej strony wszystko intryga i manewr dla zyskania czasu i utrzymania przytem w nieustannem naprężeniu wzajemnych stosunków, ciągłe coraz mniej uzasadnione pretensye z coraz większą rzucane arogancyą i siłą, by potem jeszcze utrzymywać, że te grożące i kaleczące ręce, to są ręce wyciągnięte do zgody; z drugiej strony zaś znowu gotowość do ustępstw aż do ostatnich granic posunięta, częstokroć nawet aż ambarasująca przeciwnika, a obok tego nie zawsze zręcznie się broniące lecz coraz żywiej i szlachetniéj występujące poczucie własnej słuszności i obrażonej dumy. Dyalog ten długi i mozolny do czytania,

skondenzowany w kilka scen przez zręcznego dramaturga lub powieściopisarza mógłby być nawet bardzo interesujący, bo nie brak mu drastycznych momentów. My jednak nie będziemy wchodzić w bliższe szczegóły tej korespondencyi z owych czasów przed konwencyą Gasteińską, bo nie chodzi nam tu o kompletny regestr pruskich podłości i zbrodni i austryackich błędów politycznych, ale o główny przebieg całej sprawy w najwybitniej cechujących ją chwilach. Przytem korespondencya ta obraca się ciągle jeszcze około kwestyi Szlezwicko-Holsztyńskiej i sukcesyi ks. Augustenburga, która już i tak bogdaj czy nie nadto szczegółowo była przez nas nicowaną. Nie mogę jednak nie zastanowić się nad tem, co mi się zdaje być ogólniejszej natury i powszechnego znaczenia, t. j. nad jednym ze sposobów w jaki Prusy umyśliły wyjść z tej tak zawikłanej sprawy, wówczas kiedy jeszcze nie było mowy o konwencyi Gasteińskiej.

Dwie największe nieomylne powagi wzniosły się były w ostatnich czasach w Europie po nad wszystko inne jako najwyższe instancye, jedna francuska, która stała się już była prawie powszechno Europejską: t. j. *Powszechne głosowanie* (suffrages universelles), druga zaś specyficznie niemiecka, po za granicami Niemiec małem jeszcze ciesząca się uznaniem, chociaż także nie bez szerokiego wpływu i bardziej jeszcze niż poprzednia świadoma swej nieomylności, t. j. tak zwana *Niemiecka umiejętność* (Die deutsche Wissenschaft, das deutsche Wissen). Otóż obie te najwyższe powagi oświadczyły się od dawna bez żadnej restrykcyi za sukcesyą ks. Augustenburga w księstwach nadelbiańskich. Tymczasem jednak właśnie w r. 1865 po raz pierwszy pokazało się, że jest jeszcze po nad te dwa bożyszcza coś wyższego w Europie: „Il y a encore des juges à Berlin“! Pan Bismark w notach swoich do Austryi i Bundestagu oświadczył, że pomimo wszystkiego co dotychczas o tem pisano i mówiono, ta kwestya sukcesyi w Szlezwig-Holsztynie nie jest tak jasną jak się być zdaje, bo prócz ks. Augustenburgskiego są i inni pretendenci jak np. ks. Oldenburgski i car rosyjski, a nawet i brandeburgscy Hohenzollerny mają tam swoje prawa do niektórych dystryktów, jak tego jasno dowiódł także jeden z niemieckich uczonych. Ani Bundestag więc ani Austrya, ani stany i ludność Szlezwicko-Holsztyńska, ani ktokolwiek z tych co dotychczas głos zabierali w tej sprawie choćby z całymi stosami ich druków nie

są wcale kompetentni do wydania tutaj ostatecznego, sprawiedliwego wyroku.

Pan Bismark założył weto przeciw wszystkim i zformował kolegium z kilkunastu pruskich doktorów i prawników, którym tę całą sprawę na nowo roztrząsnąć polecił. Dopiero więc to nowe we tak zwane kolegium syndyków koronnych miało ostatecznie zawyrokować o tem, co się nie dało załatwić w przeszłym roku w gronie dyplomatów z całej Europy na konferencyach w Londynie; — bo przecie od tego są sędziowie w Berlinie! I nie spostrzeżono się nawet jeszcze wtedy w Europie, że tu się całkiem coś nowego zaczyna, że to już był przedblask nowej ery, w któréj do poparcia fałszów i sankcyonowania bezprawiów nie będzie potrzeba nawet ani powszechnogo głosowania ani tomowych dzieł uczonych profesorów, bo do tego wystarczy zupełnie siła brutalna „sans frase“ i fakt dokonany, spostrzeżono się na tem dopiero kiedy już było zapóźno po r. 1866, kiedy ten nowy najwyższy Europejski trybunał w Berlinie z wielkim kanclerzem na czele już całkiem innymi zaczął rozporządzać środkami i kiedy już nie tak łatwo było tych panów zawezwać do porządku dziennego. Nikt zaś prędzej nie uznał tej konsekwencyi, że tam gdzie „siła przed prawem“ tam i tem bardziej jeszcze „siła przed wiedzą“ być musi, jak właśnie ta nieomylna niemiecka umiejętność, przyklaskująca wszystkiemu co wychodzi z Berlina. Ale jeszcze nim raczono ogłosić najwyższe wyroki owego kolegium koronnych Syndyków, Prusy zajęły Holsztyński Kiel jakby swój własny port (jeszcze w marcu 1865 r.) nie zważając nic wcale na protestacye władz Austryackich. Równocześnie zaś Bismark przy każdej sposobności odzywał się z tem w izbie berlińskiej, że zupełna aneksya księztw nadelbiańskich jest jedynem naturalnem rozwiązaniem kwestyi. Raz nawet (1 czerwca) powiedział całkiem otwarcie: że już i tak nie dam się żadnym sposobem z księstw tych wyrugować. (Nichts wird im Stande sein Preussen aus den Herzogthümern herauszumassregeln, były jego słowa). Można więc było łatwo przewidzieć jaka będzie decyzya owych Syndyków koronnych w tej sprawie.

Nie przeszkadzało jednak to wszystko nic wcale, że pomimo tego oświadczano się ciągle Austryi z gotowością do wzajemnych układów i wspólnego załatwienia kwestyi, i redagowano takie noty, jak gdyby w księstwach owych nic się nie działo bez po-

przedniego porozumienia się ze współzdobywcą i wysokim sprzymierzeńcem jego królewskiej mości. W końcu jednak i ta grzeczność ustaje; z latem 1865 r. ton depesz i całe postępowanie Bismarka zaczyna przekraczać wszelkie granice zwyczajem utartych form dyplomatycznych. W lipcu tegoż roku urządza on przeciw Austryi kampanię całkiem nowego rodzaju w połączeniu z formalną inwazyą w jej własne granice. Korzystając z gościnności cesarza Franciszka Józefa, król Wilhelm zjechał do wód karlsbadzkich, które już od lat kilku były ulubionem miejscem letniego pobytu pruskiego dworu. Zwykle w tych wycieczkach towarzyszył tamże królowi i Moltke z kilkoma zdolnymi oficerami sztabowymi. Król Wilhelm zapewne nie mógł odmówić Moltkemu przyjemności zwiedzania prześlicznych okolic gór czeskich; znane jest bowiem powszechnie Moltkego zamiłowanie do piękności natury i sztuki, którego niezbite dowody mieliśmy dawno w jego artystycznych podróżach po Włoszech. Nie tracił on też czasu i w Czechach, gdzie mu się niektóre okolice tak podobały, że sobie nawet z nich na pamiątkę najdokładniejsze plany, rysunki i odbicia pozdejmował, a oczywiście jako dla żołnierza *Schöngeista* nie było piękniejszych widoków nad te, gdzie dumne wznoszą się fortece na szczytach piętrzących się gór i skał, na ciemnym tle lasów etc. etc.

Niedługo i p. Bismark, który, jak wiemy, także nie jest wcale nieczuły na piękności przyrody, obrał sobie również Karlsbad za główny punkt oparcia w swych operacyach. Ze współczuciem możnaby czytać listy upadającego pod nawałem pracy kanclerza, które pisywał z Karlsbadu do żony, gdyby się nie wiedziało, jaka to była wówczas ta jego robota. Pisze on (12 lipca 1865): „Wstyd mię, że nawet na urodziny Twoje nic nie napisałem do Ciebie, lecz tyle *musu* jest w mojem życiu, że na *chcenie* nie mam wiele czasu. Kierat obraca się dzień za dniem a ja jestem tą szkapą, co ciągle idzie naprzód, a z miejsca się nie rusza; oprócz zwyczajnej codziennej sztafety przychodzą ciągle z Wiednia, z Rzymu, z Monachium, ministrowie nasi są rozproszeni na wszystkie strony, i ja z tego centrum muszę do każdego z osobna pisywać“.

Albo (późno wieczór 13 lipca): „Cały dzień pisałem, dyktowałem, czytałem, chodziłem z góry i na górę do króla, nareszcie dzień się kończy, a ja go kończę listem do Ciebie; przez

okno widzę góry Spiżowe (Erzgebirge) oblane zorzą wieczorną; bardzo to ładne, ale ja czuję się już starym, zgrzybiałym. Król za 5 dni jedzie do Gastein, gdzie i cesarz ma przybyć. Nie mam spokoju ni we dnie i w nocy. Z pokojem źle słychać (*mit dem Frieden sieht es faul aus*). W Gastein musi się to rozstrzygnąć".

Skrupulatny i czuły małżonek, jakiego tu w p. Bismarku mamy sposobność w tych listach podziwiać, nie był jednak równie skrupulatnym i delikatnym gościem, bo sam jako gość i przy boku w gościnie będącego króla i pana swego, wysłał on właśnie (11 lipca) z Karlsbadu do Wiednia depeszę, któraby i z Berlina wcale grzecznie nie wyglądała. Depesza ta pełna jest srogich i szorstkich wyrzutów z powodu, że Austrya prowadzi w księstwach nadelbiańskich odrębną od pruskiej politykę, że proteguje ks. Augustenburga, patrząc przez palce na wszystkie antipruskie manifestacye, nie chcąc pełnić służby pruskiego policemana; depesza domaga się wreszcie stanowczo wydalenia ks. Fryderyka z Holsztynu.

W parę dni później Bismark uznał znowu za stosowne powiedzieć całkiem bez ogródki do bawiącego także podówczas w Karlsbadzie ks. Gramonta, że sobie życzy wojny z Austryą i że Prusy bądź złym bądź dobrym sposobem muszą koniecznie osiągnąć hegemonię w Niemczech. W tydzień później zaś już król Wilhelm wyruszył do Gastein i w drodze w Regensburgu zatrzymał się (21 lipca), by zwołać tamże wielką radę ministeryalną, na którą wszystkich swoich ministrów z Berlina i z różnych miejsc ich letniego pobytu i także ambasadorów swoich z Wiednia i z Paryża zawezwał. Nie ma dotąd ogłoszonych dokładnych sprawozdań urzędowych z tej wielkiej narady, wiemy tylko tyle, że głównym przedmiotem dyskusyi były oczywiście zawikłania Prus z Austryą, i wiemy także w jakiem usposobieniu i z jakiemi planami p. Bismark wyjechał z Regensburga, by zdążać do Gastein, bo w drodze do Salzburga miał dłuższą rozmowę z ministrem bawarskim Pfordtenem, o której wedle zeznań wiarogodnych takie się nawet po świecie rozeszło sprawozdanie: „Pan Bismark zaczął rozmowę od tego, że wedle jego najmocniejszego przekonania, wojna z Austryą prawdopodobnie jest już bardzo bliską, dlatego też zdaje mu się, że byłoby to nawet w interesie niemieckich państw średnich, żeby zawczasu

się zdecydowały, jakie w tym wypadku mają zająć stanowisko. Chodzi tu właściwie, wedle jego widzenia rzeczy, o pojedynek między samą Austryą i Prusami, i jeśliby reszta Niemiec zechciała zostać niemym spektatorem tej walki, toby stosunkowo tylko mała suma interesów była w niej zaangażowana. O to można być spokojnym, że Prusy nigdy o tem nie myślały, ani też i teraz wcale nie myślą, by po za linię Menu rozciągnąć swą władzę. Zresztą nie trzeba będzie długo czekać na koniec tej wojny, Austrya ani nie jest uzbrojona, ani nie ma środków za co się uzbroić. Jedno pchnięcie.... jedna walna bitwa, a Prusy będą mogły dyktować warunki pokoju! Pan Pfordten zauważył, że nie widzi żadnej gwarancyi na to, czy neutralność taka państw średnich byłaby szanowana i że Prusy łatwoby się mogły widzieć do tego zmuszone, by tę walną bitwę stoczyć w Saksonii. Pan Bismark odrzekł natychmiast, że lokalizacya wojny, mianowicie przez atak od strony Szlązka jest nietylko już zadecydowana, ale zupełnie możliwa, jak to nietylko jemu, laikowi w sztuce wojennej się zdaje, ale jak twierdzą także najkompetentniejsze do tego wojskowe powagi. Średnie państwa zaś niczem nie mogą lepiej zapewnić sobie lokalizacyi tej wojny, jak właśnie zbrojną neutralnością. Bawarya zaś specyalnie nie powinna o tem zapominać, że jest naturalną spadkobierczynią stanowiska Austryi w południowych Niemczech.... Baron Pfordten odpowiedział na na to tylko tyle, że nie jest upoważniony ze strony swego rządu zapuszczać się w podobnej treści kombinacye, i nie chciał również i swego osobistego zdania o tem wszystkiem wyjawić".

Cała ta rozmowa jak i owe szybkie jej rozgłoszenie było prawdopodobnie manewrem, by niemiłą jej treścią wywrzeć presyą na Austryę w przeddzień gasteińskich układów, by ją w istocie do wojny jeszcze nie przygotowaną, bardziej jeszcze do ustępstw przysposobić. Prócz tego, kiedy już miały się zacząć nareszcie owe układy i ze strony gabinetu austryackiego hr. Blome został upoważniony do podróży do Gastein w tym celu, przychodzą naraz wieści z Holsztynu o nowym gwałcie pruskiego rządu. Zaaresztowano w Altonie redaktora Maya bez żadnego poprzedniego porozumienia się z komisarzem rządu austryackiego; po najściślejszej rewizyi papierów Maya, nic tam nie znaleziono kompromitującego, komisarz austryacki zaprotestował więc przeciw jego uwięzieniu, nazywając ten krok naruszeniem praw współ-

posesyjnych swego rządu, cały Szlezwig-Holsztyn był wzburzony, a do tego jeszcze i z Prus nadchodziły wieści, że rząd ściąga zapasy forteczne z nadreńskich prowincyj do Szlązka. Pomimo tego wszystkiego jednak wstrzymana na chwilę podróż hr. Blome do Gastein, przyszła do skutku; lecz po kilku dniach wrócił on znowu do Wiednia nic nie ułożywszy. Po decydującej naradzie z cesarzem w Wiedniu, pojechał hrabia Blome powtórnie do Gastein z nowemi instrukcyami zalecającemi jak największe możliwe dla Prus koncesye, parę tygodni jeszcze podczas mglistych dni gasteińskiego saisonu ciągnęły się układy hrabiego Bloma z Bismarkiem, który pisał do żony w tym czasie: „Już dawno zapomniałem jak słońce wygląda, rachuję dni jak długo tu jeszcze mam wysiedzieć, już od kilka dni nie miałem czasu nawet do Ciebie napisać, hr. Blome jest tu znowu, pracujemy ciężko, by utrzymać pokój, i pozalepiać (papierem) rysy walącego się budynku“.

Wreszcie 14 sierpnia ugoda została podpisana i tak przyszła do skutku konwencya gasteinska. Miała ona być uregulowaniem dalszego *Modus vivendi* obu współposiadających mocarstw w Szlezwig-Holsztynie, zasadzającem się na dalszej interpelacyi artykułu III wiedeńskiego pokoju, w którym sobie obydwa państwa wszelkie dalsze zarządzenia tymi krajami nawzajem były zastrzegły. By uniknąć nadal wszelkich scysyj między władzami obu rządów, zgodzono się na podział dotychczasowego kondominium. Prusy brały Szlezwig, Austrya Holsztyn w swoją wyłączną administracyę, wyjęte zaś z pod tego orzeczenia zostały Kiel i Rendsburg, jako port i forteca związkowa. Miasto Kiel jako port związkowy miało przyjąć załogę i okręta obu mocarstw, ale pod najwyższą komendą pruskę, we fortecy Rendsburga zaś miał być roczny turnus komendy między Prusami a Austryą. W Lauenburgu Austrya odstąpiła zupełnie swoje prawą panowania na rzecz Prus za wynagrodzeniem 2 i pół miliona talarów. Prócz tych głównych orzeczeń, konwencya miała jeszcze kilka drobniejszych artykutów, po większej części same dla Prus ustępstwa. Dosyć raz przeczytać ten papier, żeby widzieć, iż nie mógł on zmienić wcale dotychczasowego dla obu mocarstw tak miłego prowizoryum, bo wprawdzie usuwał on całkiem Austryę ze Szlezwigu, ale za to Prusom zostawiał zawsze jeszcze dostateczne pole do samowolnego gospodarowania na austryackiem terytoryum

w Holsztynie, przez owe ekscepcyonalne stanowisko miast Kiel i Rendsburga, a tem samem dawał dość sposobności do wywoływania nowych scysyi i nieporozumień.

Różnie sądzono ową konwencyę gasteinską, jedni widzieli w niej same korzyści dla Austryi, inni wielki tryumf dyplomatyczny Prusaków, w rzeczy samej zaś była ona współczesnemi okolicznościami wymuszonem za wielkiem ustępstwem Austryi, a za małym i niedostatecznym tryumfem dla pruskich ambicyi, jak to najbliższa przyszłość pokazała. Ze strony króla Wilhelma była ta ugoda ostatnim czynem, w którym się jeszcze przebiła owa dawna tradycyjna testamentem króla Fryderyka Wilhelma III zalecana, a przez następcę jego ściśle praktykowana lojalność i legalność w postępowaniu z Austryą w kwestyach niemieckich, ostatnia jeszcze afirmacya jego legitymistycznych i konserwatywnych instynktów, które w istocie często się w nim budziły a które może teraz jeszcze się w nim czasem budzą w postaci srogich wyrzutów sumienia. Była ta konwencya gasteinska, i późniejsze serdeczne *ontrevue* obydwu monarchów w Salzburgu we wielkiej części także dziełem czterech sióstr, czterech księżniczek bawarskich, córek króla Maksa: cesarzowej Karoliny Augusty, arcyksiężny Zofii, Elżbiety Louizy (wdowie po królu Fryderyku Wilhel. IV) i królowej Saskiej Amelii Augusty. Te cztery księżniczki katolickiego domu bawarskiego oddały już były nieraz i przedtem usługę prawdziwego czworoboku fortecznego uczciwej niemieckiej jedności i zgody, łącząc węzłami pokrewieństwa cztery główne dwory niemieckie: Bawarski, austryacki, berliński i saski. Trzy z tych księżniczek zmarły już właśnie w ostatnich czasach; nie są one zapewne na tamtym świecie patronkami nowego Zjednoczenia Niemiec.

Lecz czemże była owa gasteinska konwencya dla p. Bismarka? zręcznem zwycięstwem dyplomatycznem a zarazem koncesyą zrobioną dla króla „*pour son trôp hônete roi*“ jak się o nim raz w rozmowie z jedną damą w Paryżu wyraził. Pozorną tę koncesyę dla królewskich konserwatywnych i legitymistycznych popędów, było mu zrobić tem łatwiej, im mniej myślał on o tem, żeby dotrzymać to co podpisywał w konwencyi, i im mniej mu ona przeszkadzała, aby równocześnie z konferencyami z hr. Blome prowadzić dalej znane nam już pozaoczne układy o alians z Włochami, i utrzymywać tajemne konszachty

z węgierską partyą ruchu. Jakże więc przyszło do tego, że pomimo, iż wiedziano w Wiedniu o tych podziemnych działaniach ksiecia Bismarka we Włoszech i Węgrzech podpisano z nim przecież konwencyę? Podpisano ją najprzód dla tego, bo w Wiedniu oddzielano zawsze jeszcze bardzo politykę Bismarka od osoby króla. Jak wiele ufano tamże lojalnemu usposobieniu króla, a jak mało straszono się wojennemi racami dyplomatycznemi Bismarka, tego najlepszy dowód mamy w tem n. p. postępowaniu, że po owych groźnych notach Bismarka z Karlsbadu, i owych wyżej cytowanych pogadankach jego z Gramontem i Pfordtenem, cesarz austryacki wydawał rozkazy zmniejszenia armii we Włoszech i Dalmacyi na stopę pokojową, i nakazywał ministrowi wojny jak największe oszczędności. A jeszcze 27 lipca 1865 roku czytano w mowie tronowej zamykającej sesyę Rady państwa następujący ustęp: „Utrzymanie powszechnego europejskiego pokoju jest zawsze najpierwszem zadaniem i najszczerszem usiłowaniem cesarskiego rządu; w sprawie Szlezwicko-Holsztyńskiej Jego Ces. Mość będzie się starał dojść za porozumieniem się ze swym wysokim sprzymierzeńcem królem pruskim do rozwiązania kwestyi zgodnie z interesami Niemiec, i ze stanowiskiem Austryi w związku niemieckim.“

Podpisała więc Austryą konwencyę gasteinską także i dla tego, że w istocie prawdą były słowa Bismarka powiedziane do ministra Pfordtena, że Austrya jest do wojny całkiem nie przygotowana, a wreszcie i może głównie dla tego, że wówczas może bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała pokoju, bo stała właśnie na progu wiele obiecującej nowej lepszej ery wewnętrzne polityki swojej. Wbrew wszelkim małym i podłym intrygom Bismarka w Węgrzech, ugoda tronu austryackiego z Węgrami była właśnie na parę miesięcy pod konwencyą Gasteińską jak najświetniej inaugurowana i rokowała najlepszą przyszłość. Całą konserwatywną partyę węgierską miał już cesarz za sobą i był z prawdziwym entuzyazmem przyjmowany w Peszcie przez Madziarów z Prymasem na czele. Dawnym węgierskim kanclerzom dworu, Zyczemu i Nadaždemu, stronnikom patentu lutowego dano dymisyę, a hr. Jerzego Maylatha jednego z filarów starokonserwatywnej partyi mianowano kanclerzem, hr. Palfy także stronnik konstytucyi lutowej przestaje być gubernatorem Węgier, a baron Paweł Senyey głowa starokonserwatywnych przychodzi na

jego miejsce ze starodawnym tytułem „Tavernicorum regalium magister.“ Również i ministeryum Szmerlinga w Wiedniu dostało dymisyę, a z hr. Belcredim toczyły się układy o sformowanie nowego gabinetu, hr. Leo Thun rej prowadził w Izbie panów. Nowe życie zaczynało rozlewać się i na szersze koła. Na 500 letnim jubilejuszu Uniwersytetu wiedeńskiego rektor Hyrtl mówił o zwrocie umiejętności do Kościoła i prawdy objawionej; mniejsza o to, czy ta mowa była szczera czy nie szczera, ale przyjęta była z aplauzem, i przy tej sposobności wykreślono z listy honorowych doktorów: Virhova, Gneista i Waldeka, głównych apostołów bezwyznaniowości, a przy uczcie br. Schmerling wniósł toast „do widzenia w Frankfurcie“ przypominając niedawny zjazd książąt tamże w r. 1863. Także i z innymi krajami koronnymi Austryi: z Siedmiogrodem, Kroacyą poczynały się układy; dosyć zresztą tych faktów, żeby przypomnieć jaki to brzask nowych lepszych czasów począł wówczas wschodzić dla austryackiej monarchii, a właśnie te świetne początki owej całkiem nowéj ery były współczesne gasteinskim układom. Nic dziwnego więc, że wśród takich okoliczności za rzecz podrzędną uważano w Wiedniu, bismarkowskie miny i kontraminy, intrygi i manewry, a za rzecz główną osobisty stosunek i serdeczne spotkanie się obu monarchów w Salzburgu, gdzie mówiono bardzo wiele o wspólności konserwatywnych interesów obu dworów wobec europejskiej rowolucyi! i t. d. co tak właśnie wszystko kwadrowało do owych niedawnych cesarskich występów w Peszcie. Byle więc nie przerywać tego zaledwie co rozpoczętego dzieła wewnętrznego odrodzenia, które i na zewnątrz najwięcej siły państwu dodać mogło, Austrya zdecydowana była przyjąć w Gastein pokój, byle jaki, byle koniecznie pokój. Mało więc zważano na to, czy tam jaki artykuł konwencyi większą lub mniejszą robi Prusom koncesyę, bo tu równocześnie chodziło o nierównie większe interesa państwa. Po załatwieniu tych nierównie ważniejszych i żywotniejszych kwestyj wewnętrznych, miano nadzieję także i tę zawikłaną sprawę Szlezwicko-Holsztyńską z większą łatwością dokończyć i cały swój stosunek do Prus i Niemiec dużo korzystniej uregulować, a tymczasem zaś dla utrzymania prowizoryum dobra się zdawała i konwencya gasteińska.

Im szczerszy jednak i widoczniejszy dla Bismarka był w Austryi zwrot ku lepszemu, im wyraźniej zaczynała ona wy-

stępować wewnątrz i na zewnątrz znowu jako ta znienawidzona przez niego *antycywilizacyjna katolicka potęga* (jak ją był sam nazwał w swojej powyżej cytowąnej broszurze), z tem bardziej stanowczymi planami co do dalszej swojej polityki wyjeżdżał on z Gastein, a najbliższa przyszłość miała nie owe świetne austryackie nadzieje lepszego losu na federalistycznej albo (mówiąc językiem „Nowej Pressy") Feudalno-Klerykalnej drodze, ale zimne, na słabościach i namiętnościach ludzkich oparte rachuby Bismarka uwieńczyć sukcesem. Nieubłagane konsekwencye dawniejszych austyackich grzechów nie dały się odwrócić owym zbyt świeżym jeszcze ku lepszemu zwrotom, który trochę za długo dał na siebie czekać. Smutno też było widzieć ten tak oddawna niewidziany przykład usiłowań odrodzenia monarchii na dawnych historycznych podstawach, to tak pięknie zaczęte dzieło, zwichnięte zaraz w związku pod ciosami fatalnych wypadków zewnętrznych. Przykro się robi dziś jeszcze gdy się czyta piękne obietnice cesarskiego manifestu „Do moich ludów" (z 20 września) brzmiące przecie znowu nie jak frazes, ale jak szczere słowo, albo mowę tronową przy otwarciu sejmu w Peszcie (14 grudnia) odżywiającą koronę św. Szczepana, a później weźmie do ręki współczesne mroźne i groźne noty Bismarka i względnie w całą matnię współczesnej polityki europejskioj tłumiącej wszelki postęp i wszelka myśl zdrowszą.

Jak już wspomniałem na wstępie, konwencya gasteińska wywołała niemiłe senzacye w niektórych gabinetach, mianowicie we Francyi, Anglii i we Włoszech. Gdy tylko Prusy i Austrya podają sobie ręce w Paryżu i w Londynie widzą zaraz wrzyscy po za tam wznowienie śgo Aliansu. To też i po koncesyi gasteińskiej pisano zaraz w Paryżu, że najściślejszy alians trzech mocarstw północy jest już faktem dokonanym i zaraz dało się uczuć wielkie zbliżenie między Francyą i Anglią, a p. Drouyn de Lhuys z niezwykłą sobie energią rzuca się w nocie swej z 2 sierpnia na świeżą ugodę: „Cóż było motorem w tych negocyacyach obu mocarstw niemieckich? na jakiejże zasadzie polegają te prusko-austryackie kombinacye?" zapytuje oburzony p. Drouyn de Lhuys „z żalem nie widzimy tu żadnego innego fundamentu, innego usprawiedliwienia jak siłę i wspólne egoistyczne widoki obu dzielących się państw. Od takiej praktyki Europa już się odzwyczaiła (P. Drouyn de Lhyus zapomina o r. 1859 i o swojej tak niedawnej

konwencyi wrześniowej z Włochami). Podobnych przykładów trzebaby szukać chyba w najstraszniejszych wiekach historyi! Takie gwałty i zdobycze wyniszczają wszelkie pojęcia prawa i słuszności w sumieniu narodów, praktykowane zamiast tych pryncypiów, któremi właśnie kieruje się życie naszych nowożytnych społeczeństw, stają się zarzewiem nieszczęść i powszechnego rozkładu i burzą dawny porządek nie stawiając nic nowego!“ (brawo!)

Chociaż w nocie tej pan Drouyn de Lhuys wylał żółć swoją przeciw obydwom mocarstwom niemieckim, to jednak głównie skierowana była ona naprzeciw Prusom. Bo w jakiejże sprzeczności stała ta niespodziana ugoda gasteińska z tem, co p. Bismark mówił w przeszłym roku w Biarriz i w Paryżu! Wtedy wszystko tchnęło u niego nienawiścią do Austryi i nienasyconą ambicyą szerokich planów pruskich. Napoleońska Francya już liczyła napewne na blizką morderczą walkę obu mocarstw, i na korzyści, jakie z tej tak pożądanej i wiele obiecującej wojny odnieść będzie mogła, nie wystrzeliwszy ani jednego ładunku, tylko samą siłą swej zbrojnej neutralności. A ta naraz taka święta zgoda między Prusami i monarchią austryacką w imię konserwatywnych interesów przeciw wspólnemu nieprzyjacieiowi: Europejskiej rewolucyi!... w istocie było czego się oburzać i mieć się na baczności! Jeżeli kiedy cezaryzm francuski zbliżył się zupełnie do pogańskiego cezaryzmu w Rzymie to w tej właśnie chwili, w przededniu wojny 1866 roku, kiedy to zupełnie na wzór ówczesnych władców świata, francuski imperator salus reipublicae widział w morderczej nawzajem się wyniszczającej walce zwaśnionych germańskich plemion. Szczuć jednych na drugich, pomagać słabszym przeciw mocniejszym, by potem wszystkich zaprządz do rydwanu, to była kwintessencya rozumu politycznego imperatora tak dobrze w pierwszym wieku jak i w roku 1865 po Chrystusie, w którym to roku ukazała się właśnie także i nowa apoteoza cezaryzmu: napoleońska książka o Cezarze. Szkoda tylko, że Napoleon obok komentarzy boskiego Juliusza nie studyował lepiej Germanii Tacyta, który ma wprawdzie także modlitwę ówczesnego Rzymianina na ustach: maneat, quaeso duretne gentibus, si non amor nostri, ad certe odium sui, ale dodaje zarazem: quando urgentibus imperii fatis nihil jam praestare fortuna majus potest quam hotium discordi, dając tem

samem jasno do zrozumienia, że tylko już upadające państwa ratują się jeszcze do czasu niezgodą nieprzyjaciół.

Anglia poszła także za przykładem Francyi, w parę tygodni po p. Drouyn de Lhuys i Lord Russel puścił w kurs notę zupełnie podobnej treści; a i Włochy uważały także wszelkie swoje poprzednie zbliżenia i wzajemne porozumienia się z Prusami za unieważnione konwencyą Gasteińską. Jenerał La Marmora zaczął myśleć o rewindykowaniu Wenecyi na zupełnie innej drodze wykupna i posłał był już nawet bardzo zręcznego negocyatora w tym celu do Wiednia. Wszystkie więc szanse zaczęły się po owej nieszczęsnej konwencyi gasteińskiej obracać przeciw p. Bismarkowi w Austryi, we Francyi, we Włoszech. Najniebezpieczniej było we Francyi, gdzie myślano już o tem, żeby z Anglią, Austryą i Włochami stanąć na czele polityki i na straży losów Europy przeciwko władzom północy. P. Bismark widząc to wszystko przekonał się, że nie ma innej rady, tylko trzeba będzie raz jeszcze pojechać do Francyi i pomówić znowu mądre słówko z Napoleonem. Wprzód jednak nim jeszcze się wybrał w tę podróż już torował sobie drogę we francuzkiej rządowej opinii publicznej broszurą, którą puścił w kurs przez pruską ambasadę w Paryżu pod tytułem „La Convetion de Gastein.“ Broszura ta przedstawia konwencyę Gasteińską jako dzieło prowizorycznej natury i otwiera dalsze prospektywy zupełnie znowu w tym samym duchu jakim tchnęły owe przeszłoroczne rozmowy p. Bismarka w Paryżu i w Biarriz, co tak były zainteresowały francuzkich polityków i dyplomatów. Między innymi był w tej broszurze ten pamiętny ustęp: „Całe Niemcy pałają nieprzezwyciężoną żądzą i gwałtowną potrzebą zjednoczenia się, Prusy mają to instynktowne poczucie, że to przez nie Niemcy mają dojść do tego zjednoczenia, które dotąd było tylko marzeniem prawie niepodobnem do zrealizowania. Prusy stoją na czele tego ruchu, *grają one w Niemczech tę samą rolę inicyatywy jaką Francyi Rewolucya odegrała w całej Europie.* Czyż Francya miałaby stanąć na zawadzie Prusom w teraźniejszej i przyszłej ich roli? Nie, Francya i Prusy są, albo powinny być neutralnymi sprzymierzeńcami, powinny razem rzucić na szalę swą siłę i potęgę, aby w Europie sprawę cywilizacyi i wolności doprowadzić do tryumfu. Prusy i Francya mogłyby bezpiecznie podać sobie ręce ponad nurty tego Renu, który je łączy więcej

niźli rozdziela. Jako nieprzyjaciółki narobiły sobie one nawzajem już wiele złego bez korzyści dla żadnej strony; w przyjaźni ze sobą Francya i Prusy złączone z Anglią i Włochami mogłyby decydować o losach całej Europy, z przyjaźnią do tego jeszcze Ameryki miałyby w rękach losy całego świata.“ Nie długo po ukazaniu się tej broszury, p. Bismark sam wyruszył do Francyi, w Biarriz miewał on znowu długie rozmowy z Napoleonem na wspólnych przechadzkach po wybrzeżu morza, słowa tych panów uleciały wprawdzie z wiatrem i utonęły w Atlantyku, próżno ich tam szukać w Oceanie, jednakże można się łatwo domyślać po bezpośrednich następstwach tych pogadanek, że nie musiały one być bardzo różne od tych, któremi p. Bismark w przeszłym roku z takim sukcesem występował we Francyi, i od tego co można czytać w dopiero co przytoczonej broszurze pruskiej ambasady. Musiała tam być znowu mowa o nieszczęśliwej konfiguracyi geograficznej Prus i o korzyściach aliansu z niemi dla Francyi, o wspólności interesów obu państw i o pokrewieństwie włoskiej jedności z Niemiecką i o otwierającej się przed Francyą drodze do Romańskich aglomeratów, a nawet o pewnej regulacyi granic francuzkich nad Renem, była pewnie mowa wreszcie i o równoważących się potęgach Prus i Austryi w Niemczech etc. etc.... Naturalnie najwięcej tam było słychać Bismarka, którego szczera wielomowność z nieustannym szumem fal morskich pewnie szła w zawody, podczas gdy cesarz samymi tylko rzucał półsłówkami, bo biegły był cesarz w swej sztuce zupełnego „*laisser parler* samemu jak najmniej się odzywając. Zapewne nawet trochę z góry patrzano wtedy jeszcze na niedoważonego dyplomatę, szafującego koronami i mitrami niemieckiemi, jakby je wszystkie mógł zdmuchnąć za jednym zamachem i podśmiechiwano się może w duchu z żywego i gadatliwego junkra pruskiego. Pomimo tego jednak p. Bismark mógł sobie powinszować rezultatów swej wycieczki do Francyi, bo nie tylko, że mu kąpiele morskie bardzo posłużyły, ale prócz tego jeszcze wywiózł z Francyi najdroższy klejnot: zapewnienie „*życzliwej neutralności*“ w razie wojny prusko-austryackiej.

Wkrótce i jenerał La-Marmora dostał od p. Nigry z Paryża bardzo pożądane wiadomości: że wojna Austryi z Prusami pomimo konwencyi Gasteinskiej jest nieunikniona, że Prusy więc będą potrzebowały Włochów, i że Francya nie będzie wcale prze-

szkadzała prusko-włoskim zamysłom. Także i oddawna poruszana myśl prusko-włoskiego traktatu handlowego została teraz wznowiona z Berlina i szybko zaczęła dojrzewać, a i trzecie Niemcy z Bawaryą na czele chcąc się zemścić na Austryi za Gasteinską konwencyą, zawartą z pominięciem Bundestagu, nie miały teraz nic pilniejszego do roboty jak na wyścigi spieszyć z uznaniem królestwa Włoskiego.

Słowem więc jeszcze nim nadszedł fatalny rok 1866, już czasy przedkonwencyjne zupełnie się wróciły i zagrożone chwilowo szanse Bismarka podniosły się na nowo i to z nadwyżką. Cieszono się z tego bardzo w Paryżu i w Londynie i we Florencyi, że przecie może już teraz nie ominie Europy ten tak miły i wiele obiecujący spectacle bratobójczej walki między Niemcami.

Za powrotem do Berlina Bismark mógł się już teraz całą siłą wziąść do „mise en scène“ tego widowiska, ale oczywiście brał się do tego w taki sposób, by ile możności cały czysty dochód zachować dla siebie. Jaki był jego program na ten już uadchodzący r. 1866 i jak on się sam na to przedsięwzięte dzieło swoje zapatrywał, dowiadujemy się o tem najlepiej z jednej z tych depesz jenerała Govone, umieszczonych w książce jenerała La-Marmory, — które później były powodem takiej zażartej utarczki parlamentarnej między p. Bismarkiem a przewódzcami centrum Izby Berlińskiej. W pierwszym raporcie jenerała Govone z Berlina, gdzie zdaje sprawę jenerał La-Marmora z pierwszej swojej rozmowy z Bismarkiem znajdujemy między innemi ustęp następujący:

„Hrabia Bismark słuchał słów moich z wielką uwagą i z przenikliwym wzrokiem; później zaczął rozwijać swoje zapatrywania“.

„Idąc wstecz aż do epoki konwencyi Ołomunieckiej powiedział: że byłoby to jego wielkiem życzeniem, żeby wywołać teraz na nowo w Niemczech takie zawikłania jak te, co poprzedziły sytuacyą roku 1850, bo charakrer teraźniejszego króla daje mu wszelką gwarancyę, że to, co się wówczas właśnie ową konwencyą Ołomuniecką (z Austryą) zakończyło, terazby się koniecznie wojną rozwiązać musiało. — Otóż jest to teraz jego zamiarem wprowadzić Niemcy w stan zawikłań podobny do tamtych (z r. 1849), w którychby można osiągnąć te cele, jakie

sobie założył, to jest, zadowolnić ambicye pruskie, które jednak ograniczają się tylko na chęci opanowania północnej Germanii. Wywołać wojnę samą kwestyą księstw nadelbiańskich, mówił p. Bismark, byłoby bardzo łatwo, tak wielka wojna jednak dla tak drobnej sprawy, obraziłaby opinię Europy, która z drugiej strony znalazłaby tę walkę całkiem usprawiedliwioną, gdyby widziano, że ma ona cel nierównie szerszy: narodowe rozwiązanie kwestyi niemieckiej. Tutaj kanclerz począł dalej myśl swoją rozwijać. Mówił, że wedle jego osobistego przekonania, Austrya powinna być uważana za naturalną nieprzyjaciołkę pruskiej monarchii, że on już od dawna z wielkiem zadowoleniem patrzy na całe zachowanie się domu Sabaudzkiego i szczęśliwe rezultaty osiągnięte jego polityką. Jednakże był on długi czas z tą swoją opinią w Prusiech całkiem osamotniony. Dawniej dodał on: uważano tu za świętokradztwo wojnę z Austryą i alians z Francyą, a Włochy wyobrażano sobie zawzze tylko z Garibaldem i Mazzinim. Udało mu się jednak zmodyfikować teraz tę opinię. W ostatnich czasach zrobił on z królem Wilhelmem jeszcze jeden eksperyment, wciągnął Austryą w duńską wojnę, by spróbować aliansu prusko-austryackiego. Eksperyment ten zupełnie się nie udał, a mówiąc wedle jego zapatrywań i planów udał się najkompletniej, bo bardziej niż kiedykolwiek zamanifestowała się teraz namiętna rywalizacya Austryi, co króla i wielu innych wykurowało ze zbytniej pochopności do austryackiego aliansu. Król porzucił już teraz swoje nadto wygórowane skrupuły legitymistyczne, będzie więc mógł go teraz poprowadzić wedle swoich widoków".

„Hrabia Bismark zformułował te swoje widoki w następujący sposób: wkrótce za trzy lub cztery miesiące (raport Govonego jest z 14 marca 1866) trzeba będzie wprowadzić na tapet kwestyę reformy Niemieckiego Związku za pomocą jednego powszechnego niemieckiego parlamentu, wywołać tym sposobem zamieszanie, które musi w końcu postawić Prusy z Austryą przeciw sobie. Prusy zaś są stanowczo zdecydowane zrobić wojnę, przeciwko której Europa nie będzie potrzebowała występować, gdyż tu będzie chodzić o wielką narodową kwestyę".

Na samym wstępie pierwszego rozdziału tych moich studyów wypowiedziałem to przekonanie, iż całe świeże dzieło zjednoczenia Niemiec pod egidą pruską ukoronowane we Wersalu ogłoszeniem niemieckiego cesarstwa, nosi na sobie piętno rewo-

lucyjnego przewrotu wobec całej przeszłości niemieckiej, gdyż jest ono niczem innem jak spełnieniem rewolucyjnego programu z 1848 i 1848 r. tak zwanej „*Małoniemieckiej partyi*“, która żądała jak wiemy: „zjednoczenia Niemiec za pomocą jednego centralnego parlamentu z królem pruskim jako cesarzem na czele: z wykluczeniem Austryi z ojczyzny niemieckiej“. Wiemy, że wówczas wszystko rozbiło się o legitymistyczne skrupuły króla Fryderyka Wilhelma IV, który proponowanej mu korony cesarskiej nie przyjął, nazwawszy ją tem, czem była w istocie: koroną „rewolucyjną, obrożą raczej niż korona“. To, co król Fryderyk Wilhelm uważał za zbrodnię, dokonali powoli Bismark z królem Wilhelmem. Jako główny cel tych moich studyów, założyłem sobie uwidocznić w historycznym przebiegu wszystkie główne fazy tych powolnych usiłowań. Jako właściwe Coup d'etat znamionujące najbardziej ten ich na wskróś rewolucyjny charakter naznaczyłem zaraz na wstępie kryzys r. 1866, która niejako erę 1848 w Niemczech na nowo wskrzesiła by ją w owym, stłumionym podówczas, rewolucyjnym duchu dalej rozwinąć i poprowadzić. Postawiwszy owę tezę nigdy nie myślałem, że będę tak szczęśliwym, stwierdzić ją kiedyś słowami samego Bismarka, tymczasem książka jenerała La-Marmory daje mi tę satysfakcyę i to właśnie teraz, gdy przystępuję do bliższego zastanowienia się nad ową kryzys z 1866 r. W powyżej cytowanym raporcie jenerała Govone czytaliśmy wyraźne wyznanie samego Bismarka, iż najgorętszem życzeniem i celem jego najbliższych dążności (w r. 1866) było wskrzesić niejako na nowo zawikłania z lat między 1848—1850 roku, zakończone wówczas konwencyą ołomuniecką na to, by je teraz całkiem czem innem zakończyć.

P. Bismark wprawdzie później w izbie berlińskiej nazwał głośno kłamstwem wszystko, co mówią depesze jenerała Govone, zmyśleniem dla spotwarzenia jego osoby. My jednak nie mamy żadnego powodu wierzyć więcej p. Bismarkowi niźli La-Marmorze, zwłaszcza, że pan Bismark nie dał dotąd żadnych dowodów contra, owszem bronił się śmiało wprawdzie ale słabo. I tak n. p. zaledwie ogłosił on wszystko co mówią owe raporta za kłamstwa, zaraz później znowu obwiniał o wszystkie te niemiłe dla siebie zajścia tę okoliczność, że niema dotąd we Włoszech żadnego prawa zakazującego publikowania państwowych dokumentów dyplomatycznych, a więc tem samem znowu

indirecte przyznał książce jenerała La-Marmory valor urzędowych aktów. Zresztą dotychczas nic się jeszcze takiego nie ukazał, coby wiarę w autentyczność tych zeznań La-Marmory zachwiać mogło, noszą one na sobie zupełne piętno prawdy, stoją w zupełnej zgodzie z tem, co także i z innych poprzednich publikacyj o tem samem przedmiocie wiedzieć było można. Zdaje mi się więc, że możemy śmiało trzymać się tekstu powyżej przytoczonego raportu o planach i zamiarach Bismarka na rok 1866, znalazł on zresztą potwierdzenie w najbliższych współczesnych i następnych wypadkach, bo w istocie były one wskrzeszeniem tych samych w Niemczech i w całej środkowej Europie zawikłań, jakie przed kilkunastu laty sprowadził był nieszczęsny rok 1848. Trzymać ciągle otworem kwestyę Szlezwicko-Holsztyńską tak jak ona była otwartą w r. 1848, zbuntować przeciw Austryi Węgry tak jak się one były zbuntowały w r. 1848 i to nawet używając do tego tych samych ludźi roku 1848 Klapki, Koszuta i t. d., sprowadzić na Austryę wojnę włoską, taką jak była także w roku 1848, wskrzesić jeden wielki centralny parlament niemiecki na mocy bezpośrednich wyborów, jak go miał także rok 1848, podnieść mało niemiecką ideę hegemonii pruskiej w osobnym mniejszym związku niemieckim z wykluczeniem Austryi, tak jak tego chciano już w r. 1848 wreszcie, by uniknąć tego, co zabiło r. 1848 i sprowadziło reakcyę: wyedukować sobie tak króla Wilhelma, żeby wcale nie myślał o tem, by tak jak jego poprzednik pójść po zgodę z Austryą do Ołomuńca, ale żeby go skłonić do wydania jej wojny na to, by ją wypchnąć z Niemiec, a resztę Niemiec ujarzmić, oto mniej więcej kompletny regestr tego, co Bismark miał do roboty na r. 1866. I tak się to dzisiaj robi nasza nowożytna historya! tak się przędzie jej nić złota wedle tej najnowszej eksperymentalnej metody niemieckiej, otwierającej sztucznie ledwie co zaskorupione rany przeszłości, by pod pozorem nowej, lepszej, radykalniejszej kuracyi osłabioną ludzkość łatwiej ujarzmić i opanować. Nim jednak pan Bismark mógł zacząć nareszcie zdobywać Niemcy ogniem i mieczem, musiał on pierwej jeszcze zdobyć sobie króla, pozyskać go dla swoich zamiarów i popchnąć go w kierunku swoich celów. Nie była to rzecz tak łatwa, bo król Wilhelm był dosyć uparty w swoich skrupułach „d'un trôp honnête roi", potrzeba więc było do tego długich i cierpliwych usiłowań po-

wolnej i zręcznej intrygi, tu trzeba było zapomnieć, że się jest lwem i być lisem.

Z pomiędzy wszystkich doradzców otaczających króla Wilhelma, jenerał Manteuffel był tym, do którego król osobiście najwięcej miał zaufania, więcej nierównie, niż do Bismarka, do którego nigdy nie czuł osobistych sympatyj. Jenerał Manteuffel, junkier dawniejszej daty, był niejako sumieniem króla, często po naradzie ministeryalnej wołano dopiero osobno jenerała Manteuffla na poufną konferencyę do króla, a nie było w całem otoczeniu króla nikogo, coby był więcej za zgodą z Austryą i bardziej żywił w królu przyjazne względem Austryi usposobienie, jak właśnie ten jenerał. Był to przecie ten sam Manteuffel, który, jako ówczesny pełnomocnik królewski, miał na sumieniu konwencyę Ołomuniecką między Prusami i Austryą z 1850 r., ową wedle p. Bismarka największą hańbę pruskiej polityki (chociaż sam Bismark do niej wówczas doradzał w Gazecie Krzyżowej), do zmazania której właśnie się zabierał. Można sobie wystawić, jak niebezpiecznym rywalem dla Bismarka był ten jenerał Manteuffel, z takim wpływem u króla a tak przeciwnych przekonań, chcąc iść samemu dalej, trzeba więc było Bismarkowi koniecznie usunąć go od boku króla, zrobić go nieszkodliwym, było to wdzięczne pole dla intrygi. Sposób, w jaki p. Bismark tutaj dopiął swego, daje mu świadectwo, że dobrze rozumie grę na szachownicy świata.. Zaraz po konwencyi Gasteińskiej jenerał Manteuffel został wyniesiony na świetne i szczytne stanowisko gubernatora Szlezwigu i ze wszystkimi atrybutami władzy i nieograniczonego zaufania wysłany do tej świeżo nabytej prowincyi, tego nowego klejnotu pruskiej korony, świeżej zdobyczy pruskiego oręża. Stanowisko to było ze wszech miar schlebiające próżności jenerała, a Bismark nietylko że tym sposobem oczyścił dla siebie terrein działania obok króla, ale zarazem w dotychczasowym najniebezpieczniejszym rywalu przygotował sobie na przyszłość najlepsze narzędzie swojej polityki. Fałszywa pozycya Austryi w Holsztynie i ztąd wynikające częste nietaktowne postępowanie rządu austryackiego tamże, gwarantowały Bismarkowi radykalną kuracyę jenerała Manteuffla z jego austryackich sympatyj. W Szlezwig-Holsztynie pośród tak nieuregulowanych i anormalnych stosunków na właściwej widowni nieustannej prusko-austryackiej rywalizacyi, nie mogło się obejść bez ciągłych

dyferencyj między władzami obu mocarstw; tam gdzie drwa rąbią, nie obejdzie się bez tego, żeby jaka trzaska nie drasnęła i jenerała; rozumował słusznie p. Bismark, te ciągłe starcia zużyją powoli jego przyjazne dla Wiednia usposobienia i przyjdzie w końcu do tego, że on sam może doradzi królowi, by postawić kwestyę na ostrzu miecza. Prócz tego i sam osobiście nie szczędził Bismark żadnych usiłowań, by pośrednio wpływać na osobę króla w duchu swoich zamysłów. Ciekawe szczegóły daje nam o tem p. Benedetti w relacyjnych listach swoich do p. Drouyn de Lhuys (ze stycznia 1866 r.):

„To, czego nie chciałem umieszczać w depeszy, pisze p. Benedetti, i o czem pana w osobnym liście prywatnie zawiadomić wolę, to jest: że p. Bismark używa wszelkich środków i rozwija w tem wielką czynność, by swoje osobiste przekonania i zapatrywania w królu wyrobić, ale chociaż pracuje on nad tem namiętnie, wątpię bardzo, (sądząc podług tych dziwnych szczegółów, jakich mi o tem udzielił), by mu się udało dopiąć zamierzonego celu. On jednak o tem nie wątpi, (a p. Benedetti, który wątpił, nie pokazał się tu wcale dyplomatą o przenikliwym wzroku). Przedewszystkiem stara się on wyrobić w królu tę opinię, która zresztą zaczyna tu już być powszechną, że Gasteińskie układy wyszły zupełnie na szkodę Prus i że był on niejako oszukany przez Austryę. Czeka on tylko na to, żeby gabinet austryacki dał mu jakikolwiek pretext, by mógł wyjść z tej abstencyi, jaką mu obecne okoliczności nakładają. Król jednak jest bardzo jeszcze przeciwny temu postępowaniu, jakie mu doradza jego pierwszy minister. By go jednak przecie do tego nakłonić, Bismark stara się przekonać króla, że honor jego korony, o który król jest niezmiernie zazdrosny, jest w tem zaangażowany i chce wmówić w niego, że interes pruskiej monarchii tego po nim wymaga. Z królem wedle p. Bismarka przez to jedynie można sobie w końcu dać radę, że przyswaja on sobie łatwo, zręcznie podsunięte mu pomysły i kombinacye i zaczyna powoli uważać je za swoje własne, tak jakby one wyszły czysto z jego osobistej inicyatywy. Jest to robota oczywiście bardzo powolna i długa, p. Bismark jednak spodziewa się z niej w rezultacie najlepszych owoców i utrzymuje, że gdy mu się raz uda króla skaptować, wtedy sukces będzie zupełny, tak iż trzeba będzie aż czasem powstrzymywać króla.“ „Bo król mawiał mi często p. Bismark

(pisze na innem miejscu p. Benedetti), ma tego rodzaju usposobienie, że aby go przywieźć do tego, by chciał rewindykować swoje prawa, trzeba mu pierwej dowieść, że mu je naruszają. Ale gdy się raz przekona, że gdzieś nie dość uznana jest jego powaga, lub że gdzieś usiłują ścieśnić jego władzę, natenczas można mu śmiało proponować najenergiczniejsze kroki bez najmniejszej obawy, żeby się kiedy wśród drogi zatrzymał".

Rozpocząć na nowo oficyalną kampanię dyplomatyczną przeciw Austyi, mógł więc Bismark bez narażenia sobie króla tylko na tem polu, gdzie najłatwiej było w króla wmówić, że zagrożone i naruszone są tam jego prawa i interesa, musiał on więc znowu zaczepić o Holsztyn, gdzie Austrya rzeczywiście zupełnie inne jak Prusy w Szlezwigu prowadziła rządy i dawała powód do nieporozumień. Austrya uważała zawsze jeszcze swoje panowanie w Holsztynie za prowizoryczne, zostawiała więc zupełną wolność w kraju, gdy tymczasem Prusy odrazu na dobre rozgospodarowały się w Szlezwigu i nie znosiły nawet i w Holsztynie żadnych antipruskich manifestacyj, przeciwko którym rząd austryacki nie dość energicznie występował, dbając tylko co najwięcej o policyjny porządek. Największym powodem zgorszenia dla Prus był zawsze jeszcze bawiący w Holsztynie ks. Augustenburg i robione mu przez ludność holsztyńską owacye. Był to rzeczywiście najczarniejszy i najsłabszy punkt w całej ówczesnej polityce austryackiej ten ks. Augustenburg albo Disgustenburg, jak go nazywali angielscy dyplomaci; imię to oznaczało w polityce austryackiej zejście z prawej drogi w kwestyi niemieckiej i sprawie szlezwicko-holsztyńskiej, a zarazem zawikłanie się w trudności, które były wodą na młyn Bismarka. Augustenburgiem zaczął on też bombardować Austryę, kilka demonstracyj ludowych dla tego księcia dało mu dostateczny powód do depesz rekryminacyjnych, któremi otworzył wreszcie stanowczo kampanię roku 1866. Depesze te wraz z odpowiedzią na nie gabinetu austryackiego są tak typowe i charakterystyczne, wprowadzają tak dobrze w całą ówczesną sytuacyę, będąc przytem najlepszą próbką korespondencyi dyplomatycznej między Wiedniem i Berlinem, depesze te nareszcie tak dobrze dają nam porównać ówczesnego oficyalnego Bismarka z owym zakulisowym, jak go poznaliśmy już z raportów Gowonego i listów Benedettego, że przytaczając je w większej części, pisze się zara-

zem historyę owej ważnej chwili rozpoczęcia walki 1866 roku. Obieram więc ten łatwy dla mnie a zarazem najlepszy sposób do żywego przypomnienia owej chwili.

Pierwsza depesza Bismarka do gabinetu wiedeńskiego wysłana z Berlina 20 stycznia na ręce posła pruskiego w Wiedniu bar. Werthera właśnie w czasie, kiedy Bismark pilnie agitował w Węgrzech, żeby ile możności utrudnić ugodę między cesarzem i Madjarami, stojąc w ścisłej korespondencyi z nieprzyjaciołmi tejże ugody w Peszcie.

„Posyłam Excellencyi, pisze p. Bismark do bar. Werthera; odpis dokładnego sprawozdania, jakie mi przysłał gubernator Szlezwigu jen. Manteuffel pod dniem 14 b. m., abyś Excellencya mógł porównać te daty i całe znaczenie austryackiego postępowania w Holsztynie z tém, co Excellencya słyszysz od cesarskiego ministra, i mógł widzieć wszystko wprawdziwem świetle. Załączam zarazem zestawienie tych faktów wedle dzienników. Wszystko to potwierdza tylko moje zapatrywania na położenie rzeczy w Holsztynie, jakie już i wedle poprzednich wiadomości z księztw sobie wyrobiłem. Położenie to jest tak na seryo niepokojące, że muszę prosić Jego Excellencyę, żebyś był łaskaw z hr. Mensdorfem się o tem dokładnie rozmówić. Szacunek i zaufanie, jakiem osobistość jen. Manteuffla słusznie w Wiedniu się cieszy, sądzę, że podniesie w oczach gabinetu wiedeńskiego ważność tych słów, do jakich on nawet widział się zmuszonym, (kuracya skutkowała). Bo też rzeczywiście bardzoby się to już zdało, żeby wiedeński gabinet poznał raz bez iluzyi, jaki efekt jego postępowanie w Holsztynie u nas wywoływać musi. Excellencya wiesz, jaką nadzieję coraz przyjaźniejszych i bliższych stosunków z Austryą wywieźliśmy w Gastein. Już w tej łatwości z jaką w niektórych trudnych punktach np. co do obsadzenia Rendsburga etc.... dochodziliśmy do porozumienia się wzajemnego, upatrywaliśmy pierwsze owoce naszego obopólnego do siebie zaufania. Oczekiwaliśmy więc spokojnego postępu na tej drodze. Sądziliśmy, że tak jak my w Szlezwiku, tak i Austrya w Holsztynie, w tym jeszcze bardziej niż Szlezwig partyami rozdartym kraju, zachce zaprowadzić rządy silne i konserwatywne. My w Szlezwigu pozostaliśmy wierni naszym zasadom, i nikt nam nie może zarzucić, żebyśmy tam na jakiekolwiek nieprzyjemne Austryi manifestacye pozwalali (bo też nikomu nie przy-

chodziło na myśl je robić, gdyż Austryi nie uważano w księstwach za wroga tak jak Prusy). Ale popatrzmy, cóż się to dzieje z tym samym w Holsztynie! Excelencya, masz bogaty materyał, by p. Mensdorfowi pokazać, jak tolerowana przez rząd prasa holsztyńska przepełniona jest szkalowaniami i nieprzyjaznemi wycieczkami przeciw Prusom. Ta sama prasa traktuje ciągle jeszcze księcia Augustenburga jako prawowitego panującego. Zawsze jeszcze tolerowane kluby robią demonstracye i owacye księciu i jego familii, które rzeczywiście nadają mu zupełnie charakter panującego. Już sama obecność i dwór księcia w Kiel jest niejako protestem przeciwko prawowitości naszego panowania w księztwach, a pomimo tego cesarski rząd zdaje się zapominać o tem, że ten protest narusza tak samo prawa Cesarza austryackiego jak i pruskiego Króla, że każda taka owacya jest tak dobrze dla jednego jak i dla drugiego obrazą. My jednak czujemy się w prawie zaprotestować przeciw temu, żeby Austrya pozwalała tak bezkarnie naruszać i poniewierać nasze wspólne prawa, tak jak to się dzieje w Holsztynie.“

„Ale jeszcze inny punkt trzeba tu wziąść na uwagę. Już żem raz wspomniał o tem, jak liczyliśmy na to; że Austrya zaprowadzi w Holsztynie rząd silny i konserwatywny, by raz już tamę położyć owym od dawna cierpianym zaburzeniom całego kraju, wywołanym szeroko rozpostartą demokratyczną agitacyą, która pod pokrywką fikcyjnych rządów zawisłego od siebie bezsilnego księcia swoje plany przeprowadzić usiłuje i już teraz wszelkimi środkami na całą ludność a osobliwie na młodzież wielki wpływ wywiera. Ale niestety zawiedliśmy się w naszych oczekiwaniach! Demokratyczna ta agitacya, idąca w parze z całą nienawiścią do konserwatywnych Prus, jest teraz z całą prasą swoją w pełnym kwiecie. Cesarski austryacki rząd może jak chce patrzeć obojętnie na to systematyczne demoralizowanie i korrupcyę ludności. My jednak nie możemy na to pozwolić. Jakkolwiek bądź rozstrzygną się kiedy losy księztw Nadelbańskich, ich stan będzie zawsze niezmiernego dla Prus znaczenia, jeźli tam się wyrobi ognisko demokratycznych i rewolucyjnych tendencyj, to w końcu zawsze Prusom przypadnie zadanie, by tam zrobić porządek. A czyż to jest godne cesarskiego rządu, żeby nam to nasze przyszłe zadanie tak utrudniać? dlatego, że nie jest tak blisko jak my, albo żeby psuć lekkomyślnie i za-

niedbywać te posiadłości, — które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mogą być wkrótce nasze dlatégo tylko, iż się samemu przy nich utrzymać nie można?“

„W całem zachowaniu się Austryi i w słowach jej reprezentantów przebija się jasno ta tendencya, by utrzymać się w posiadaniu Holsztynu o tyle tylko, żeby mieć w nim niejako zastaw który przy sposobności na co innego da się zamienić. Te rachuby uważamy za zupełnie słuszne i prawowite, ja sam wskazywałem to już nieraz jako naturalną dla Austryi drogę. Ale nie mogę uważać tego ani za roztropne ani za sprawiedliwe, jeźli Austrya przez to myśli zbliżać się do tego celu, że czy to pozornie czy istotnie proteguje pretendenturę, której my żadną miarą uznać nie możemy i przez to, że przymnaża trudności zamierzonym pruskim planom. Gabinet wiedeński niech raczy o tem nie zapominać, że im większe będą te trudności, tem mniejszego będzie można od nas żądać w danym razie wynagrodzenia i że na tej drodze łatwo może przyjść do tego, że rzeczony przedmiot nawet bez wszystkiego sam gotów wyśliznąć się z ręki.“

Nie czekając nawet na odpowiedź austryackiego gabinetu, w parę dni po tej nocie wysłał Bismark drugą, jeszcze o całą oktawę wyżej nastrojoną, i w patetycznym tonie zredagowaną depeszę do Wiednia; z powodu tłumnego zgromadzenia ludowego w mieście holsztyńskiem Altonie, na którem robiono znowu owacye ks. Augustenburskiemu. „W mojem piśmie z 20go b. m. pisze p. Bismark 26go stycznia do bar. Werthera: mówiłem o stanie rzeczy w Holsztynie i prosiłem Excellencyę, żebyś zapewnił hr. Mensdorfa, iż to, co się dzieje w Holsztynie, wpływa na cały charakter naszych z Austryą stosunków. To, co świeżo zaszło w Altonie, zmusza mnie jednak znowu do zabrania głosu w tym samym przedmiocie. Zapewne przeczuwają to także już we Wiedniu, że takie zgromadzenia szlezwicko-holsztyńskich klubów dają zupełnie nowy obrót rzeczom między nami, przy czem musi raz już wyjść na jaw, jaki rodzaj stosunków Gabinet wiedeński chce nadal z nami zachować. Zezwolenie na takie zgromadzenie jest w istocie zjawiskiem tego rodzaju, że nawet i po teraźniejszych rządach austryackich w Holsztynie i po tem wszystkiem, co tam już zaszło dotychczas, nigdyśmy się przecie czegoś podobnego spodziewać nie mogli.

Demonstracya *en masse* w celach agitacyj zabronionych nawet przez rząd krajowy a skierowanych wprost przeciw Prusom: ta demonstracya najprzód przez policyę zabroniona, późniéj za porozumieniem się z jej menerem dozwolona, i przez demokratów z całych Niemiec obecnością swoją zaszczycona, i zupełnie tym samym tchnąca duchem, jak podobne zgromadzenia odbywające się w Frankfurcie!... doprawdy wierzyć się nie chce, to nie do pojęcia! żeśmy już zaszli tak daleko, szczególnie wspomniawszy na tak niedawne jeszcze dni w Gastein i w Salzburgu. Wtedy to mógłem przepuszczać, że Jego Cesarska Mość i Jego ministrowie tak samo jak my jasno widzą, *co jest właściwie tym wspólnym naszym nieprzyjącielem... rewolucya*! i zdawało nam się, że co do potrzeby i planu walki przeciwko *niej* w zupełnej jesteśmy zgodzie. Teraźniejsze zachowanie się cesarskiego rządu w Holsztynie ma jednakże inny charakter, że je po prostu *zaczepnem* nazwać musimy, bo cesarski rząd pozwala sobie zupełnie z temi samemi narzędzinmi agitacyjnemi przeciwko nam występować do walki, jakie chciał z nami wspólnie zwalczać w Frankfurcie. Bo czemże się różni to holsztyńskie zgromadzenie ludowe pod przewodnictwem menerów demokratycznych z Hesyi, Frankfurtu, Bawaryi od tych zgromadzeń, na które się Austrya z nami razem skarżyła we Frankfurcie? chyba tem, że namiestnik cesarski w Holsztynie przecie większemi rozporządzał siłami, by mógł takiemu zgromadzeniu zapobiedz, niż Senat frankfurcki. Nie potrzeba nawet o tem mówić, jakie wrażenie robi na królu naszym i Panie takie zachowanie się i to w czasie pokoju niedawnego sprzymierzeńca we wspólnej wojnie, jak smutnie go to uderzać musi, gdy widzi rewolucyjne, wszelkie trony minujące tendencye pod opieką austryackiego dwugłównego orła, i jak takie smutne doświadczenia w końcu do tego doprowadzić muszą, że to w królu tak miłościwie pielęgnowane uczucie wspólności obydwu mocarstw niemieckich w końcu całkiem się oziębi i osłabi!“

„Rząd królewski uprasza więc cesarski gabinet, by w imię wspólnych interesów tym szkodom jakie monarchiczne zasady, zmysł publicznego porządku i zgoda obu mocarstw przez teraźniejsze postępowanie Austryi w Holsztynie ponoszą, zechciał tamę położyć.“

„Wszelka odmowna lub wymijająca odpowiedź na tę naszę prośbę, utwierdzałaby nas tylko w tem przekonaniu, że rząd cesarski nie ma wcale ochoty trwale z nami jednemi chodzić drogami, i że tradycyjny antagonizm przeciw Prusom, który mieliśmy już za przezwyciężony, a który teraz księztwo nadelbiańskie na pole swej działalności sobie obrał, jest w Austryi przecie silniejszym czynnikiem niźli to uczucie przynależności do siebie i wspólności interesów obu mocarstw. Byłoby to dla rządu królewskiego, byłoby to szczególniej dla Jego Król. Mości wielkiem i bolesnem rozczarowaniem, które mam nadzieję że go ominie. Czego jednak nam koniecznie potrzeba to, żeby się raz wyklarowały nasze wzajemne stosunki Jeźli zaś ta szczerze przez nas pożądana, ścisła wspólność działania obu mocarstw nie da się urzeczywistnić, natenczas musimy stanowczo wystąpić z całą niezawisłością naszéj własnej polityki, i zrobić z niej pełny użytek li tylko w pruskim interesie. Proszę Ekscelencyi nie pozostawić hrabiemu Mensdorfowi pod tym względem najmniejszej wątpliwości. Nadto seryo jest ta chwila i za daleko nas już zawiodły te najświeższe zajścia w Holsztynie, które i w Wiedniu nie powinny być lekceważone, by co innego mogło być już teraz na czasie, jak całkiem szczere i otwarte słowo.“

Jedno z lepszych jest to szczere i otwarte słowo konserwatywnego sprzymierzeńca Koszuta, Klapki i Piemontu, indygnującego się nad Austryą, protektorką tronoburczych żywiołów! Ale potrzeba było tak pisać dla króla. Powyższe noty Bismarka są i przez to jeszcze ważnym historycznym materyałem, że zawierają one ekstrakt tych frazesów, w których zaczarowanem i kłamliwem kole Bismark utrzymywał króla Wilhelma, by wyrabiać w nim żółć przeciwko Austryi, i które tenże brał za dobrą monetę. Oficyalna odpowiedź austryackiego gabinetu na te inwektywy dała trochę długo na siebie czekać, 7go lutego wysłał wreszcie hr. Mensdorf depeszę do Berlina na ręce hr. Karolyego; jest ona wprawdzie słabą odpowiedzią na noty Bismarka, ale prostuje zawarte w nich fałsze i zarazem daje objektywny obraz i sprawiedliwe osądzenie ówczesnych dyferencyj między Prusami i Austryą. „Z moich niedawnych i częstych rozmów z panem,“ mówi depesza Mensdorfa, „znasz Ekscelencya dokładnie zapatrywania rządu cesarskiego na konwencyę gasteinską i wypływające z niej położenie rzeczy. Prowizoryczny charakter

całej ugody nie daje nam o tem zapomnieć, że w Gastein ani żadne prawo do sukcesyi nie zostało rozstrzygnięte, ani nowa prowincya do austryackiéj monarchii wcielona, ani też nam prawo przyznane o przyszłości Holsztynu samowolnie bez przyzwolenia Prus decydować. Takiego prawa nie mamy tak dobrze jak i Prusy go nie mają, by nie mogły samowolnie rozrządzać Szlezwigiem. Nie substancyą owych krajów, tylko czasowe prawa posiadania aż do dalszego niemi rozrządzania, nabyte wiedeńskim pokojem, podzieliły między siebie oba mocarstwa w Gastein, zastrzegając sobie na nowo ostateczne rozwiązanie kwestyi sukcesyjnéj. Ekscelencya wiesz, że dwór cesarski uznaje w całej pełni obowiązującą siłę tego zastrzeżenia, bo przecież nie uroszczenia pruskie, tylko prawo niemieckiego Związku były motywem do wojny z Danią. Jego Cesarska Mość dał już tego liczne dowody wszelkiemi możliwemi ustępstwami, że pragnie ile możności ułatwić ostateczne rozwiązanie tej kwestyi. Czując się zupełnie wolnym od odpowiedzialności za to, że ten cel dotąd nie został osiągnięty, rząd cesarski gwarantuje i nadal królowi pruskiemu, że niczego się nie dopuści, coby się sprzeciwiało poprzednim układom między obydwoma mocarstwami. Jednakże w tymczasowej administracyi swojej w Holsztynie, nie ulega rząd cesarskiej od czasu gasteińskiej konwencyi żadnej kontroli. Austrya nie jest wprawdzie wyłączną właścicielką praw do panowania w Holsztynie, w sposobie jednak, w jakim do czasu tam rządy sprawuje, nie uważa się zależną od niczego. Jak wszędzie, tak i na północy Niemiec reprezentuje ona ważne konserwatywne interesa, i o nic bardziej jej nie chodzi, jak żeby i tam obowiązkom, jakie nakładają jej te zasady, zadość uczynić, ale uważa zarazem całe postępowanie swoje w Holsztynie jako sprawę li tylko między sobą i swym namiestnikiem, a niepodległą żadnym innym wpływom. Tę samą niezawisłość zostawiamy rządowi pruskiemu w Szlezwigu. To nasze pojmowanie rzeczy jest ugruntowane na wyraźnych słowach gasteinskiej konwencyi, jest ono sprawiedliwe względem Prus i względem nas samych, — odpowiada ono poczuciu naszej godności, i koniecznej dbałości o nasze interesa.“

„Gdy słyszymy przeciwko nam wymierzoną skargę, że przez naszą niedbałość i bierność wystawiamy na szwank w Holsztynie monarchiczne zasady, i że myśmy to dopiero podminowali dawny konserwatywny zmysł szlezwicko-holsztyńskiej ludności, obniżając

tym sposobem wartość tych przyszłych prawdopodobnych terytoryów kompensacyjnych, to nie pozostaje nam nic innego, jak apelować do sumienia całej Europy, bo wie przecie cała Europa, że te tendencye, jakie dziś w Holsztynie panują, nie z nami tam przyszły, są one już dawniejszej daty, są te same, co były przed wojną duńską."

„Oskarżeni jesteśmy i o to, że pozwalając na zgromadzenie ludowe w Altonie, do którego zresztą Prusy, mówiąc nawiasem, za wiele przywiązują wagi, staliśmy się spółwinnymi takich samych ekscesów przeciw Prusom, jakie we Frakfurcie potępiliśmy razem z Prusami. Nie wiem nawet jak się mógł rząd pruski wystawiać na tak łatwe odparcie swoich zarzutów, bo to przecie właśnie Prusy nie chciały wydać z nami razem zakazu takich zgromadzeń jak to, co było w Altonie, rozciągającego się na całe Niemcy; gdyby była wtedy przyszła do skutku pod tym względem regulacya na całej przestrzeni Związku niemieckiego, toby i w Holsztynie łatwiej było zaprowadzić stałą normę."

„Dla cesarza przykra jest bardzo cała ta polemika i trudno nawet uwierzyć Jego Cesarskiej Mości, że król Wilhelm cały swój stosunek do niego robi zależnym od tego, czy Austrya zezwoli lub nie zezwoli na aneksyę księstw do pruskiej monarchii, nazywając nasz naturalny opór przeciw temu, powrotem do polityki zgubnej rywalizacyi obu mocarstw. Ba nawet rząd królewski tak już do nas mówi, jakbyśmy go opuścili w walce przeciw naszemu wspólnemu nieprzyjacielowi: rewolucyi, i nie chce już iść dalej z nami spólnemi drogami. Niech tylko królewski rząd zechce popatrzeć się bezstronnym wzrokiem na najbliższą przeszłość, na najświeższe w Niemczech wypadki, a musi przyznać koniecznie, że myśmy zawsze wyżéj sobie cenili alians z Prusami niżeli nasz stosunek do całej reszty Niemiec, któryśmy sobie nawet przez to popsuli, jak to się świeżo pokazało w uznaniu przez nie królestwa włoskiego. Ostatnie wypadki i stosunki nasze z gabinetami europejskiemi, świadczą aż nadto za tem, że myśmy zawsze występowali jako sprzymierzone z Prusami niemieckie mocarstwo. Nie rozumiem więc tego rozczarowania, w jakie postępowanie naszego Cesarza Jego Królewską Mość wprowadzić miało, i z całem przeświadczeniem uchylam najzupełniej dwór cesarski z pod tego zarzutu, jakoby to przez jego postępowanie uniemożliwiał się nadal ten wedle ostatnich słów p. Bismarka

tak szczerze przez Prusy pożądany bliski stosunek i wspólność polityki obu mocarstw.“

„Tylko odparcie tych zarzutów spowodowało mię do tego pisma, bo zresztą wykroczyłbym nawet przeciw godności i wspaniałomyślności cesarskiej, gdybym na mocy niektórych wczoraj i dzisiaj dostrzeżonych faktów zaczął robić dworowi pruskiemu wyrzuty i podnosić kontrast jego postępowania z naszem.“

Odpowiedź ta austryacka nie zrobiła oczywiście w Berlinie najmniejszego wrażenia, bo jeszcze przed jéj nadejściem, gdy p. Benedetti zapytał Bismarka poufnie, jakie będą jego dalsze kroki, jeźli Austrya odpowie mu wymijająco, odrzekł mu tenże: „Nous irons vite et peut-être irons nous loin.“

„Lecz cóż pan właściwie zamyślasz? zapytał ambasador „Zaczniemy od tego, odpowiedział Bismark, że zawezwiemy Goltza (posła pruskiego w Paryżu) do Berlina, aby mieć ostateczną pewność co do dyspozycyi cesarza Napoleona w razie istotnych zawikłań.“ Bismark, jako jasnowidząca polityczna głowa, widział dobrze, że polityka Napoleona, zostawiająca Prusom wolne ręce, jest samobójczą dla Francyi, zawsze obawiał się tego, czy się też tam przecie na tem nie spostrzegą w Paryżu, to też przy każdym nowym agresyjnym kroku swoim, sondował na nowo najskrupulatniej opinię gabinetu tuileryjskiego. Była to jednak zbytnia ostrożność, bo zaślepienie cesarza i niesumienność jego względem własnego narodu nie miały granic. Pomimo że obszerne relacye Benedettego z owych czasów i groźne noty pruskie, a co najwięcej jego własne niedawne rozmowy z Bismarkiem w Biarriz mówiły mu aż nadto dokładnie, na co się zanosi w Niemczech, on swoją mowę tronową (z 22 stycznia 1866 r.) rozpoczął słowami: „Za granicą pokój zdaje się być wszędzie zapewniony, gdyż wszędzie widać szczere usiłowania, by wszelkie trudności na przyjaznej drodze rozwiązywać zamiast rozcinać je mieczem (!)“ Napoleon był już wtedy na drodze wiodącej wprost do Sedanu.

KORESPONDENCYA

Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem

(między r. 1845 a 1856).

Nowa tak zwana epoka romantycznej poezyi naszej zdetronizowała potęgą geniuszu swego starsze pokolenie, strąciła z kurulnych krzeseł na Parnasie owe sędziwe postacie tak zwanych Klasyków, bo niezaprzeczenie o całe niebo wzniosła się wyżej w sztuce swojej, odsłaniając nieznane dotąd ducha ludzkiego głębie i wyżyny, sami Klasycy poufnie między sobą się przyznawali, że zostali pokonani. Wszelako ci wyżsi od nich geniuszem Romantacy zatracili za to tego praktycznego, obywatelskiego ducha, jaki tamtych do końca ich długiego zwykle żywota nie odstępował, bo i najcelniejsi z młodych poetów byli już wykolejonymi ze społecznego życia jednostkami, podczas gdy tamci starzy do końca zycia na swych pozycyach wytrwać umieli. I dlatego też dzisiaj, kiedy od jednych jak i od drugich dzielą ich nas groby, kiedy ich wzajemne walki, duchowe i literackie utarczki już nie rzeczywistością są ale historyą, i zarówno opłakujemy ojców jak i synów; gdyby tak łaskawy Bóg nas zapytał: których wam wskrzesić? wolałbym mieć wskrzeszonych ojców niźli syny; bo i cóż narodowi pomogą wielcy wieszczowie, jeśli nie ma w nim tęgich obywateli.

Dość przeczytać małe trzy książeczki Lucyana Siemieńskiego, zlustrować z nim razem „Obóz klasyków,“ rozglądnąć się w tej jego galeryi „*Literackich Portretów:*“ Kajetana Koźmiana, Franciszka Morawskiego, Franciszka Wężyka i t. d., z lśniącej mozaiki własnych tychże listów misternie złożonych, żeby pomimo wszelkich zastarzałych prawideł ich estetyki, przy których oni tak silnie stali, jak dziś przy najświętszych zasadach, mało kto stać umie, żeby pomimo całego ich Horacyuszowsko-Wirgilowego starowierstwa literackiego, tych mężów na zawsze pokochać. Bo cóż, że się mylili nieraz w estetyce, kiedy za to po za wszystkiem kryje się u nich zdrowa konserwatywna myśl polityczna, kiedy we wszystkiem widać u nich zawsze obok wyższego polotu ducha, i stałość zasad i moc wytrwania. A nawet i w poezyi, pomimo tryumfu tak zwanych Romantyków, którzy na długie lata zostali panami sytuacyi w sercach całego narodu, nawet i w historyi wielkiej epoki naszej poezyi, chronologicznie wziąwszy, ostatnie słowo wyrzekł najzagorzalszy, najwierniejszy z klasyków Kajetan Koźmian, którego największy poemat „Stefan Czarniecki“ wtedy się ukazał, gdy już i Mickiewicza i Słowackiego nie było na ziemi, a Krasiński by nad grobem. Koźmiana muza wszystkich przeżyła, on dopiero jako 80-kilkoletni starzec swój zawód pisarski wraz z życiem zakończył, i tu znowu choć wartość jego wielkiej epopei pod względem poetycznych piękności daleką jest od *Wallenroda* i *Pana Tadeusza*, to jednak wysoki nastrój poematu, czysty i potoczysty język, a nadewszystko głęboka na absolutnej prawdzie moralnej oparta treść tego utworu, stawia go wysoko, jako jeden z pomników naszego języka, i tak zwany klasycyzm naszej literatury kończy w nim swoją rolę, jeśli nie tryumfująco, to zawsze z honorem.

Właśnie kiedy „*Czarniecki*“ był już na ukończeniu, a przynajmniej „sporo na krosnach autora zasnuty“ i może nawet wskutek tego około 1845 roku zawiązała się stała korespondencya między Kajetanem Koźmianem, spędzającym w Piotrkowicach, majątku rodzinnym swe sędziwe lata, a Franciszkiem Wężykiem przemieszkującym w Krakowie. Korespondencya ta, ciągnąca się od 1852 do 1856 roku, to jest, aż do samej śmierci Koźmiana, wymiana myśli dwóch najstarszych klasyków, którzy obydwa w dozgonnej przyjaźni z dawnemi

wyobrażeniami swemi płodną epokę romantyzmu przeżyli, i na jej schyłku w tem samem kole zapatrywań o tych samych niemal przedmiotach i oczywiście tym samym językiem, jakby za dobrych czasów swoich między 1820 a 1830 rokiem dalej sobie rozmawiają, jest ze wszech miar bardzo ciekawym zabytkiem niby żywcem z jednej epoki w drugą przeniesionym. Kajetan Koźmian jest zupełnie ten sam i po roku 1850, jakim był po pierwszem ukazaniu się *Ballad* i *Romansów* Mickiewicza; Wężyk już nierównie więcej pogodził się z nowszemi wyobrażeniami o piękności w Poezyi i jej zadaniu, korespondencya między nimi jest więc jakby dalszym ciągiem dawnego Klasyków z Romantykami sporu, jakby echem jego po trzydziestu leciech, echem dalekim wśród grobowej ciszy, bo już i stara i nowa poezya u nas zamierała. Korespondencya ta (listy Koźmiana wszystkie, Wężyka niektóre) dostała się w moje ręce z łaski wnuków obydwu sędziwych poetów p. p. Stanisława Koźmiana i Stanisława Tomkowicza; za ich to więc zezwoleniem ogłaszam z tego zbioru listy w całości lub te z nich ustępy, które ogólny mogą wzbudzić interes, sądząc że i łaskawi czytelnicy przyjmą wraz ze mną w piśmie naszem ten miły przyczynek do historyi naszej literatury z wdzięcznością dla tych, którzy nam go ze swoich papierów familijnych udzielić raczyli.

Piotrowice, 20 grudnia.

Dawny mój stale łaskawy, a bardzo szanowny dla mnie kolego! Jakże ja żałuję, drogi przyjacielu, że tak daleko jestem i od twojej osoby i od twego towarzystwa. Ty mnie pierwszy niezazdrosnem sercem jak brata w literaturze narodowej uczciłeś pięknym i nader pięknym anakreontykiem, który mój syn w zbiorze pamiątek po mnie, twoją ręką pisany, troskliwie chowa. W innych czasach, w innem towarzystwie, w innym duchu pracowaliśmy wspólnie, przędliśmy dalej osnowę powierzoną nam przez Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego, wspólnie z Woroniczem, Dmóchowskim, Osińskim, Niemcewiczem pracowaliśmy pod godłem:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.

Jeden Brodziński poczciwem sercem i nieuprzedzonym umysłem oddał nam sprawiedliwość. Cała nowa generacya nie przestaje na nas warczeć, szczekać, dlatego chociaż piętnaście lat mija, jak się z sobą nie widzieliśmy, jeden przyjęliśmy system, ubolewać i milczeć, to jest pisać swoje, ale nie wydawać, póki wygnaniec tej ziemi, smak dobry i rozsądek zdrowy, z wiekiem do głów dziś oczadziałych nie wróci, a nowego plemienia w dalszem pokoleniu nauką nie oświeci i z umysłowego szału nie uleczy. Biada naszej literaturze, jeżeli to, co dziś jest, dłużej potrwa. Czytałem piękne twoje wiersze do Liszta, poznałem w nich twórcę tylu pięknych płodów w różnych rodzajach narodowej poezyi; młodszy jesteś odemnie, ogień wieszczy jeszcze w całej mocy odezwał się przez twoje poprawne i gładko brzmiące pióro Ja w moim sędziwym wieku już stygnę, już gasnę, i nie raz sam z siebie się śmieję, gdy spozieram na mój literacki warsztat i zasnutą na nim osnowę do poematu bohaterskiego; nawykłość do pracy i myślenia ciągle na nim przędzie, już się nabazgrało 10 pieśni, gdyby Bóg pozwolił jakich parę lat życia i ognia w popiele zimnym tlejącego nie zagasił, możeby się dokończyło; ale czyż dosyć jest napisać i dokończyć. Odczytanie, osądzenie, uporządkowanie. ogładzenie, więcej i mozolniejszej pracy potrzebuje, aby z tych cząstek pojedynczo wyrabianych mógł się utworzyć jaki taki posąg, zachowujący proporcyę i harmonię sztuki. Gdzie pomoc? gdzie rada zdrowa? gdzie bezstronna i surowością swoją przychylna krytyka? Ty szanowny mój łaskawco jesteś daleko i nie bywasz w tych stronach. Tybyś był pierwszy, któremubym powierzył, na któregobym się spuścił i według którego uwag chętniebym mazał, a może nawet spalił. Morawskiemu czytałem, a raczej sam czytał; on mnie zachęca, lecz ja surowszego wolę krytyka; gdzież go szukać w królestwie? wszyscy nam współcześni w grobie. Do Kruszyńskiego pisałem; lecz mój list zastał go na śmiertelnem łożu. Nie był on poetą, lecz był doskonałym rymotwórcą i wybornym klasycznych poetów tłumaczem, był uczonym i dobrze uczonym, a zatem mniej śmiałym. Młodość tylko i głupstwo są zrozumiałe i śmiałe. Jeżeli Władysław Bielski odwiedzi mnie, jak się obiecuje, przeszlę ci niektóre wyjątki Czarnieckiego, szczególniej odwiedzenie grobów przez Karola Gustawa, abyś łaskawie porównał z miej-

scowością, położył swą krytykę, poprawił gdzie znajdziesz potrzebę. Straciliśmy w tym roku wspólnego przyjaciela Józefa Krasińskiego; nie spodziewałem się nigdy, że mnie do grobu uprzedzi . . . szlachetnym uczuciom i prawidłom honoru narodowego nigdy nie ubliżył, i pod tym względem zacny wzór dzieciom w spadku zostawił. Żałuję go mocno, żałuję zacnej pani Józefowej, tak przykładnie przywiązanej do niego, i radbym wiedzieć, jak jej się powodzi. Miał on w zbiorze swoim pamiątki zeszłych czasów, ręką Sokołowskiego robione, mające dwojaką cenę, i z ręki tego utalentowanego rysownika, i z osób składających podówczas towarzystwo, z których wielu zasłużyło żyć w potomności. Jest w tym zbiorze żywy Osiński, Morawski, Turno, Wyleżyński, Linde, Marcinkowski, nawet i mnie tam przyczepiono; szkoda, żeby to zaginęło. Jeżeli młodzi panowie nie przywięzują do tego zbioru ceny, nie możnażby od nich dostać? Jeżeli zachować pragną, nie możnażby przynajmniej niektórych przelitografować, chętniebyśmy na to poświęcili składkę, gdyby tylko dla samego Marcinkowskiego, którego dziwotworne płody i tyle dowcipnych satyr na nic, tylko jego postać i fizyognomia tak pyszna, buńczuczna i zadowolona z własnej głupoty wytłumaczyć może potomnym, ile razy żałował Niemcewicz, że Bielawskiego portretu nie zachował. Potomni gdy czytać będą z politowaniem tyle teraźniejszych bredni, jakże będą wdzięczni tylu twórczym geniuszom, że na dziełach swoich umieszczają swoje portrety, ledwie nie z napisami: Ecce homo! Czytam w gazecie francuzkiej o śmierci Antoniego Ostrowskiego; znaliśmy go dobrze obydwa, kolegowaliśmy z nim kilkakrotnie; Francuzi nazywali go jedną z illustracyj polskich. Widziałem portret jego w centuryi wielkich ludzi, wybitych w Paryżu obok Kniaziewicza i Kościuszki; równają go z Lafaietem. Czemże jest historya przez społecznych o współczesnych pisana? potargają potomni te zwodnicze sidła, na ich dobrą wiarę zastawione, możnaż będzie powiedzieć:

Potomność w nierozsądku nie wpadnie sromotę,
By czciła bohaterów wielkich za dwa złote.

Vale et me ama

K. Koźmian.

Kraków, 29 grudnia 1845.

Zacny, poważny cnotami, zasługą i wiekiem kolego, a gdy tego dozwalasz, dodam z czystem sumieniem — przyjacielu!

Rozradowałeś me serce odezwą twoją z d. 20 b. m. i r, dotknąłeś biegłą twą ręką struny, która na pociechę mej starości dźwięk luby wydała. Stanął natychmiast przed oczami mojemi poczet mężów, śpiących już w grobach, a między nimi dojrzałem letniego śpiewaka naszej ubogiej ziemi. Uczył on nas i przyszłych następców, jak ją uprawiać i kochać; a ci, co pałali silnem uczuciem dla cnoty, słuchali bacznie słów jego i ryli w swojej pamięci te dźwięczne rymy, które powtarzać będą wnukowie. Przeszły te czasy, tak jak przejdą dzisiejsze, a gdy się obejrzym do koła, czemużbyśmy sobie powiedzieć nie mieli, że z owych mężów, którzy usiłowali pracować dla innych, już tylko *nos duo turba sumus.* Im nas mniej pozostało, tem niezłomniej trzymać nam się potrzeba. Dlatego wypraszam sobie chwilki wolniejsze od ciągłej pracy, przy której śmierć nas zastać powinna. Pochlebiam sobie, że nie odmówisz prośbie dawnego kolegi. Może nasze ostatnie słowa będą miłą dla następców spuścizną. Ja zawsze gotów do odpowiadania na tak pożądane i pocieszające odezwy.

Że moja ostatnia z dnia 15 lipca tak późno doszła rąk twych szanownych, sprawiło uprzejme oświadczenie jednego z naszych rodaków, udającego się z Krakowa w Lubelskie. Przyrzekł on ją sam wręczyć w Piotrowicach. Snać nie mogąc dotrzymac, powierzył ją późno poczcie, która podobno najlepszą nam będzie drogą do dalszych związków listownych, jeżeli na takową zasłużę. Nie przeto zrzekunę się snadno tego, co mi przez Władysława Bielskiego przyrzekasz; owszem dopraszam się mocno o rychły skutek tej obietnicy, na którą szczerem sercem odpowiem. Kto wie, czyli dożyję objawy poematu twojego, niech więc go poznam, chociaż w niektórych wyjątkach. Znasz mię od lat 30. Może zbyteczna szczerość w mem zdaniu sprawiała, że całe życie spędziłem sam z sobą. Lecz to, co jest dla mierności straszliwe, sąd zdrowy — tego się nie ulęknie twe pióro. Ludźmi jesteśmy. Jakże jest pożądana dla

prawych chęci z prawego serca i sądu przestroga? Widzę, żeś jej pożądał, kiedyś jej szukał od Kruszyńskiego, nie mogąc znaleźć gdzieindziej. Pogasły przed oczyma naszemi nawet pomniejsze gwiazdy, co przyświecały niegdyś na zaciemnionem niebie literatury ojczystej. Nie wszystkim czas obecny wymierzył sprawiedliwość, na którą nigdy prawdziwa zasługa oglądać się nie powinna. Tak było i dawniej. Dlatego jeden z wieszczów napisał:

„Patrokl w piasku legł pod Troją,
A Tersyt do domu wraca!“

Lecz ci, co się czują na siłach, *iż służąc poczciwej sławie*, mogą dorzucić ze swej strony jakie ziarnko do budowy gmachu ludzkości, patrzą bez zawiści na wyższe od swoich zdolności, podają im ochotną rękę, i cieszą się z ich objawu, bo im o rzecz idzie, nie o to, kto ją przed sądem świata prowadzi. „Ciesz się (rzekł gdzieś tam Szyller), że pieśń z niebios pochodzi, że ci wieszcz pieje, tak jak go muzy natchnęły. On jest szczęśliwy; ty bądź uszczęśliwionym.“

Nie tak postępują dzisiejsi. Nie obwiniam ja wcale złego ich smaku. Smak bowiem jest wynikłością każdej indywidualności, My barszcz wolimy na zupę, Niemcy wodziankę. Szczęść Boże! ja wolę zostać przy swojem. To tylko dolega, że dzisiejsze pokolenie obrzuca błotem tych, którzy są jego ojcami. Wszak dzień wczorajszy jest dzisiejszego rodzicem, a w najdawniejszem prawie pisanem jest zastrzeżona kara okropna dla tych, co uchybiają czci rodzicom należnej. Dlatego niedojdą oni starości, bo ciężyć będzie nad nimi grzech wielki czyli raczej przekleństwo! Z rozlicznych sporów pismiennych, które nam powódź obecnych czasów naniosła, wykazuje się jasno, że tym panom chodzi jedynie o formę. Ale ten garncarz, który ulepić zdoła okrągłe naczynie, potrafić zdoła i owalne ulepić. Tu o to idzie, co w garnku. Gdy mi podadzą nawet z etruskiego kubka letnią wodę, ja dawnym obyczajem przechylę się na stronę wina, choćby je z zapleśniałej podano butelki. Gdy się objawił autor Grażyny i tylu innych tak znakomitych płodów, ja nie trzymałem z Osińskim, który je dla obcych sobie kształtów wyszydzał. Lecz oswojony z obcemi płodami, nie widziałem w naśladowaniu Anglików i Niemców tego ro-

dzimego złota, którego odkopanie przyznane mu było od całego pokolenia młodzieży. Więc formy greckie i rzymskie mają pójść na ogień wieczny, a gotyckie znane zkądinąd i zinąd piękne mają jedynie górować! Niech i tak będzie, kiedy to smakowi wieku dogadza, a teraz poszukajmy panowie i w tych i w owych treści! Patrzmy wszelako na skutek! z owego motłochu piszących, jedno tylko imię na wierzch wypływa. Inne znakomite i świetne, znane od swoich i obcych. Niech się tem mierność nie pociesza, że dziś blask jego zgasiły nieco śmieszności, których się uchwycił M., że mu uwłoczą opaczne sądy, które na wielu naszych pisarzy w swoich objawił prelekcyach. Poeta nie będzie nigdy dobrym retorem. Tę rolę podrzędną zostawić należało innemu. Duma, którą się wyniósł nad innych, oślepiła człowieka. I nie dziw — wszak ona strąciła z nieba aniołów. Dziś drugie imię wzżej jeszcze i świetniej jaśnieje. Że po tych, którzy poprzednio pisali, jawią się gwiazdy wyższego rzędu, to tak być powinno i musi. Syn być powinien w swym czasie mędrszy od ojca. Lecz gdy pogardzi tym, od którego pochodzi, Bóg go ukarze i zamieni w Famulusa jednego wizyonaryusza — że nie powiem oszusta.

Zawstydziłeś mię tem, co mówisz o zacnym, prostym, cichym i poczciwym Brodzińskim, że on nam jeden sprawiedliwość wymierzył. Ja o tem nie wiem bynajmniej Unikałem przez całe życie poznania sądu współczesnych o sobie, bo ten nie do nich, lecz do potomnych należy. Według mojego mniemania, pisarz wtedy dopiero może być ocenionym jak się należy, gdy jego zwłoki złożą na mary. Już on natenczas nie posunie wyżej swoich zdolności i nie sprostuje swych błędów. Niech jego sędzią będą cokolwiek cierpliwi; przyjdzie ta chwila, a wtedy niech piszą swoje wyroki sine irra et studio.

Stoją już pod tym sądem nasi koledzy, Ostrowski i Krasiński. Na pierwszym jest przykład widoczny, jak małym kosztem można zostać wielkim człowiekiem. Lecz gdy mowy pogrzebowe przebrzmieją, skończy się na tem, co ktoś w dobrym przypadku napisał: „Zadzwonili — zakadzili — zabeczeli — zapomnieli.“ Bliższe stosunki łączyły mię z poczciwym Krasińskim, byłem mu prawie spółczesnym, poglądałem zbliska na jego chwile ostatnie; śmierć jego żywo mię dotknęła. Nie wszedł on do centuryi polskich znakomitości, a może więcej

od innych na miłe wspomnienie zasłużył, bo wielu dobrze, a nikomu nic złego nie zdziałał. Wdowa po nim spędza dni w grubej żałobie. Nie jestem dotąd pomiędzy tymi, których przyjmuje. Ale mam liczne z tą rodziną stosunki, ażeby z czasem owego rysunku Sokołowskiego, o którym wspominasz. Jeżeli oryginał musi dla następców pozostać między zbiorami ojca, postaram się rychlej czy później o kopię, i tę przez pewną sposobność do Piotrowic przesłać nie omieszkam.

Niech żyje i odradza się w pieniach twoich nasz dzielny pan Stefan, pracuj szanowny przyjacielu ciągle i żwawo, nad zostawieniem potomnym tego wielkiego a może jednego w dziejach polski obrazu. Skończysz go pewnie, bo Bóg błogosławi szlachetnym zamiarom. Co tylko możesz udziel z twego poematu temu, który może ci nie stanie do rady, tak jakby to zdziałał Kruszyński; lecz dopełni twej woli szczerze i z serca, tak jakby mu o własne dzieło chodziło.

I ja podobnie tobie (ale nie śmiej się proszę) jestem bliski ukończania dramatycznego obrazu pod napisem: Bezkrólewie. W nim chcę wystawić ów moment tragiczny naszych dziejów, gdy po wygaśnieniu Jagiellońskiej rodziny zeszła dla Polski tak zwaną złota wolność wybierania królów; w nim się okazuje po raz pierwszy na obszerniejszem polu owa walka i znakomita figura Jana Zamoyskiego; w nim odgrywa rolę niepoślednią już rozzuchwalona szlachta, której niestety Jan Zamoyski tak nieszczęśliwie wówczas dotuszył. Cztery (nie śmiem powiedzieć akty) niechaj więc będzie części, są już pogotowiu. Idzie mi jeszcze o piątą, która usnuta w głowie, czeka sposobnej pory, by się na papier wylała.

Nie przyganiaj zatem twojemu listowi; nazwałeś go długim, ten który masz przed sobą, przeszedł podobno zwykłej odezwy granice. Niech mię wytłumaczy dawność stosunków, pochopność przedmiotu i zwykłe starym gderalstwo.

Vale et me ama

Fr. Wężyk.

Piotrowice 20 stycznia 1846 r.

Szanowny mój dawny kolego — a dozwól dodać łaskawy na mnie przyjacielu! — Jeżeli moja odezwa sprawiła niejaką twemu zacnemu sercu przyjemność. Ileż mi twoja nie przyniosła radości i rozkoszy, czytając ją i odczytując, uczułem się w dawnym moim żywiole, ujrzałem się otoczonym atmosferą tego wszystkiego, do czego przez pół wieku nawykłem, a czego zgłodniały umysł ku pokrzepieniu mojej starości potrzebował. Dzięki więc ci — dzięki tysiączne i najserdeczniejsze uściśnienia, — że twoje pióro nie ograniczyło się na jałowej odpowiedzi, nigdy do mnie zadługo napisać nie potrafisz, choćbyś nawet Dziennik twego życia w listowną przelał rozmowę. Nie mniemaj, abym ja zaślepiony w moim domowym zaciszu nie chciał, lub zaniedbał wiedzieć o tobie, pierwsze moje pytanie do przybywających z Krakowa było o ciebie; nadto drogie długie i może nieco pochlebne wspólnictwo pracy łączyło nas z sobą, aby z nbiegłemi czasami wspomnienia tak ścisłych, a dla mnie zaszczytnych związków z prawego serca wygasły — o prawym mężu, o znakowitym pisarzu, o autorze Glińskiego i Władysława bez występku i ubliżenia sobie zapomnieć niepodobna. I dzisiaj nawet acz oddalonych, połącza jednakowość uczucia, przekonania, sądu, cierpienia i ubolewania, nad obłąkanym plemieniem, milczymy, bo rozsądek i uczucie własnej godności nie każe się narażać na szarpaninę drobnych szczeniąt wychowanych w złości i zajadłości, rozdraźnionych nieudolnością, z którą na wszystko dawne szczekają. W tem samem źródle widzę ja początek ochydy literatury naszej, w jakiej i ty go uzierasz; młodzież pod okiem naszem wychowana uniesiona bałwochwalczą czcią dla litewskiego fałszywego bożyszcza wyssała z pism jego, niestety talentem nacechowanych, truciznę dla moralności, dla poezyi, dla literatury, — skazała sławę narodową, targnęła się na groby ojców, na świętość pomników naszych, i ojcobójczą rękę na swój ród podniosła.

Chociażby mistrz tej zabójczej szkoły wyszedł ze szpitala szalonych, do którego wtrąciła go jego *Insana rabies i fanaticus Error,* nie potrafi on już naprawić tego, co nabroił, stracił katedrę literatury słowiańskiej, nie mogąc być użyteczną dla plemion tego rodu — obłąkał obecne plemię, a może i pó-

źne jego pokolenia, bo jakkolwiek drogí przyjacielu, wskazujesz mi jakieś o nim nadzieje, jakieś w nim gwiazdy, ja czytając ich pisma, widzę tylko trzaskające ręce, które naiskrzywszy gasną wśród dymu cuchnącej siarki, złe, a ztąd ulubione, że łatwe do naśladowania wzory, ponętne, bo pochlebiające pełzającej mierności, głębiej jak mniemasz zakorzeniają się, w młode a zarozumiałe umysły. Sama ta gwiazda, którą mi wskazujesz (Zyg. Krasiński), która istotnie czystym światłem połyska, lękam się, aby takiego wpływu nie wywarła. Znam ja tego prawdziwego geniusza wielkie zalety, oceniam wartość, czucia uwielbiam, umysł i naukę podziwiam, przecież ten jeniusz tak uczony a tak skromny, który się tak doskonale zna na piękności, widzi ją, wynajduje w obcych pismach, i unosi się nad nią, czyliż nie zasługuje często na zarzut, Video meliora proboque deteriora sequor, może to jest skutek dysharmonii, między mdłym ciałem a silną duszą, między umysłem a sercem; może kiedy pisze słabe ciało gorączka w nim pali, a natężenie nerwy rozstraja, kiedy w poezyi trzeba czerstwego ducha i zapału umysłu, a nie gorączkowy krwi, która ten umysł osłabia. Czyż Szekspir nie namnożył u nas bazgraczy, gdy się do jego naśladowania żaki szkolne rzucili, geniusz tylko może walczyć z geniuszem. Ty pierwszy byłeś kochany przyjacielu, coś ziomków twoich z uprzedzenia wywiódł, i zacząłeś obznajmiać ich z klasycznemi pięknościami temi, nieklasycznego a jednak wielkiego poety, ale do tego zawodu przystąpiłeś z silnym umysłem i wytrawionym smakiem; i powiodło ci się szczęśliwie, boś rozprzestrzenił formy, a pięknościami ich napełniał, a nigdyś prawideł zdrowego rozsądku i czystego smaku nieobraził, z tobą i jabym do tej szkoły chętnie przeszedł; bo jak słusznie nie idzie o to jaki garnek, ale co w garnku, przeszedłbym, gdybym w sobie czuł zdolność do dramatyki, a dawne nawyknienia nie stały się nałogiem. Ale na bok poezya, powiedzmy sobie, że barbarzyńcy napadli Parnas i rozpędzili nadobne muzy, wprowadzili Sybille z najeżonemi włosami i z wykrzywionemi aż do wstrętu patrzących twarzami podobniejsze, do opętanych szatanem jak do natchnionych Bogiem. Jeżeli w religijności szukają natchnienia, apokalipsis stało się ich hipokreną.

Mieszkając w Krakowie czytujesz pisma peryodyczne na przestrzeni naszej wychodzące, Romanse, Powieści, Humorystyki i t. d. Co powiesz o wyborze przedmiotów, o języku, o stylu, o sztuce pisania, o duchu. Ja z początku wszystkie trzymałem jakie w Warszawie wychodziły i wychodzą, teraz żadnego nie trzymam, bo żółć we mnie burzyły, szczególniej artykuły, przez obojej płci Pseudo Heglów, i Pseudo Szelingów umieszczane, co o nich myślę wylałem w liście do Lindego; wzywając go, aby nowy tom wyrazów dla swego słownika dodał dla ułatwienia nam zrozumienia tych mądrych rozpraw, prosząc, aby pismo moje odczytawszy schował lub spalił, przeląkł się i wiernie mi dotrzymał słowa. Przyślę ci to pismo przez Władysława pod tym samym warunkiem, bo nie chcę, aby moje sędziwością okryte ironie, obrażona surową prawdą prostacka zarozumiałość, po bazgraninach swoich, zbezczeszczała, ztyrała. Przyślę ci całą pierwszą pieśń Czarnieckiego, i z ilu będę mógł pieśni wypisy ze spójnikami prozą, dla zrozumienia całości. Uprzedzam cię szanowny łaskawco, że jeżeli w tym poemacie znajdziesz nieco starożytności, znajdziesz więcej starości. Zacząłem jak Wirgiliusz, trudny to zawód przy nim się utrzymać w moim wieku i z mojemi zdolnościami, jednak nabazgrało się 10 pieśni, dwie zostają na warsztacie, syn mój, mój, Morawski i Zygmunt, wyrzucają mi naśladowanie rzymskiego poety. Odwołują do świeższych form, bronią najmniejszego mitologicznego wspomnienia, pozwalam wymazać to wszystko, jeżeli ma szkodzić efektowi, lecz jeżeli nie szkodzi a pomaga ścisłości wyrażeń, i oszczędza parafrazów, za co by nie miało zostać.

Szukam Tukki i Waryusza do tego pogrobowego dzieła, nie odmawiaj nim być wraz z Morawskim, podeprzyjcie wraz z synem chwiejącą się starca stopę w przechodzie do potomności, która się wkrótce dla niego otworzy. Obiecywałeś wierzę i trzymam za słowo. Zrażony przyjęciem przez narodową publiczność mego ziemiaństwa, może nie powinienem był brać pióra do ręki, — wziąłem, ale nie dla obcego plemienia, — wziąłem zachęcony obcym sądem. Pochwalę się przed tobą, że wyszła w Londynie recenzya zbyt dła mnie pochlebna mego ziemiaństwa z obszernemi wypisami tekstu, wybornem wierszem angielskim tłumaczonego; ten co tłumaczył Anglik, nauczył

się po polsku i z pomocą Polaka, chce przez całkowity wykład zaznajomić swoich ziomków z gospodarstwem polskiem i poezyą; i ciebie to czeka, lub może spotkało; obcy ci hojniej oddadzą sprawiedliwość niż swoi; zakreśli nas do nienarodowych pisarzy wspólnie z Krasickim, Naruszewiczem i t. d., dziękujemy im za to; dum ridant stulti vitia in Contraria curunt.

Czyliż to narodowemi są te powieści, te romanse antyhistoryczne, któremi zarzuceni jesteśmy, w których jak na przekorę świadectwu historyi wydobywają obyczaje. zwyczaje, charaktery fantastyyczne, jakich nigdy nie było w ziemi polskiej, mięszają ignorantia Supina, epoki, czasy. nałogi, przesądy, o cnotach i zaletach ani wzmianki; ochydzać szkalować uwłoczyć przeszłości stało się godłem teraźniejszego plemienia. Czytałżeś Magnuszewskiego *Spisek Piekarskiégo* do którego Chodkiewicza wciągnął; czytałżeś Kobiety polskie w trzech epokach, w których Żembocka, Barbara Radziwiłłowna i Grabowska są wystawiona najobrzydliwszym i bezwstydnym piórem jak trzy tłuki z Nalewek; czytałżeś romans Czajkowskiego pod tytułem Czarniecki, w którym Tetera kozak jest bohaterem gaszącym męstwo rycerzy polskich, za którym wzdychają wszystkie dziewice, a Lanckorońska hetmanowna włóczy się za nim z żydem furmanem i bufonem szlachcicem po nocy sankami; coby na to powiedziała nasza najzacniejsza kasztelanowa Połoniecka. Czarniecki w tym romansie pilnuje dworu, intryg fraucymeru Maryi Ludwiki, synowcowie jego bawią się, skaczą, a Tetera laury zbiera. Ale drogi przyjacielu, kiedy ja się tak jeszcze z moich uczuciów i z mojego przekonania tłumaczę i spowiadam, nie przebaczaj mi i zgrom jak surowy spowiednik, jeżeli jestem w grzechu lub błądzę, kiedy ci się powierzam z mojemi ramotami, bądźże wzajemnym jak przyrzekłeś i pospiesz się z udzieleniem mi twojego utworu, o którym mi piszesz, niech się nim uraduję, ukarmię, nasycę, niech mój umysł odświeżę, pióro naprawię i ukrzepię jak ów prosty żołnierza oręż na Maurycego tarczy; obrałeś bardzo ważną i godną twego umysłu i pióra epokę, dostarczy ci ona kolosalnych figur do akcyi; sama figura Jana Zamoyskiego, sama sobą wyobrażająca gminowładną anarchię szlachecką i dumę możnowładzcy, wielkie zalety i wielkie winy, wielkie zasługi i wielkie błędy wielkie zwycięztwa nad nieprzyjaciołmi i gor-

szący opór królewskiej władzy, wielką sławą i wielkie dla kraju nieszczęścia. Epoka ta pomieszanej świetności z ohydą, pod czyjem piórem, jak pod twojem pomyślniej rozwiązać się potrafi. Czekam, czekam z utęsknieniem tego karmu dla mego zmysłu, lecz i o drugi dla mego serca się upominam; obudziłeś w nim marzenie, że mnie kiedyś odwiedzisz, coby to była za pociecha, za radość dla starego twego przyjaciela, wziąłbym kielich w ręce, znalazłaby się jeszcze jak niegdyś u Orzechowskiego jaka spleśniała butelczyna i jego tirbuchon, jak on zatrzymałbym dech w sobie, aby ją z czarnej pleśni nie odmuchnąć, i zawołałbym wychylając: *recepto dulce est mihi furere amico,* a potem wsadziłbym drzewo na pamiątkę między już rozłożyste jakie tu mają w ogrodzie moim Julian Sierakowski, Osiński i ci wszyscy, co starego rymokletę raczyli odwiedzać w jego ustroniu, patrzy na nie kląb dla mojej rodziny sadzony, rosną drzewa, krzewiny reprezentujące może dzisiaj i moje wnuki, łączą już z niemi i swoje konary i swoje prątki, a tak się utrwala pamięć moich zaszczytów, które zmordowany życiem publicznem do zaciszy domowej uniosłem. Zbyt pochlebnie, zbyt dowolnie opisali ci moje ustronie poczciwy Władysław i zacny młodzieniec Norwid, którego tu wszyscy wraz z tobą pokochaliśmy; cieszę się, że swój talent wykształcił na ziemi klasycznej, stanie się znakomitym równie dłutem jak piórem, jeźli się dobrze o czem nie wątpię, w nieśmiertelne wzory wpatrzy. Chcesz mieć wyobrażenie mojego zacisza, znajdziesz go w ziemiaństwie mojem; skromne, ciche w nim com kreślił to praktykuję wieszże szanowny przyjacielu, że mnie nawet Sebastyan Badeni w tym roku odwiedził umyślnie zjechał z Warszawy, aby z starym przyjacielem ojca odświeżyć pamięć jego, nagadaliśmy się wiele o przeszłych rzeczach, ileżbyśmy się nie nagadali, ileż sobie nieprzypomnieli, ile niepoufali, gdyby mnie to szczęście od ciebie spotkało, lecz to podobno między moje sny i marzenia policzyć muszę, kiedy i twoje zdrowie się nachyliło, kiedy ci nie pozwala odleglejszych przedsiębrać podróży i kiedy tylko raz w roku odwiedzasz rodzinę swoją na Podlasiu. I ja od kilku lat nie wyruszam się z domu. Cierpienia które mnie czasami boleśnie nawiedzają, przykuły mnie do miejsca; Morawski powiada, że nie na kamień choruję, ale kamieniem siedzę; szczęśliwszy

odemnie kochany przyjacielu żyjesz w swobodnem miejscu, obcujesz z uczonymi, masz biblioteki, książki, masz wszystkie żywioły, wszystkie jakie mieć można w tych czasach przyjemności towarzyskie. Ja się ograniczam towarzystwem młodej rodziny i starych książek. Odwiedzają mnie czasem sąsiedzi, zacny Jł. Rochland wasz Krakowianin, Stadnicki, Juliusz Dłuski, oświecony proboszcz ex Piar. Baranowski, czasem pani Rzewuska i Jezierska. Oto całe moje towarzystwo, koresponduję jedynie z Małachowskim, z Kosińskim, z Krasińskim, z Kopeckim, a za każdym rokiem czuję, że samotnieję, nie żal będzie umierać, obejrzawszy się na ubytek tylu przyjaciół, żal tylko będzie zostawić poczciwą rodzinę. Z tego długiego i chropowatego listu wnieś szanowny łaskawco, czy mi jest miło rozpocząć, czy będzie miło prowadzić z tobą korespondencyą, pisuj ile ci czas i sposobność pozwoli, precz inne wszelkie doniesienia, proszę wiadomości o sobie o literaturze, to nas obchodzi, o tem rozmawiajmy.

Vale et me ama.

Kajet. Koźmian.

Czy mi jest miłem, czy pożądanem na pociechę starości to obcowanie listowne z tobą szanowny mężu niech cię przeświadczy moja skwapliwość z jaką się biorę do opisu na odezwę z dnia 20 b. m. i r. Odebrałem ją przedwczoraj i po jej dwukrotnem odczytaniu długo nie mogłem użyć spoczynku; śnił mi się nawet nasz Stefan. Widziałem go chodzącego po tem mieście w którym rozwinął całą tęgość swego dzielnego umysłu. Tu on rozważał bacznie jakiemi środkami ma dalej popierać upadającą już sprawę, ztąd on przekonał dumnego Szweda, że nie mury zbawią sprawę: lecz ludzie, że wypuściwszy z nich jednego męża musiał sam z czasem swę zdobycz na którą tyle się sadził, uronić.

Myślałem następnie nad krótkiemi zanadto któreś mi raczył udzielić wyjątkami i dziś już zacznę to do czego mię wyzywasz; to jest uwagi. Możebym zdanie młodych podzielił, co do porównania Czarnieckiego z Hektorem.

Kto wie czybym zaczął od tego „Muza śpiewam i t. d.“ czyliż mowa potrzebuje zawiadamiać słuchacza że mówi? Czyliż tak trudno zdobyć się temu co już 10 pieśni ma w pogotowiu na zwrot inny, nie tyle otrzaskany i rzeczywiście zaśpiewać bez ostrzegania o tem że śpiewa. Otoż początek tego zawodu do którego mię wezwałeś. Może to są uwagi za wczesne przed poznaniem całego dzieła, może je cofnę z czasem, może powiesz z Krasickim; „I wasze zmodniał Ojcze Bonifacy,“ przecież winienem to był najszczerszej mej chęci, i obowiązkom względem dawnego przyjaciela i kolegi. Wątpię czy się zarówno wywiążem z Morawskim z włożonogo na nas obowiązkn. Ja byłem zawsze z innej parafii. Szacuję wielce jego zdolności, czytam z przyjemnością wydane i nie wydane pisma, lecz zdania jego zwłaszcza o współczesnych są podległe zmianom, a jeźli i dobre które tkwi w ludziach nie od nic, lecz z góry pochodzi, nie czuję w sobie wygórowania owej zdrożności o której tak pięknie wyrzekłeś·

„I tę zazdrość polskiego rodu wieczną wadę.“

Tego nie umiałem pojąć, zwracając uwagę na rzecz nie na ludzi co ją objawiają. Kto lepiej odemnie rozwiązał zagadnienie sztuki, temu ja cześć należną oddałem. Jeżeli on to wziął do siebie to wielka szkoda. Bo je w nim tylko złożyłem hołd Stwórcy, który go ukształcił na pociechę ludzkości. Narzędzie zawsze zostanie narzędziem, kiedy się rozpływamy nad pieniem słowika, wielbimy Boga nie szarą i niepozorną ptaszynę.

Podzielam zupełnie twe zdanie względem większej części dzisiejszych piśmideł. Czajkowski, którego tak głośno wielbiono mało ma tchu na powiesci większego rozmiaru. Dość mu się udały powieści kozackie. Okrzyknięto go znakomitym pisarzem. Uwierzył temu i wiele tomów nabazgrał, a zapieczętował swą nieudolność Czarnieckim. Nie można czytać tego romansu bez wstrętu, przebaczając nawet obrazom języka! Lecz jego płody wylęgły się na obcej ziemi i pod wpływem zupełnie fałszywych wyobrażeń i zasad. Cóż powiesz o Kraszewskim, który nas w kraju swojemi niedojrzałemi płodami zarzuca? Niech sobie pisze na kolanie powieści i obrazy dla księgarzy, którzy muszą mieć ponętne nowości na kijowskie kontrakt. Jest to spekulacya tak jak są inne, gdzie najczę-

ściej chodzi o złudzenie tych co mają ruble ze strony tych co z nich korzystać pragną. Lecz czy się godzi pisać poemata nibyto epiczne, z taką wzgardą powszechności, z taką lekkomyślnością, że się zdaje, iż autor sobie zamierzył napisac niedorzeczność umyślnie, która przecież znajdzie swych chwalców? Coby powiedział Kopczyński na tę poniewierkę ojczystej mowy, któraby była nieodpuszczoną nawet w studencie. Wytknął mu nie dawno *Tygodnik Petersburgski* wszystkie wady stylu — wszystkie w ojczystej mowie usterki — wszystkie kumunały i powtarzania, któremi swe ostatnie poema „Witoldowe boje“ przepełnił, ale ta krytyka jeszcze mi się zdaje łagodną. A przecież świat cały uważa i uznaje K. za wielkiego pisarza, mogą mu pewnie tę zaletę przyznać fabrykanci papieru, nikt bowiem więcej go nie zabazgrał bezkarnie.

Jeżeli zwrócimy uwagę do dawniejszych czasów, było to i przed nami, było i w naszej epoce. Ksiądz Dmochowski założył u Pijarów szkołę rymotwórców, podawszy im za kodeks swą rymotwórczą sztukę.

„Lecz w sztuce niebezpiecznej odlewania wierszy,
„Ten musi być ostatnim, kto nie będzie pierwszy.“

Z tej szkoły wyszedł tłum wierszorobów i wierszokletów, jak z jakiego znakomitego warsztatu. Najcelniejszym w tej tokarszczyznie okazał się Feliński. P. Jan Tarnowski, jako siostrzan Czackiego, przyznał mu palmę poety. Zgłębiwszy jego pisma, cóż w nich znajdziem na pociechę prawdziwego bóstwa poezyi? Oto czystą wodę zaprawioną malinowym sokiem, piły ją z roskoszą nasze piękne i niepiękne panie, rozpływał się nad nią stary wierszoröb Wyszkowski. Dziś już inne zdanie przeważa, bo przyszedł wiek wymagający czegoś więcej, jak słów pięknie ułożonych. Ale nikt z ówczesnych nie ważyłby się targać tak jak dzisiejsi na czystość i powagę języka. I w tem leży prawdziwa naszych pisarzy zasługa. Mówiąc o Szekspirze, przywiodłeś mi na pamięć mój los pośród współczesnych. Gdym się ośmielił w poważnem gronie Towarzystwa P. N. nadmienić o tym wielkim poecie, racz sobie przywieść na pamięć, jak byłem przyjęty z mem zdaniem przez areopag warszawski! Mam ja pod ręką piśmienne tego dowody. Poczytano mię za barbarzyńca, i tylko uprzejmość kolegów oszczędziła mi tego

imienia. Lecz było ono w zdaniu najpoważniejszych ówczesnych pisarzy. Gdym wracał do domu, nasłuchawszy się zdań tylu mojemu przeciwnych, młody natenczas i dość z natury nieśmiały, powiedziałem sobie: ja głupi. I to mię zwracało z drogi, po której nieraz miałem ochotę iść dalej. Cóż wywołał sąd opaczny o największym może poecie? Wstyd jest, ale pomiędzy sobą powinniśmy mówić otwarcie. Oto zupełna nieznajomość literatur obcych narodów. A przecież i one miały znakomitych, a może znakomitszych od naszych pisarzy. Pan Ludwik wystąpił na katedrę literatury ogólnej, znając jedynie rzymskich i cokolwiek francuskich pisarzy, nic on nie wiedział o Niemcach, Anglikach, Hiszpanach, a że ich nie znał, więc gardził, a przecież p. Ludwik długo stał na świeczniku warszawskim i ma w Piotrowicach poświęcone dla siebie drzewo. Taką to drogą i dawniej przechodzono do nieśmiertelności. A największy poeta naszych czasów co do pomysłów i duszy Staszyc, leży zapomniany na Bielańskim cmentarzu. Ale na to są dzieje, ażeby z czasem oddały sprawiedliwość prawnej zasłudze. Komu kadzono za życia, ten już dank odniósł i nie powinien żadnej czci wymagać dla swoich popiołów. Kogo to ominęło, może się od potomności tej dopomnieć nagrody [1]).

Słusznie oceniasz moje położenie literackie w tem mieście. Są na zawołaniu księgi, są tu i ludzie, z którymi można niekiedy o rozmaitych przedmiotach pogwarzyć. Profesor Wiszniewski ma wielki zapas wiadomości, które wykłada jędr-

---

[1]) Ziemiaństwo twoje wielkiby skutek sprawiło, gdyby wyszło na czasie. Długo na nie powszechność nasza i niecierpliwie czekała. Tymczasem zmienił się smak, a do niego musi się zastosować poeta, jeżeli chce być od obecności czytanym. Żałuję bardzo, żem się na starość dopiero zajął angielskim językiem. Nie brakło ochoty, brakło pamięci. Ciekawy byłbym, jak się wydaje polskie ziemiaństwo w tak odmiennej od naszej mowie. Wszakże twe dzieło zostanie na zawsze monumentalną pracą z tak wielu względów, i przyjdą czasy, że ją ocenią jak przystoi prawe serca i nieobojętni na rzadkie zjawiska sztuki rodacy. Ja nie mam pretensyi, by mnie tłumaczono na obce języki i nie wiem, czyby się to na co przydało. Dośćby mi było, żeby mię czytali i prawe moje chęci uczcili ziomkowie.

nym i pełnym obrazów językiem. W zacnym Kremerze mamy myślącą głowę i czyste bardzo zdanie o tem, co jest prawdziwie piękne. Ksiądz Jakubowski pijar jest kroniką chodzącą naszej literatury; można się śmiało do jego pamięci odwołać. I to jest dosyć na pociechę literacką w naszem ubogiem i małoludnem mieście. W końcu przeszłego roku odwiedził je Wincenty Pol, i dni kilkanaście pod moim dachem przepędził. Były to świątki istotne dla twego starego kolegi, poznał on z prawdziwą roskoszą tego pełnego talentu pisarza, który z pięknemi zdolnościami złote serce połącza. Odtąd jestem z nim w ciągłych stosunkach. Myśli jego, to iskry z niebios, a dźwięk wyrazów, muzyka. Ułożyliśmy wznieść na Wawelu pomnik dla Jana z Czarnegolasu, i już są niektóre materyały piśmienne ku temu. Gdy tu zjedzie p, Andrzej [1]), udzielę mu o tem bliższych wiadomości i pism już będących pod ręką. Racz go tylko nakłonić, aby swą drogę do Berlina tędy obrócił, niech na to zwróci uwagę, że dni starego są policzone. Kto wie, czyby mię zastał w Krakowie, jeżeli dopiero tędy powracać będzie do domu. Cieszyć się będę, wzdychając do tej chwili jego przejazdu. Ale długo czekać nie mogę, miło mi będzie podobnież zakomunikować moje poema. Lecz nie wiem, czy go można tak rozczłonkować, ażebyś dostał do twego wiejskiego zacisza stosownych do poznania całości wyjątków, pokazując rzecz całą synowi, pozwolę wybrać dla ojca to, co za godne tego osądzi. Całość zanadto jest obszerną, bo blisko trzy tysiące wierszy obejmie. . . . .

Fr. Wężyk.

Piotrowice 12 stycznia 1848.

Szanowny mój łaskawy i dawny Przyjacielu!

Wymawiałeś pochlebnie dla mnie i łaskawie synowi memu długie moje milczenie, wymawiałeś dług na ostatni twój list tak obszerny, tak łaskawy; mówisz mnie sam przed sobą, gdy

---

[1]) Andrzej Koźmian, syn Kajetana.

wspomnisz niedawno ubiegłe czasy, okoliczności, wypadki, które mi z odrętwiałej ręki wytrąciły pióro, a w których z Krakowa i do Krakowa ani listy, ani wieści nie dochodziły; pisałem do Małachowskiego do Końskich, pytałem się Pawła Popiela, nikt mi nie umiał powiedzieć z pewnością, gdzie się znajdujesz; jedni mówili, że we Wrocławiu, drudzy, że na wsi, a nie umieli powiedzieć, czy na Podlasiu, czy w Krakowskiem. Teraz kiedy wiem, że Kraków jest stałem twojem mieszkaniem, będę szukał przyjemności w rozmowie z przyjacielem, rady i pomocy u oświeconego i bezstronnego krytyka. Skończyłem, szanowny przyjacielu, mój zawód poetyczny Czarnieckim; czuję winę i w piersi się za nią biję, że po 70ym roku, bo szósty zacząłem, odważyłem się wiersze pisać, a raczej kleić. Zasnułem może na krosna zanadto obszerną osnowę; zapędziwszy się już, trzeba było kończyć, tak na mnie wołał Morawski, Zygmunt (Krasiński), syn, i nakoniec dobiło się do końca. Ale to jeszcze jest indigerta moles, jeszcze do tego posągu potrzeba dłuta, rylca, trzeba odcinać, wymazywać, przerzucać, ważyć części ogół. A tu nie ma nikogo, ktoby pomógł. Nowi pisarze całkiemby może zmazali, bo nie jest w ich duchu pisane; starzy jedni wymarli, drudzy, jak ty, Morawski, daleko. Trzebaby całe dzieło przepisywać, przesyłać, a tu nawet trudno o dobrego kopistę. Teraz trudnię się wyciąganiem treści każdej oddzielnie pieśni, aby łatwiej okiem i umysłem objąć po szczególnych ogniwach cały ciąg tego łańcucha, czy się dobrze spaja, łączy, czy części odpowiadają całości; wady wiersza, zaniedbania stylu, długości, niedostateczności łatwo znikną, byleby układ był bez wady i założeniu odpowiadało rozwiązanie; powiesz mi to szczerze po przyjacielsku, bez ogródki, stary jestem, krytyka mnie nie obraża, owszem szukam kwintilliuszów, coby mi powiedzieli: to zniszcz, tego nie umieszczaj, to niedobre, to niesmaczne, to fałszywe. Skoro więc te wyciągi ukończone będą, przyszlę ci je za pierwszą sposobnością i będę czekał twego sądu. Następnie przeznaczę ci jeden egzemplarz manuskryptu do ostatecznoj krytyki; długa to droga takiej narady, takiej krytyki; ale cóż robić, kiedy nie ma nadziei powitać cię w moim domu, a mnie już zakażano wyjeżdżać. W tych dniach spodziewam się Morawskiego na dni dziesięć, z nim więc najpierwej przepuścimy dzieło przez rze-

szoto, oddzielimy ziarno od plewy, i naradzimy się, czy podział uczynić na 12 pieśni, lub na 20 lub 24, bo niektóre pieśni są po 1200 do 1400 wierszy, a żadnej nie ma krótszej jak 800. Zdaje mi się, że krótkie pieśni milej się czytają. O co się jedynie obawiam, aby mi nie wyrzucano, że o ile mój bohater jest ideałem męztwa, cnoty wiary, miłości kraju, o tyle okazał się naród w owej epoce zepsutym, skażonym, przesądnym, ciemnym, niezgodnym, a co gorsza sprzyjającym nieprzyjacielowi przeciw własnemu królowi. Wiele rzeczy osłabiłem, lecz nie wszystko zataić mogłem; trudno było ukryć Radziejowskiego zdradę, Lubomirskiego dumę, Radziwiłłów zaślepienie, Koniecpolskiego przerzutność, Potockiego niedołężność, Sapiehy podwójność. Wszyscy byli o dwóch twarzach: jednę obracali na Karola, drugą na Kazimierza. Sam Sobieski wraz z zaciężnem wojskiem podpisał uznanie Karola za potektora. Jeżeli kto znajdzie, że zbyt wiernie kopiowałem historyę, mogąc wiele ukryć lub osłabić, niech się przejrzy w historyi owego wieku, a moje zwierciadło znajdzie jeszcze pochlebnem. Jeżeli historyi jedynie jest godłem, *sed incorruptam fidem professis unusquique sine amore et odio decendus est,* a do surowej prawdy nie jest obowiązany poeta, przecież musi on zbierać kontrasty i nie może omijać zdarzeń, które akcyę epopei czynią dramatyczniejszą, a charakter bohatera i zasługę jego robią wydatniejszemi i świetniejszemi.

Dołączam ci, szanowny przyjacielu, rozmowę matki z synem w epizodzie Byliny i opisanie skarbcu krakowskiego, sądź mię, krytykuj. Ale kiedy ja cię obrzucam memi ramotami, mam też prawo dopomnieć się, abyś przedemną odkrył, coś utworzył i co słusznie chowasz, *ne proicias vargaretas ante porcos*, wkrótce będzie wracał Władysław Bielski, któremu powierzam mój list; zasil więc umysł zgłodniały, odzywa się w nim smak do owych lepszych czasów, w których klaskano na teatrze Ilińskiemu Bolesławowi. — Cóż mówisz na te lamenta Warszawy nad stratą Dmuszewskiego, co o wspanialym pogrzebie, co o tylu nekrologach, co o Kuryerze z czarnemi obwódkami; myślałem, że jaki monarcha wszedł do grobu, o tempora, o mores! — Podobno w Krakowie zimują wojewodzianki Małachowskie. Jeżeli je widujesz, oświadcz im moją niezmienną przychylność, oba bywaliśmy w domu ich babki

i rodziców, oba wypijaliśmy dobre wino u Orzechowskiego; gdzie się to wszystko podziało, drogi łaskawco? znikło jak sen. My jeszcze wegetujemy na tej ziemi, złamani smutkami; jeżeli jest jaka pociecha, to tylko w jednej przyjaźni, zachowaj ją dla mnie, jak ja do zgonu zachowam szczere uczucia dla ciebie, uwielbienie dla twoich talentów.

Vale et me ama
K. Koźmian.

Przegląd Literacki.

Filozofia i Krytyka przez Karola Libelta. Tom I Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej. Drugie wydanie. Poznań 1874. Żupański, 8vo XXI i 248.

Żupański, niewątpliwie najzasłużeńszy z naszych księgarzy, któremu, zdaje się, lata nie ostudzają, lecz dodawają przedsiębiorczego zapału, obdarzył nas nowem dzieł *Libelta* wydaniem. Wielkie to na kilkanaście tomów obliczone przedsięwzięcie radośnie powitali miłośnicy naszego piśmiennictwa, a nawet ci, co do innej, niż śp. *Libelt*, szkoły należą i wręcz przeciwne polityczne, religijne oraz filozoficzne wyznawają zasady, wdzięczni są szanownemu wydawcy, że tyle pomników jasnego wykładu, a dobrego stylu, dotąd albo rozproszonych po czasopismach, albo nieznachodzących się więcej na półkach księgarskich, zbiera razem i na użytek oddaje powszechny.

Zabierając się do sprawozdania, jestem w nader trudnem położeniu. Nie mogę wspomnieć o filozofii niepospolitego myśliciela nie poddawszy jej krytyce surowej, bo tego zarówno cześć prawdy i miłości kraju wymagają. Ale znakomity pisarz już nie przebywa na ziemi, świadczyni jego bólów, prac i trudów. Właśnie brałem pióro do ręki, kiedy nadeszła wiadomość smutna o jego zgonie niespodzianym dnia 9 czerwca w Brdowie pod Gołańczą. Umarł opatrzony wszystkiemi pomocami, które kościół daje dzieciom swoim na drogę, gdy mają rozpocząć ostatnią pielgrzymkę. Zostawił wielki żal po sobie, bo dobry to był i prawy obywatel. — Długie jego życie było nieprzerwanem poświęceniem się na usługi kraju, bliźnich, i prawdy. — Oczywiście tak znakomita i wszech-

stronna postać, domaga się w nagrodę trudów swoich, gruntownej biografii, której jednak w tej chwili nie można napisać, bo niedostaje licznych, dotąd nie zebranych dokumentów, o ruchu narodowym po roku trzydziestym. Ale nawet monografii filozoficznej skreślić nie można przed wydaniem prac wszystkich zmarłego autora. Bo jakkolwiek pięć tomów dotąd ogłoszonych obejmuje celniejsze jego utwory filozoficzne, liczne jednak rozprawy naukowe, dotąd nie zebrane (a wiadomo, że aż do śmierci ciągle coś drukował) niewątpliwie uzupełnią lub wyjaśnią niejednę z jego zasad filozoficznych. Takiemi to skłoniony względami, postanowiłem pojedyńcze tomy przechodzić zosobna, nie zastanawiając się nad ich związkiem z całością Libeltowego systemu lecz pobieżnemi uwagami, rozbierając wartość niektórych ich twierdzeń. Dzisiaj zdam krótką sprawę o tomie pierwszym.

Jest to jakoby wstęp krytyczny do całego systemu, w którym autor oceniwszy, co przed nim zrobiono we filozofii, dowodzi potrzeby pracy nowej, nowego początku i środków nowych. I zaraz na pierwszych stronnicach tego wstępu uderzyło mnie zdanie na które nie wszyscy zgodzić się potrafią. Mniema autor, że jak w świecie społecznym, tak i umysłowym, porysowały się mocno fundamenty: w pierwszym przez podkopanie rodziny i pojęcia własności, w drugim przez ulotnienie się idei Boga osobistego i duszy nieśmiertelnej, które „*przed trybunałem rozumu nie ostały się i jak okażemy później, ostać się nie mogą*“ (str. 2), a chociaż „*wiara narodów opiera się obaleniu tych prawd i całą powagą czterech tysięcy lat osłonić je od zagłady pragnie...., stracone odpowie ci rozum, już nawet odpowiedział i musiał tak odpowiedzieć.*“ Widać z tych i podobnych ustępów, że *Libelt*, tak samo jak *Trentowski* (w Panteonie), skłaniał się do błędu, dosyć rozpowszechnionego po niemieckich szkołach, jakoby dwie owe prawdy najważniejsze i najistotniejsze dla ducha ludzkiego, polegały jedynie na *ślepej wierze* i na *uczuciu ślepem*, żadnym zaś sposobem ostać się nie mogą *wobec siły rozumu.* A jednak religia chrześciańska już przypuszcza te prawdy, zanim własnych prawd objawionych wykład zaczyna, uważając je za konieczne przedsionki wiary, *praeambula fidei*, za niezachwiane pewniki ludzkiego rozumu, bez których wiara w dogmata chrześciańskie jest zupełnie niepodobną. Nie słusznie przeto autor dwie owe prawdy kardynalne nazywa *dogmatami wiary*, skoro w najdosłowniejszem znaczeniu były zawsze *wyrokami rozumu*, ani też wiara ludów opiera się niszczącej krytyce niemieckich filozofów, lecz powaga wiedzy ludzkiej protestującej przeciw samozwańczemu trybunałowi filozofii pruskiej, którą znakomici myśliciele uważają za „bunt przeciw rozumowi.“

Łączy się z co dopiero podniesionem mniemaniem dziwne przecenienie filozofii niemieckiej, łatwe do przebaczenia, gdy zważymy, że autor na niej się wychował. Uważa ją za wielką zdobycz ducha ludzkiego, a Hegel stanąwszy na kończynach rozumu ludzkiego, „*opiera się na niewzruszonych posadach, bo się widzi i znajduje i wszystkie pojawy ducha są jego stwierdzeniem*“ (str. 64). Tak przesadne zdanie dzisiaj w żaden sposób ostać się nie może, odkąd wszystkie nauki ścisłe zaprotestowały przeciw nieustającym gwałtom, zadawanym im przez heglowskie pojęcia i heglowską dyalektykę. Kilka takich gwałtów, których półheglista Trentowski dopuścił się na astronomii i fizyce, wykazałem w sprawozdaniu o jego Panteonie. Że zaś Hegel zdążał do bezwzględnego samowładztwa rozumu, chętnie przyznamy, ale żeby takie samowładztwo było *uprawnionem w sobie* (str. 64), lub że *filozofii tej owoce nie mogą być stracone i wejść muszą do nowej filozofii,* tego zgoła nie przyznamy. Bezwzględne samowładzto serca i woli, bo wszystkie władze istoty zależnej (a któżby wątpił, że człowiek nią jest) słuchać muszą praw nadanych im przez *Istotę Niezależną.* Wyłamanie się z pod praw tych sprowadza za sobą zamieszanie, a w końcu śmierć. Śmiercią myślenia jest zaprzeczenie. Hegelianizm, konsekwentniejszy od mistrza swego, zaprzeczył w końcu wszystkiemu, tak jak konsekwentny protestantyzm w końcu „sam przeciw sobie zaprotestował, i rozwiązawszy wszystkie kształty religii, samą religię nareszcie rozwiązać musiał“ (str. 73). Słusznie autor osądził, że taki wypadek protestantyzmu jest koniecznem następstwem samowładczego rozumu, rozwiązującego wszystko, a nie budującego nic. Wtedy jednak nie można dosyć się nadziwić, że autor nie wydał podobnego sądu także o córze protestantyzmu, o heglowskiej filozofii, i w istocie, zamiast uważać ją za objęcie i rozwój wszystkich dawniejszych systemów (str. 64) był powinien wyrzec, że ostatecznie zaprzeczyła sama sobie, i rozwiązawszy wszystkie systemy filozoficzne, w końcu samą filozofię rozwiązać musiała, na co czytelnicy znajdują obfite przykłady w dziełach Bruno Bauer'a, Feuerbacha i Straussa.

Ale przypuściwszy nawet urzeczywistnienie hegemonii Słowian w rozwoju duchownym Europy, nicby na tem nie zyskała teza autora. Bo nowa filozofia słowiańska albo tam zacznie, gdzie skończył Hegel, albo będzie zupełnie samorodną, niedbając o przeszłość. Pierwsze zdaje się odpowiadać życzeniom Libelta i słusznie, bo jeżeli prawdą jest, że zdobycze filozofii heglowskiej pozostaną na zawsze, a każdy nowy system będzie musiał z nią się rachować, oczywiście myśl słowiańska także odbędzie te rachunki. Ale wtedy trudno zrozumieć, za pomocą czego pokona heglowskie wyniki Bo porachować się z dawniejszym systemem jest to samo, co go

pokonać, a przecież nadaremna to praca, jak się autor wyraża rozum pokonać rozumem. Wątpię aby same uczucie zdołało zdławić hydrę dyalektyczną. Jeżeli zaś filozofia słowiańska, przekonana o niepodobieństwie pobicia Hegelianizmu za pomocą rozumu rzuciwszy tak niedołężne narzędzie zacznie samorodną pracę, oparta li na swojskiem uczuciu, otrzymamy zjawisko, dotąd jedyne w rozwoju myśli ludzkiej, że filozofia, pani wszech nauk, królowa mądrości, zamiast na rozumie, na wiotkiem oprze się uczuciu i zamiast być badaniem prawdy, zamieni się w analizę sentymentów. I tu spotykamy się z zarzutem powszechnie podniesionem, że usiłowanie Libelta, aby filozofią oprzeć na uczuciu było zwichniętem w samym zarodku swoim. Ale o tym zarzucie obszerniej pomówimy, gdy zdamy sprawę z drugiego tomu.

Filozofia i krytyka przez Karola Libelta. Tom II. System umnictwa czyli Filozofii umysłowej. Część pierwsza. Drugie wydanie. Poznań 1874. Zupański 8vo XXI i 314.

Najważniejsza, chociaż nie najlepsza z filozoficznych prac *Libelta*, „System umnictwa" wyszedł po raz pierwszy w r. 1850 a w przeszłym roku po raz trzeci, (nie drugi, jak mylnie na na tytule wydrukowano, gdyż drugie wydanie ukazało się już w roku 1857). Istotnych różnic między pierwszem wydaniem a ostatniem nie masz, co dowodzi, że autor nie chciał naprawić budowy, aby nie narazić jej na zupełną ruinę. Nie przypuszczam bowiem, żeby umysł tak żywy i bogaty, po dwudziestu kilku latach obywatelskiego i naukowego doświadczenia, nie miał nic do zarzucenia systemowi, usnutemu w czasach heglowskiego zapału w Poznańskiem. Wolał jednak nie tknąć się budowy i miał racyą, bo jakkolwiek w niej wiele dobrego i cennego materyału, sam fundament słaby nie pozwala na żadne reperacye. Powiedzmy więc coś o fundamencie, o zasadzie „czułego" systemu.

Libelt zmartwiony bankructwem myśli niemieckiej, pchany energią bogatej natury swojej do utworzenia nowego całokształtu wiedzy, popadł niestety w błąd, który nam wspólny jest z Francuzami, w niecierpliwą przesadę, i zamiast wyratować z rozbicia filozoficznego główne prawdy rozumu, wolał z nim zerwać zupełnie i schronić się pod skrzydła wyobraźni. Jak *Kartezyusz* od *myśli*, tak on zaczyna od *wyobraźni* przekonany, że z niej wyłoni się obfity potok wiedzy filozoficznej. Zapomniał, że działanie wyobraźni nie jest czemś pierwotnem, niezależnem, krzysztalizującem w sobie wszystkie główne prawa duchowego i materyalnego istnienia; zapomniał, że *duch być musi i myśleć musi*, zanim zdoła sobie coś wyobrazić sposo-

bem *umniczym*, bo nie mówi autor o' wyobraźni grubej, zmysłowéj, wspólnej nam ze zwierzętami. Pewnik mający być podstawą cało-kształtu myślnego, nie powinien być ani zbyt ogólny, n. p. *jestem*, bo ten znachodzi cię także w jestestwach niemyślących, ani zbyt szczegółowy, n. p. *wyobrażam*, bo można pomyśleć ducha, który sobie nic nie wyobraża, lecz wszystko *nie bezpośrednio*, a pomimo to nie przestaje być duchem ani filozofem. Ludzkiemu myśleniu zazwyczaj wyobraźnia towarzyszy a zdanie „*wyobrażam*“ zamyka w sobie drugie: „*myślę*;“ któż jednak nie widzi, że myśl zawsze pierwsze miejsce zajmuje a wyobraźnia drugie; że myśl, górująca samowiedzą, nawet tam dochodzi, gdzie wyobraźnia ustaje, do głębi nas samych, podczas gdy wyobraźnia, karmiona światem zewnętrznym i jego kształtami zaludniona, pośrednicząca między nim a duchem samowiednym, ciągle potrzebuje rozumu przewodnika, inaczej zabrnie na manowce kłamstw i złudzeń.

Błąd zasadniczy autora pochodzi stąd, że kilku wyrazom nadał dowolnie znaczenie nowe. A wtedy zaraz pokusa gotowa, że nowym wyrazom lub nowemu ich znaczeniu odpowiada coś rzeczywistego, bo już Gete zauważył:

> Denn eben wo begrife fehlen,
> Da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein.

i tak wyobraźnią przezwał *umem*, aby z niego i z myślenia módz złożyć nową a najwyższą z władz ludzkich: *umysł*. Z tak dowolnego jednak postępowania bardzo wątpliwa jest korzyść, bo wyraz „*um*“ tyle już narobił nieporządku w narodowej filozofii, że lepiej byłoby go zupełnie z niej wyprosić, zwłaszcza, że „*umysł*“ najzupełniej go zastępuje. Umotywowanie zaś umu wcale się autorowi nie udało. Bo wziąwszy *myśl* za sąd, za zdanie, *objawione wyrazem albo znakiem zewnętrznym*' (str. 7), mniema, że myśl nie może sobie znaku stworzyć, że na to innej potrzeba potęgi ducha, *budującej ciało dla duszy a wyraz dla myśli*“ (str. 8). Oczywiście nie może być myśli bez wyrazu, ale pytanie, która potęga duszna stwarza wyrazy, zależy od znaczenia, w jakiem bierzemy „*myśl.*“ Może myśl być utworem, sądem, zdaniem a wtedy nie może sobie stworzyć szaty zewnętrznej, ale myśl oznacza także całą potęgą ducha, którą myślimy, a ta nie potrzebuje innej pomocniczej siły do nadawania utworom swoim szaty słownej, lecz tworząc pojęcia, równocześnie i brzmienie im nadawa, bo pierwsze bez drugiego być nie może. W tem drugiem znaczeniu myśl pono na to samo wychodzi, co umysł i um, zaczem trójka władz sztucznym sposobem utrzymana w rozdziale, po głębszej analizie w jednę władzę myślenia się zlewa.

Za tem dowolnem szafowaniem trzema wyrazami poszło, że autor o całej dawniejszej filozofii daje czytelnikom niedokładne wyobrażenie. Wszystko, co myśl ludzka przed nim zdziałała, od *Jończyków* aż do *Hegla*, nazywa *filozofią rozumu*, od niego zaś zaczyna się niby *filozofia wyobraźni*. Tamtej zarzuca, że wygnała wyobraźnią z domu swego, a przez to zwichnęła całe swoje gospodarstwo (str. 5). Ale to zarzut niesprawiedliwy, tyczący się jedynie dwóch chorób filozoficznych: *sofistyki* i *Hegelianizmu*; trudno jednak od choroby pożyczyć nazwy dla zdrowia. W tem bowiem znaczeniu ani nauka *Platona* ani system *Arystotelesa* ani *scholastyka* nie są *filozofią rozumu*, lecz są w najistotniejszem znaczeniu *filozofią ducha ludzkiego*. O niej doprawdy powiedzieć się nie godzi, że wygnała wyobraźnią, lub, że pierwszy *Libelt wchodzi w ten las dziewiczy, którego same znane tylko były krańce*, a dopiero siekiera słowiańska wyrąbała drogę, boć przecież wiadomo, że genialny *Platon* i wielki obywatel ze Stagiry na wszystkie strony w tym niby dziewiczym lesie wybili szerokie szlaki, po których my jeszcze stąpamy nogą bezpieczną: Fedrus i Kratilus, poetyka i retoryka pozostaną na zawsze świetnemi pomnikami tej oto *filozofii kształtów*, którą niesłusznie autor mniema być odwiecznym, odpotowym lasem. Wielcy myśliciele nie poddawali się rządom wyobraźni, to prawda, lecz pod surową brali ją kuratelę, ale tego nikt im za złe nie weźmie. Używali jej według potrzeby, badali jej naturę, tłumaczyli jej objawy, a ile razy przyrzekła być grzeczną i posłuszną, ulatywali z nią do wyższych niebios; ale nigdy jej nie poniewierali, nigdy nie wygnali.

To samo, co o wyobraźni, da się powiedzieć o drugim zarzucie autora, podniesionym przez innych także polskich myślicieli, na usprawiedliwienie niby, że filozofia *przedlibeltowa* była tylko *filozofią rozumu*. Mówi, że nie uprawiała całej dziedziny woli, lecz co najwięcej ograniczała się na *zakres woli ludzkiej* (str. 3). Jednakże dzięki właśnie takiej trzeźwości w badaniu, filozofia woli, zrazu w etyce starożytnej, potem w chrześciańskiej teologii moralnéj doszła do wielkiej doskonałości. Nie zaniedbała przytem ani *woli narodu* ani *woli Boga*, jak autor twierdzi, (str. 4) bo pierwszą, o ile być może mowa o woli narodu, zajmowała się polityka, a drugą lub metafizyka (n. p. w Timeuszu) lub teologia dogmatyczna. W obu dziedzinach filozofia dawniejsza doczekała się wyników świetnych, a nie ona winna, że epigony heglowscy, nie dbając o poprzedników, wszystko zaczęli *da capo*. Są to zarzuty niesłuszne. Ale nie mniej niezasłużoną jest pochwała, według której filozofia rozumu (oczywiście w *Heglu*) *wzbiła się do wysokości pojęcia samego ducha, uważając go na trzech stano-*

wiskach; jako ducha jednostkowego, przedmiotowego i bezwzględnego, uważając rozum, myślenie, jako istotę jego (str. 5).

Jeżeli taka jest prawdziwa *zasługa* filozofii niemieckiej, był powinien autor pozostać przy myśleniu, a nie przenosić istoty ducha do wyobraźni. A co do *ducha przedmiotowego*, to wymysł jego nietylko nie jest zasługą filozofii berlińskiej, lecz wielką klęską dla języka, gdyż nic tak nie psuje języka, jak kombinacye pojęć sprzecznych. Duch przedmiotowy jest bezmyślną kontradykcyą, i tylko panteizm ją znosi, bo jak wiadomo, żyje kontradykcyami. Twory martwe i przyroda cała mają w sobie tyle rozumu, ile duch twórczy w nie wkłada, ale *nie są rozumem; mają* na sobie ślad myślenia, *ale nie są myśleniem*. Jeżeli zatem autor mówi, że *duch przedmiotowy jest ideą, a idea jest myśleniem o przedmiotowości, skąd przedmiotowość jest myśleniem, ideą, duchem* (str. 5), to słowa takie wyglądają zupełnie na dyalektyczną igraszkę i przekraczają granice dozwolonej przenośni. Widać to ze słów następnych, gdzie autor rozwodzi się o tem, że w całej naturze *dysze* myślenie, bo ten sam cel wielki objawia się tak w atrakcyi ziarnka piasku, jak w grawitacyi słońc i planetów, cel odsłaniający mądrość nieskończoną, którą myśl nasza pojmuje i podziwia (str. 6). Nic nie mamy przeciw takiemu rzeczy pojmowaniu, ale wątpię, czy kto zechce grawitacyą słońca nazwać przedmiotowem myśleniem, samodzielną ideą, duchem samowiednym. Duch zawsze *wie o sobie*, zawsze jest *osobą*, nigdy nie jest przedmiotem, a nieszczęśliwy wymysł ducha przedmiotowego doprawdy na pochwałę nie zasługuje. Panteizm niemiecki z nim się oswoił, ale o polskiej umysłowości godzi się wątpić, żeby ścierpiała ten logiczny potworek w języku swoim.

Podobnież rzecz się ma z trzema pojęciami, w których zawiera się Libeltowe umnictwo: *obraźnia, wyobraźnia, przeobraźnia*, z których pierwsza stwarza, druga tworzy, trzecia tworzy się. Polega ta różnica troista na paradkosie, że *natura ducha wszędzie jedna i ta sama, różna tylko stopniem potęgi i rozwoju swojego* (str. 12). Oczywiście przyjąwszy to twierdzenie, trzeba wyobraźnią przyznać i naturze i Bogu, bo są to dwa stany tegoż ducha. Co do ducha przedmiotowego, czyli natury, już wypowiedziałem moje zdanie, co do Boga nadmienię tylko, że przyznawanie Mu rodzaju wyobraźni (obraźni) jest wedle autora *herezyą filozoficzną*, czem jednak nie zrażony zapuszcza się dalej w analizę boskiej obraźni. I tu dopiero widzieć można dziwną mięszaninę niemieckiego panteizmu z tem co autor niekiedy zowie polskim lub postępowym katolicyzmem. Duch nieskończony, bezwzględny téj samej jest natury, co nasz duch ograniczony, boć *Bóg tchnął w człowieka tchnieniem lub duchem swoim* (str. 12), a zu-

pełnym jest panteistą autor, gdy dowodzi ciągłej dla Boga potrzeby, ubierania treści swojej w odpowiednią formę (str. 13). Że Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu i wszystko widzi i słyszy, nie znaczy nic innego, jeno że *materya jest wszędzie, bo materya to myśl Boża*, to prawa odwieczne w naturze, będące tej myśli światłością (str. 56). Wszystkie te twierdzenia są w logicznej sprzeczności z pojęciem Stwórcy, którego autor przyczepił do panteistyczno-naturalnego rozwoju świata.

Pięknie i głęboko rozprawia *Libelt* o celu ludzkości, widząc go w urzeczywistnianiu *Królestwa Bożego* na ziemi (str. 83 i nast.), ale siłę i wpływ argumentaryi swojej dobrowolnie niweczy (na str. 103) błędnem rozwinięciem *katolicyzmu, stwardłego na opokę,* od katolicyzmu *postępowego*, *który będzie religią filozofii słowiańskiej.* Wątpię, żeby reformy *Piusa IX* i pisma *O. Ventury* mogły mu na to dostarczyć argumentów, Kacerstwa zaś i odszczepieństwa jak mówi *świadczą o nieskończonej żywotności i pełni* ideału Chrystusowego, bo idea pierwotna chrześciaństwa rozwinęła się w różne wyznania, które się obok głównego kościoła w osobne kościoły uformowały. Autor nie byłby tak naiwnie poetycznej genezy herezyom naznaczył, gdyby sobie przypomniał, że Chrystus *jedną* tylko owczarnię powierzył Piotrowi, *jedną* tylko wiarę i chrzest *jeden* ustanowił. *Unus Dominus*, *una fides*, *unum baptisma* (od Ephes. IV. 5). Konieczne idei chrześciańskiej rozstrzelanie się w liczne religie, jest to rozwój dyalektyczny bezwzględnej idei heglowskiej, niedbale zakapturzonej postępowym katolicyzmem.

Na innym miejscu (str. 116) podnosi autor ciekawe pytanie, czy Bóg jest wewnątrz świata, czy zewnątrz. Zamiast odpowiedzieć, że Bóg jest wewnątrz świata potęgą stwórczą swoją, a świat na odwrót jest jakoby wewnątrz Boga, bo nieskończona Wszechmoc obejmuje przestrzeń skończoną, autor woli świat zrobić *nieskończonym* przez co koniecznie stawa się jedno z Bogiem, bo nieskończoność może być tylko jedna (str. 117). Materya sięga tak daleko jak Boża potęga, będąc jej zewnętrznym objawem, i jak Bóstwo wypełnia nieskończoność czasów i przestrzeni. Wątpię, żeby niepospolity matematyk, jakim za młodu okazywał się *Libelt*, wierzył na seryo w podobieństwo *materyalnej nieskończoności*, a to niepodobieństwo było powinno go strzedz od panteistycznego błędu, że świat i Bóg właściwie jedno są. Pomijam bardzo ciemny ustęp. o Chrystusie (str. 123) z którego złośliwy krytyk mógłby autora obwiniać o sympatye dla chrystologicznej teoryi *Straussa*, pomijam usterki historyczne, nie wiele rażące ucho katolickie, boć i dziecko każde wie, że twardy a chciwy Laban był teściem nieśmiałego Jakuba: podczas gdy *Libelt* zrobił go teściem Mojżesza; Marta znowu skrzętna siostra Maryi Magdaleny,

o której wiadomo, że wstanie panieńskim dokonała żywota w południowej Francyi, została niespodzianie matką apostołów Jana i Jakóba (str. 173) i t. d., pomijam wspaniałomyślnie wszystkie te drobnostki, a zatrzymam się jeszcze przez chwilę nad zarzutem ważniejszym.

Wyłożywszy z zapałem, jak to wyobrażenie jest istotą ducha a zarazem pewnikiem obfitym we wnioski spekulatywne, przypomina sobie nagle (na str. 20) autor, że filozofia umnicza, córa wyobraźni, *ma inny jeszcze potężniejszy podwal*, którego filozofia rozumu mieć nie mogła. Zadziwiony tem oświadczeniem, bo system o dwóch pierwszych zasadach jest zupełnie niezwykłem, powiem więcej, jest nienaturalnem zjawiskiem, czytałem dalej, ale jakże rosło me zdziwienie, gdy drugą podwalinę systemu swego nazwał autor filozofią rozumu. Czyż można niepoczciwiej zażartować z czytelników? Naprzód dowodzi się im, że filozofia rozumu wskutek jednostronnego rozwoju w nic się rozwiązała, a potem stawia się tę samę filozofią za podwal systemu nowego! Ależ przebóg! *teorya myślenia musi być podstawą teoryi wyobrażenia* (str. 20), jeśli *umnictwo niczem innem nie jest, tylko obleczeniem w szaty nagiej logiki myślenia* (str. 21), toć prosty rozum kazał przedewszystkiem logikę zbadać i zpowinowaconą z nią metafizykę, aby na tych dwóch wiedzach oprzeć nowy całokształt polskiego myślenia. Tymczasem autor oświadczywszy sucho, że system swój oprze na *Myślini Trentowskiego* niby na węgielnym kamieniu, nie przypominając nawet, że czytelnicy mogą nie przyjąć myślini sławnej. Ten jeden niebaczny postępek autora zwichnął całą jego przyszłość filozoficzną.

Wszystkie zresztą te błędy Libeltowego systemu nie uszły bacznej uwagi krytyków. Zaraz po ukazaniu się z dziwną jednomyślnością nazwano system zwichniętym, schybionym. Jeden *Wincenty Pol* ze zwykłą poetyczną przesadą nazwał dekalog słowiańskiej filozofii (w pierwszym tomie krytyki i filozofii) największem zadaniem, jakie ktokolwiek u nas filozofii postawił — ale to bardzo wątpliwa pochwała, bo nieraz ludzie stawiali sobie szczytne zadania, których potem wykonać nie umieli. Hegelianie, skupieni na około *Przeglądu naukowego* przyjęli pomysły lub raczej *wyobrażenia* autora z lekceważeniem, nawet szyderstwem. *Tyszyński* nazwał je „*pomyślaną zabawką dyalektyczną*.“ Nareście najnowszy krytyk, tłumacz historyi filozofii *Szweglera*, rzucił goryczą zaprawione pytanie: co sądzić o filozofii, która rozum gdzieś odpycha, a um, tego łgarza i poetę bierze za zródło swej filozofii? Łaskawy czytelnik sam osądzi, ile jest słuszności w tych sądach; nam jedno pozostaje: streścić uwagi nasze o II tomie w jedno zwięzłe orzeczenie. Trudno nie uznać; że *Libelta* umnictwo nie jest filozoficznym cało-kształtem, lecz raczej zastosowaniem

heglowskiej logiki i metafizyki do nauk szczegółowych. Takie zaś postępowanie jest w zupełnej niezgodzie z pierwszem założeniem autora, po bankructwie filozofii niemieckiej zapowiadającem filozofią nową. Jeżeli co niedopisało w Heglu, to zaiste logika, która razem jest z metafizyką jego. A stąd wynika, że umnictwo wcale nie jest filozofią raz dla braku samodzielnej logiki, bez której *nowego* systemu utworzyć nie można, a potem, że się nie zajmuje *pojęciem*, lecz przedewszystkiem *kształtami*; ma się przeto do metafizyki, jak n. p. opis natury do filozofii natury. Ale przyszła już miara wyznaczona tym sprawozdaniom.

Memoiren eines todtenkopfes. Herausgegeben von Benno Bronner. Mainz 1875 2bde X 274 XIV 283 16mo.

Pamiętniki *trupiej głowy!* Powieść tendencyjna lub raczej polityczno-naukowe rozprawy obwijane bluszczowemi sploty szukania się i znalezienia dwojga serc. Krytyk miałby wiele do zarzucenia wszelkim podobnego rodzaju utworom, ale najczęściej tak mało mają pretensyi do miejsca w świątyni piękna, że tą ich udaną czy rzeczywistą pokorą rozbrojony, nawet grubsze usterki estetyczne im przebacza, żądając jednej od nich tylko rzeczy, niezbędnej treści każdego dzieła literackiego, to jest prawdy. Pod tym ostatnim względem dwutomowej pracy p. *Bronner'a* nic zarzucić nie można i tyle ważnych kwestyi z uderzającą jasnością poruszył i rostrzygnął, że forma powieści nic im zgoła nie przeszkadza, przeciwnie rzekłbym, że pomaga. Bo tak już dzisiaj ogół czytających przywykł do powieści, że nawet najżywotniejsze sprawy w jej ramach nabierają powabu i zrozumiałości, jak to kilka lat temu przekonaliśmy się na „Nieomylnych" *Bolandena*. Powieść ta rozprzedaną w Europie i Ameryce w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, zarówno w chacie wieśniaczej jak w pałacu książęcym usunęła wiele przesądów przeciw ostatniemu dekretowi watykańskiego soboru, podczas gdy uczone broszury *Kettellera* lub *Feslera* trafiły tylko do fachowych teologów. Prawda że układ *Bronnerowej* powieści jest słabszy, aniżeli w *Bollandenie*, ale miał on daleko trudniejsze zadanie, bo zamiast jednej, kilkanaście tez rozwinął, samem mnóstwem swojem rozrywających jedność akcyi i ciągłość opowiadania.

Na krwią zroszonych polach Solferina, w kilka lat po bitwie, Anglik dziwak wykopał czaszkę tyrolskiego strzelca która tytułem naukowej kradzieży z jego tłomoka przeszła do rąk niemieckiego profesora. Ten nabroiwszy niemało w Rosyi a w końcu zbałamuciwszy biedną Polkę, która wraz z córeczką swoją ściga nadaremnie za wyrodnym mężem, dopóki w domu obłąkanych nie znalazła zapomnienia swoich nieszczęść (córka

zaś staje się jedną z głównych bohaterek powieści), otóż profesor ten zrobił się kolporterem darwinizmu i we wielkich miastach, za drogo opłacane bilety, przy hucznych oklaskach emancypowanych żydów i postępowych urzędników, wykłada pochodzenie ludzi od małp i koniec życia po śmierci. Czaszka poczciwego Tyrolczyka służąca za dowód darwińskiej genealogii i w tym celu ku niemałemu oburzeniu swemu umieszczona w towarzystwie obrzydliwych czaszek małpich, opowiada nam jednę prelekcyą, z nadzwyczajnym humorem i z niezrównaną prawdą, przerywana uwagami „ciemnego" ślusarza. Ten pokilkakroć protestuje, ku nie małemu osłupieniu obecnych, przeciw kuzynowstwu ze swoim brysiem, aż nareszcie policya nie proszonego interpelanta wyprowadza za drzwi, obarczonego „powszechną pogardą słuchaczy wykształconych, a w dodatku skazuje na ośm dni kozy, za przerywanie publicznego naukowego wykładu. Z wesołym humorem tej sceny ubiega się o lepsze wysokie patos zjawienia się *Piusa IX* przy łożu konającego hr. *Szarfenek*, rycerza z pod Mentany, dowodzące, że autor z nadzwyczajną lekkością przechodzić może przez najprzeciwniejsze sobie rodzaje stylu. Rozdział o matkach Soboru napisany z niezrówną ironią, która jednak nigdzie nie przekracza granic najdelikatniejszego gustu, zawiera kilka portretów powszechnie znanych osób, w Rzymie pod czas soboru. Rysy są oddane wiernie, ale uidealizowane, dalekie od wstrętnej a rzemieślniczej dokładności fotografów, którzy niestety i powieść już opanowali. Nareszcie salony spirytystów, schadzki masonów, prześladowanie katolików we „wolnej" ojczyznie Tella, mnóstwo dowcipnych, a głębokich sądów o Gustawie Adolfie, Filipie II, wychowaniu publicznem, Getym i niemieckiej literaturze wypowiedziane stylem, po którym wszędzie znać człowieka najlepszego towarzystwa, (przymiot dosyć rzadki w niemieckich pisarzach) polecają ze wszech miar ten utwór znakomity uwadze europejskiej publiczności i gorąco pragniemy, aby wprawne, a eleganckie pióro przyswoiło go czem prędzej naszej literaturze. —

Forma Urbis Romae regionum XIV. Edidit Henricus Jordan. Berlin 1874. Weidmann. str. 70 i tablic 37. *Wielkie in folio.*

Odwiedzający muzeum kapitolińskie, po obu stronach schodów podziwia wmurowany w ściany resztki dawnego planu Rzymu, marmurowy pierwowzór dzisiejszych Bedekerów. Odkryte w szesnastem stuleciu; objaśniły wiele spornych miejsc starożytnej topografii, gdyż z nich dopiero dowiedziano się, gdzie leżał portyk Oktawii, gdzie bazyliki Emiliusza i Ulpia-

na, gdzie termy Tytusa, teatr Marcella i tem podobne. Tak ciekawy pomnik był oczywiście często przedmiotem uczonych badań, które jednak, jak to zwykle się zdarza, nie zdołały rozwiązać wszystkich kwestyi do niego się odnoszących Spowodowało to p. *Jordana*, berlińskiego archeologa do napisania powyższej monografii, na którą oprócz dwukrotnej podróży do wiecznego miasta poświęcił ośm lat mozolnych poszukiwań. Nie mogąc rozpisać się o szczegółowych rezultatach, abym nie rozminął się z głównym celem tych moich raczej bibliograficznych aniżeli krytycznych doniesień, powiem tylko słów parę o wyniku ostatecznym pomnikowego dzieła.

Kościół św. Kozmy i Damiana przy forum rzymskiem jak wiadomo, zrósł się z trzech oddzielnych gmachów: z okrągłej świątyni Romulusa, wystawionej na cześć syna Maxencyuszowego, z czworobocznego budynku, do którego papież Feliks IV na początku szóstego wieku przybudował absydę a nareszcie z zakrystyi, którą w średnich wiekach zwano *templum Urbis Romae.* Nie mogła to być właściwa świątynia, boć tuż obok, na miejscu zajętem dzisiaj przez kościół św. Franciszki Rzymianki, sterczała wspaniała świątynia, *Romy*, jakoby ósmy cud świata. Wnosi ztąd autor, że teraźniejsza zakrystya była co najwięcej kapliczka na cześć bogini Rzymu, lub że do nazwy tej stał się powodem plan miejski (*forma urbis Romae*) zewnątrz do niej przymocowany; zaś na widok publiczny tak wielkiego i szczegółowego planu ($^1/_{300}$ rzeczywistości) nie powinno obudzić zadziwienia, skoro w pobliskim gmachu mieściło się archiwum prefektury miejskiej, a trudno przypuszczać, aby zarząd olbrzymiego miasta mógł odbywać się bez takiego planu. Został ułożony między r. 203 a 211 za Septymiusza Sewera i Caracalli nie przed pierwszą datą, bo mieści już na sobie *septizonium*, ani później od drugiej bo nie obejmuje jeszcze termów Caracalli. Wykonany jedną ręką, zdaje się, że wciągu panowania tych cesarzów był nieco uzupełniony. Nie był zresztą ani pierwszy, ani jedyny w swoim rodzaju, bo urzędowa „*notitia urbis Romae regionum XIV*“ spisana za Konstantyna W zdaje się na nim głównie polegać. Najdawniejszym zaś wzorem jego był niewątpliwie plan cesarza Augusta, wystawiony w portyku Polli (in porticu Pollae), stanowiący część statystyki rzymskiego imperyum, zebranej staraniem zięcia cesarskiego *Agrypy*, a do której materyału dostarczył spis ludności, o którym mówi Łukasz św. w ewanielii swojej.

W kilku obszernych rozprawach przechodzi autor różne działy gmachów starożytnych, n. p. teatra cyrki i t. d. przywodząc wiel· nowych a ciekawych szczegółów. Dodanych do tekstu jest 37 wielkich tablic będących prawdziwą rozkoszą dla archeologicznego oka. Nie mógł zaś godniej autor uczcić swego pomnikowego dzieła, jak przypisawszy je mężowi, który dzisiaj

w swej osobie niejako jednoczy wszystkie badania rzymskiej przeszłości, tak pogańskiej jak chrześciańskiej. Czytelnicy już odgadli, sławnego Jana *Rossi.*

Dr. P.

Hrabia Brühl. Opowiadanie historyczne przez J. I. Kraszewskiego, w 8ce. Tomów dwa. r. 1875.

Praca ta Kraszewskiego, o której obecnie mówić mamy, nie jest właściwie ani historyą ani powieścią; nie jest historyą, bo w niej jest dużo dowolności, wiele opuszczeń i zboczeń; nie jest powieścią, bo jej brakuje polotu, fantazyi, ciepła i stylu powieściowego. Najwięcej zbliżona ona jest formą i treścią do pamiętnika, w którym co do faktów nieraz autora pamięć zawodzi, często im fałszywe pobudki i skutki przypisuje, ale to, co opowiada, opowiada z humorem i życiem, interesuje przedmiotem nawet tych, którzy formą bardziej zbliżoną do naukowej, zapewneby się od czytania odstraszyli.

Studyów do charaktərystyki i żywota Brühla nie czynił autor żadnych, wszystko co i jak o nim napisał, wyjęte jest żywcem z dziełka Justego: *Zuverlässige Lebensbeschreibung des Grafen v. Brühl und des Cabinetsministers A. J. Fürsten v. Sułkowski. Frankfurt u. Leipzig 1766.* Jakim wyszedł Brühl z pracy p. Justi, takim pozostał i w pracy Kraszewskiego: człowiekiem bez twórczości, bez głębszej myśli, ale pełnym sprytu, insynuacyi, układności, fałszu, podstępu i intrygi. Brühl Kraszewskiego jest właściwie skreśleniem pojedynku między Brühlem a Sułkowskim, który się ukończył upadkiem tego ostatniego. Sułkowski wychował się razem z Augustem III i tak był pewnym przywiązania koronowanego swego przyjaciela, że postępował wobec króla i całego dworu z bezwzględnością faworyta i dumą wielkiego pana, chociaż nim z urodzenia nie był. Brühl pokorny, kłaniający się nawet lokajom w przedpokoju, mający po sobie spowiednika królewskiego Ojca Guarrini i ochmistrzynią królowej, hrabinę Kolowrath-Krakowską, musiał prędzej czy później tryumfować. — August III był prototypem niedołęgi, nie myślał nic, nie mówił wiele, cały dzień z fajką w ustach, milczący zawsze, kiedy niekiedy zaledwie to milczenie przerywając pytaniem: „czy mam pieniądze,“ lub objawieniem życzenia, że ma ochotę zapolować. August lubował się w tym bezdusznym kwietyzmie, Sułkowski pragnął go od czasu do czasu wyrwać z niego, zająć pracą, rozruszać ten umysł ciężki ale nie ograniczony, tem się już królowi narażał. Brühl umiał całe dnie

przesiedzieć obok swego pana w milczeniu najgłębszem, odpowiadając z pośpiechem i uniżonością na rzadkie zapytania monarchy. Sułkowski rad był, aby wszyscy wiedzieli, że on nietylko rządzi ale i panuje, Brühl pozornie nawet od rządów się uchylał, wmawiając we wszystkich, że największą jego ambicyą jest dworaczyć Najjaśniejszemu Panu. Sułkowski imponował, Brühl udający potulność, nikomu nie zawadzał, wszystkich miał za sobą. Gdy Brühl już do tego stopnia króla do swojej osoby przyzwyczaił, że tenże bez niego obejść się nie mógł, a Sułkowskiego jakkolwiek toż samo z przyzwyczajenia widzieć pragnął, jednak spotkania się z nim obawiał, aby mu znowu o interesach nie mówił, wtedy plan strącenia Sułkowskiego mógł już być dokonany. Jeżeli król odzwyczai się od jego osoby, wszystko skończone. Aby się odzwyczaił, trzeba faworyta wyprawić w dalszą podróż. Pretekst był; Sułkowski miał zachcianki wojskowe, nosił on się z planem wystąpienia imieniem Saksonii z pretensyami do dziedzictwa Austryi, jeżeliby Karol VI umarł, nie zostawiwszy męzkiego potomka. Takie pretensye trzeba będzie orężem poprzeć, któż stanie na czele wojska jeżeli nie Sułkowski? Aby tem skuteczniej przyszłemu zadaniu sprostał, od którego przyszłość Saksonii i jego samego wielkość i sława zależała, musi się dokładniej obeznać z organizacyą armij europejskich, przypatrzyć się sposobowi wojowania nad Renem. Próżność Sułkowskiego łechtały te insynuacye bardzo, mimo przestróg, aby się nie wydalał, wyjechał na kilka miesięcy, a gdy powrócił, wstęp do dworu został mu wzbroniony, na mieszkanie przeznaczono mu odległy od Drezna zameczek. Podobno wymógł nawet Brühl na królu rozkaz uwięzienia eksfaworyta w Königstein, od czego król go uwolnił, przestrzegając go potajemnie o niebezpieczeństwie, i doradzając szybką ucieczkę. W potajemnych intrygach Brühl był mistrzem, takim nam go przedstawia autor, szkoda że nie wystawił go nam także jako działacza na polu politycznem. Jakie było jego zachowanie się w czasie elekcyi polskiej, jakie stanowisko zajmował w wojnie o sukcesyę austryacką? Ten ostatni epizod koniecznie wyświecić należało. Autor opowiada, że Sułkowski miał gotowy plan najechania Czech i w tym celu szukał nawet porozumienia się z Fryderykiem II. Brühl cały ten plan zdradził księciu Lichtensteinowi, ówczesnemu posłowi austryackiemu w Dreznie. Jakżeż się stało, że mimo upadku Sułkowskiego, który to upadek nastąpił w r. 1738, Saksonia stanęła w r. 1740 przeciwko Austryi, chociaż w niej samowładnie panował i rządził Brühl — i dlaczego po swoim upadku Sułkowski szukał schronienia nie w Polsce ale w Austryi, i przez tę ostatnią do godności księcia imperyum niemieckiego wyniesionym został. Swego nieprzyjaciela Austrya sobie zobowiązywać nie potrzebowała; pojmujemy, żeby go takiem wy-

szczególnieniem zniewolić była chciała wtedy, kiedy stał na czele rządu saskiego i od niego zawisł był kierunek polityki w sprawie austryackiej, lub żeby przynajmniej osobisty wpływ wywierał na Augusta, Sułkowski w niełasce nie był dla Austryi ani groźnym, ani pożytecznym! Czyż może po swoim upadku Sułkowski stał się gorliwym zwolennikiem interesów Austryi? i to nie. W wojnie siedmioletniej autor każe się obudwom antagonistom zjechać w polskiej karczmie; Saksonia była zajęta przez wojska pruskie, król z ministrem uciekali do Polski, cóż mówi exminister do ministra aktualnego: nie takie ja losy marzyłem dla Saksonii, jakiż sens jest tych słów: gdybym ja był ministrem, Saksonia by się znajdowała dzisiaj w przymierzu z Prusakami a nie z Austryakami, przychylności dla Austryi w tych słowach nie widać. Jeżeli autor chciał uwydatnić różnicę między prawdziwym mężem stanu a szczęśliwym intrygantem należało opowieści inny obrót nadać, bo tak, jak ją poprowadził, trudno zrozumieć, który z nich był lepszy, ostatecznie zgodzić się trzeba na sąd o nich Watzdorfa, autora skandalicznego medalu wybitego jego staraniem w Holandyi, gdzie pod wizerunkiem Sułkowskiego, Brühla i Henickego, prawej ręki Brühla a przedtem lokaja, stał napis:

Es sind unser drei
Zwei Pagen und ein Lokay.

Opowiadanie, tak jak ono uskutecznione jest, zajmuje ale nie zadawalnia, do słabszych je też utworów tego niespracowanego pisarza zaliczyć musimy. Co szczególnie w niem nieprzyjemnie uderza, to brak wszelkiego dodatniego charaktewą a panna Kolowrath, późniejsza żona Brühla, budzi prawdzirn, odrazę. Kocha się ona w Watzdorfie, idzie za Brühla, oświadczając mu wręcz, że go nie nawidzi, mężowi w intrygach jego pomaga wszystkiemi siłami, za kochankiem wrzuconym do lochów Königsteinu jednego kroku nie robi, żeby los jego złagodzić. — Żółciowo skreślony jest ojciec Guarrini, spowiednik króla, Kraszewski przedstawia go jako intryganta i bufona. Natomiast nie wiedzieć dlaczego i poco każe autor interesować się Ojcu Voglerowi Sułkowskim, dopomaganiem mu odzyskania względów króla, kiedy sam tego Voglera wymienia jako stronnika Austryi, a stronnictwo austryackie głównie spowodowało upadek faworyta. W pospiechu popełnił autor te niekonsekwencye, pospiech też był i jest źródłem błędów, jakich najżyczliwsza autorowi krytyka zataić nie może.

Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli Sennik oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi. Spisał dla pożytku grających w loteryę Kaźmierz Goralczyk. W Krakowie, nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni Ludowej A. Nowoleckiego. W 16, str. 149, r. 1875.

Pod tym ponętnym dla ludu prostego, a tak wstrętnym dla ludzi wykształceńszych tytułem, pojawiła się książeczka, prawdziwa perła w literaturze ludowej. Ażeby skutecznie przemawiać do ludu nie dosyć jest mieć dobre chęci i tendencye uczciwe, trzeba ten lud znać, zbadać jego obyczaje i wyobrażenia, przyswoić sobie jego język, aby być zrozumianym. Kaźmierz Goralczyk wszystkie te wymogi w wysokim stopniu posiada i wybornie je zużytkować umie. Czytając go, nie widać żeby autor gwałt sobie zadawał przez takie zniżenie się do ludu, nie widać w nim manierowania języka i pojęć ludowych, wszystko u niego jest naturalne, treść i forma; to, co mówi, to opowiadanie prawdziwego dziecka ludu, nauka w tej formie podana nie tylko od razu staje się przystępną i zrozumiałą, ale co więcej pożądaną, budzi w ludzie chęć do czytania, do ćwiczenia się, między czytającym a piszącym odrazu ustala się jakiś stosunek sympatyczny, budzący pragnienie jak najczęstszego komunikowania się wzajemnego i w takich tylko warunkach wpływ pisarza na lud może być i rozległy i zbawienny. Takim pisarzem ludowym jest Kaź. Goralczyk (Wł. Anczyc). W książeczcze o której mowa, traktuje on bardzo ważną społeczno-ekonomiczną kwestyę, kwestyę loteryi liczbowej. Loterya rujnuje lud to rzecz wiadoma, a rujnuje go nie tylko materyalnie ale i moralnie. Kogo manja loteryjna opanuje, ten zapanuje o wszystkich obowiązkach, dla dogodzenia namiętności ojciec krzywdzi dzieci, służba swoich służbodawców, nie jeden tą namiętnością opętany kończy karyerę w domu kary lub obłąkanych, a prawie wszyscy w niedostatku i nędzy, autor bardzo udatnemi powiastkami wypadki takie ilustruje. Z grą loteryjną ściśle się wiąże wiara w sny, szarlatani umieli zabobon ten wyzyskać dla namiętności do gry loteryjnej, biorąc sny za podstawę różnych kombinacyj liczbowych, które nieomylnie wyjść mają. Kumoszka opowiada sen swój kumoszce, biorą sennik i układają według niego liczby, ostatni grosz ściągają, zapożyczają, fantują rzeczy, aby tylko mieć fundusz na grę, nadzieja nieomylnej wygranej, która ma im zapewnić używanie bez pracy, skłania ich do praktykowania tego życia przed wygraną, jakie po wygranej ma być normalnym ich stanem, między postawieniem a ciągnięciem numerów praca nie idzie także jakoś chętnie, na co pracować, kiedy i tak ma się być wkrótce bogatym, przegra się, jest znowu powód do desperacyi, którą trzeba wódką uspokajać a przynajmniej wylamentować się przed

sąsiadem. Czas i pieniądze marnie giną. Więcej niżeli na stawki traci lud pieniędzy przed i po stawce, nadzieję i żal inaczej on święcić nie umie jak pijatyką. Jeżeli lud w Galicyi wyda dajmy na to milion na stawki, to można z całą pewnością przypuścić, że przy tej sposobności przynajmniej trzy miliony przepije, t. j. utraci trzy miliony z zarobionych już pieniędzy, a straci czasu tyle, żeby mógł drugie trzy miliony zarobić, dodajmy do tego, że przez cały czas oczekiwania nie pracuje tak jak należy, że gospodarstwo i zawód jego zamiast się podnosić, upada, a dziwić się przyjdzie, że rząd, że reprezentacye państwa nie śpieszą się ze zniesieniem loteryi. Czem zastąpić te kilkanaście milionów, które loterya państwa przynosi, powiadają statyści, rozłożyć je na rolnictwo i przemysł? dotąd już i tak wysoko opodatkowane, to znaczy zabić rolnictwo i przemysł, a oszczędność w wydatkach posunięta jest do ostateczności, w żadnej gałęzi już się dalej posunąć nie da, cóż więc robić? Wszystko to prawda, ale niech ten milion, który pochłonęły stawki, te trzy miliony z zarobionych już pieniędzy i te trzy miliony, które się przez ten czas nie zarobiło, włoży się w przemysł i rolnictwo, niech się każdy, nadzieją łatwego zysku łechtany, nie ociąga w pracy, ale gorliwie i uczciwie w swoim zawodzie pracuje, a w krótkim czasie ogólny dobrobyt się zwiększy a z nim i siła podatkująca. Co tu mówić ludowi o oszczędności, pracy, kapitalizowaniu, kiedy loterya wszystkie te piękne nauki wywraca; żebym nie wiedzieć jak pracował, odpowie on na to, nie zapracuję tyle, co mogę zyskać grą w loteryę, jeżeli mi szczęście posłuży.

Autor nasz ułożył także sennik i słusznie o nim powiada, że jest najniezawodniejszym sposobem wygrania pieniędzy dla każdego, kto się wykładu jego trzymać będzie. Każdy wykład snu mieści w sobie krótką, zrozumiałą naukę moralną, którąby w szkółkach ludowych na pamięć wyuczyć trzeba dziatwę wiejską. Przytoczymy niektóre z tych nauk. Jeżeli się śni *adwokat*, to znaczy, aby w spory z sąsiadami o lada co nie wchodzić, a procesów unikać jak ognia, gdyż najczęściej obie strony niszczą się na stęple i koszta a tylko adwokaci zyskują. *Ambona* przypomina zaniedbanie się w słuchaniu kazań i nabożeństw; śniący, jeżeli chce uniknąć złych przygód, o Bogu więcej niż dotąd pamiętać winien. *Bagno* wróży stratę pochodzącą z nieporządku w domu i gospodarstwie; *brnąć w bagnie* ostrzega, ażeby długów u żydów nie zaciągać; *tonąć w bagnie* zgubę przez lichwę. *Cebula* gdy się przyśni, zapowiada szkodę pochodzącą z interesów z żydem robionych. *Dąb* niebezpieczeństwo być schwytanym na kradzieży drzewa w lesie. *Flaszka z wódką* biedę wróży, unikaj arędarza, bo cię zamyśla oszukać. *Jałmużnę dawać* biednym, pomyślność wróży — pijaków wspierać, nieszczęście zapowiada. *Numera* śnić a nie pamiętać ich, korzyść; pamiętać-

przegraną na loteryi wróży. *Rabuś* długoletnie więzienie chciwym na cudzy dobytek zapowiada. *Huzar* ostrzega dziewczęta, aby się strzegły przyjaźni z żołnierzami, bo źle na niej wyjdą. *Rola* pięknie uprawna, dobre zbiory; zaniedbana, pewną szkodę rolnikom wróży. *Tańce*, dziewczętom do karczmy na tańce chodzącym zapowiada potomstwo — mężatkom, że od męża bicie dostaną. Takich rad i uwag pod postacią wróżb jest 19 stronnic. Już cytacye z tej części książeczki dostatecznie całe dziełko polecają. — Autorowi serdecznie winszujemy tej pracy i imieniem ludu upraszamy, aby częściej do niego w ten sposób się odzywał.

Illustrowany Przewodnik po Krakowie i jego okolicach z dodatkiem opisu znaczniejszych zdrojowisk w Galicyi. — W Krakowie. Nakładem księgarni i wydawnictwa „Czytelni Ludowej“ Aleksandra Nowoleckiego, 1875, w 16ce, str. 174. Ogłoszeń str. 87.

Część archeologiczno-artystyczną zabytków i pomników Krakowa opisał w Przewodniku prof. Władysław Łuszczkiewicz, najlepiej może z Krakowianów obeznany ze staremi pamiątkami, wielki ich miłośnik i znawca. Część ta jest gruntownie i sumiennie obrobiona i nic pod tym względem do życzenia nie zostawia. Nie można tego samego powiedzieć o dziale dotyczącym przemysłu i handlu obecnego. Nie wymagamy bynajmniej, aby autor wszystkie firmy kupieckie i przemysłowe wymieniał, ale wskazując podróżnemu drugo i trzeciorzędne zakłady, nie należało pomijać pierwszorzędnych. Zwiedzającemu Kraków nie zależy na tem tylko, gdzie czego dostać może, ale przedewszystkiem, gdzie żądane przez niego przedmioty znajdują się w najobfitszym i najgustowniejszym doborze. Firmy pominięte może na tem nie ucierpią, lecz ucierpieć może w ogólności handel i przemysł Krakowa: w tej dziurze niczego gustownego nie dostanie, powie wielu, i z za granicy będą sprowadzali towary, któreby na miejscu dostać mogli. Między handlami galanteryjnemi prym trzyma bezsprzecznie magazyn Leona Feintucha. Wydawca Przewodnika nic o nim nie wie, a przecież sklep jego znajduje się w Rynku, prawie w sąsiedztwie wydawcy. Toż samo powiedzieć można o składzie mebli Henisza i futer Armatysa. Między cukiernikami pominięty został Maurizzio, najznakomitsza firma krakowska w tym rodzaju przemysłu. Między stolarzami nie widzimy wymienionego Myśliwca, którego wyroby na wystawie krakowskiej powszechną ściągnęły uwagę. Z rękawiczników pominięci są Czinciel i Wieczorek; z kantorów bankierskich Wolf, najdawniejsza firma bankierska, używająca od lat kilkudziesięciu naj-

lepszej reputacyi. Z wyjątkiem Myśliwca, wszystkie te składy i zakłady znajdują się w samym Rynku. Mimo tych usterków, Przewodnik dla swej artystyczno-archeologicznej części, o którą zresztą turystom głównie idzie, zasługuje na uznanie i polecenie. Układ jego także jest bardzo dobry: przejeżdżający koleją od pierwszego kroku postawionego na ziemi krakowskiej, ma już konieczne wskazówki i informacyę, to na pierwszy moment wystarczy. Zawsze przy powtórnem wydaniu braki wytknięte wypełnić należy.

Zaklęte pieniądze. Opowiadanie z życia ludu górskiego przez M. Bałuckiego, z 17 obrazkami. W Krakowie, nakładem A. Nowoleckiego, r. 1875, str. 79 w 16.

Na Ukrainie, narażonej na częste napady tatarskie, bunty kozackie i najazdy hajdamaków, każdy mieszkaniec zawczasu obmyślał sobie skrytkę, gdzieby w czasie burzy mógł uratować życie i mienie, zwykle kosztowności i pieniądze zakopywano po jarach i lasach, w nieprzystępnych miejscach, nieraz właściciel zginął w tych zawieruchach, pieniądze po latach, czasami wiekach odnajdywał przypadkowo jakiś szczęśliwiec; nie ma też prawie wsi na Ukrainie, gdzieby nie krążyło podanie między ludem o zakopanych skarbach. Takie same podania kursują także między ludem górskim w Tatrach. Dawniej bardzo często górale trudnili się rozbojem, rozbójnik w oczach górala otoczony był jakąś aureolą rycerską, z tem wszystkiem rozbójnik jutra pewnym nie był, może nie tak prędko jak dzisiaj, ale zawsze wcześniej czy później dostawał się w ręce sprawiedliwości, i nogami świat żegnać musiał. W obawie takiego następstwa pieniądze w niedostępnych miejscach przechowywał, które, jeżeli ich pan spotkał się ze sznurkiem, po długich latach dostawały się szczęśliwemu znalazcy. Jeden, drugi i dziesiąty taki wypadek zrodził przypuszczenie, że takich zakopanych skarbów musi być wiele; każde drzewo większe, każda grota nieprzystępniejsza, budziła ciekawość i chciwość górala. Zamiast pracować, on całemi dniami włóczył się za odszukaniem tych skarbów. Jak to oddziaływało na moralność i dobrobyt ludu, można sobie wystawić. Do tego łączyły się podania o pokładach złota i srebra w tych górach, wszystko to rozbałamucało jego wyobraźnię, paczyło pojęcia. Jak przy grze w loteryę łatwe bez pracy zbogacenie się, tak i tutaj ten sam motyw jest dominujący. To też Wykład Snów Kazimierza Góralczyka jak i Zaklęte Pieniądze Bałuckiego mają jeden cel: pouczyć lud, że tylko pracą i przemysłem można przyjść do dobrobytu. Bałucki daje wskazówki, jak z miejscowości korzystać należy, aby sobie los poprawić i życie uprzy-

jemnić. Tendencya obydwóch prac jest jednakowa, w trakto-
waniu przedmiotu wielka różnica. Bałucki występuje jako men-

jemnić. Tendencya obydwóch prac jest jednakowa, w traktowaniu przedmiotu wielka różnica. Bałucki występuje jako mentor z profesyi, to człowiek z miasta uczony i mądry, ludowi jest on życzliwy, ale znać, że on i lud to co innego, z nauki jego wieje impozycya, która ostatecznie lud także przekonać może, ale ku mentorowi z katedry go nie przyciąga, między nauczycielem i uczniami panuje chłód, jaki zawsze bywa między wysokimi a maluczkimi, lud jego wyższością czuje się przygniecionym, podziwiać on może jego mądrość, lecz do osoby jego nie czuje pociągu, mistrz go upokarza na każdym kroku, [illegible] wyznać swoje błędy, swoje niedostatki, słowem otworzyć mu swoje serce naościerz, szukać u niego rady i pociechy; z rad i nauk Bałuckiego może korzystać także, ale z pewnością szukać ich u niego nie będzie, przeciwnie wobec niego będzie on się czuł upokorzonym, a tego rodzaju uczucie zaufania nie stworzy, które jest niezbędnym warunkiem powodzenia dla pisarza ludowego. Talentowi p. Bałuckiego nieraz mieliśmy sposobność oddać należytą sprawiedliwość, osobiście cenimy i szanujemy go bardzo, tem więcej też czujemy się w prawie powiedzenia mu otwarcie, że pisarstwo dla ludu nie przypada do rodzaju jego talentu, nie wątpimy że biegiem czasu wyrobiłby się z niego pisarz ludowy, ale kiedy są inni, którzy to lepiej od niego zrobić potrafią, za co im miejsce zabierać; Bałucki w innym kierunku już się odznaczył, i mamy nadzieję, że w tym kierunku coraz wyżej pójdzie. Nie każdemu jest danem we wszystkich gałęziach i działach literatury jednakowo się odznaczyć. Utrudnił sobie autor sam zadanie, chcąc za jednym zachodem dać naukę moralną ludowi i skreślić przewodnik dla zwiedzających Tatry, którzy znowu do tej klasy, którą ludem nazywamy, nie należą. Jedni i drudzy mają odmienne wymagania, chcąc naraz zadowolnić tych i tamtych, zwykle nie zadawalnia się nikogo. Ostatecznie nie chcemy bynajmniej powiedzieć, że książka chybiła celu, to co autor mówi, mówi dobrze i zrozumiale, w porównaniu tylko z pracą Góralczyka traci na znaczeniu i wartości, jako dziełko przeznaczone dla ludu. Bez tego porównania, kto wie czybyśmy mu bezwzględnej pochwały nie oddali. Człowiekowi głodnemu wszystko smakuje; jak się jest sytym, je się tylko to, co podniebieniu więcej dogadza, nie idzie jednak zatem, aby inne potrawy były niesmaczne, albo co więcej niezdrowe.

L. Powidaj.